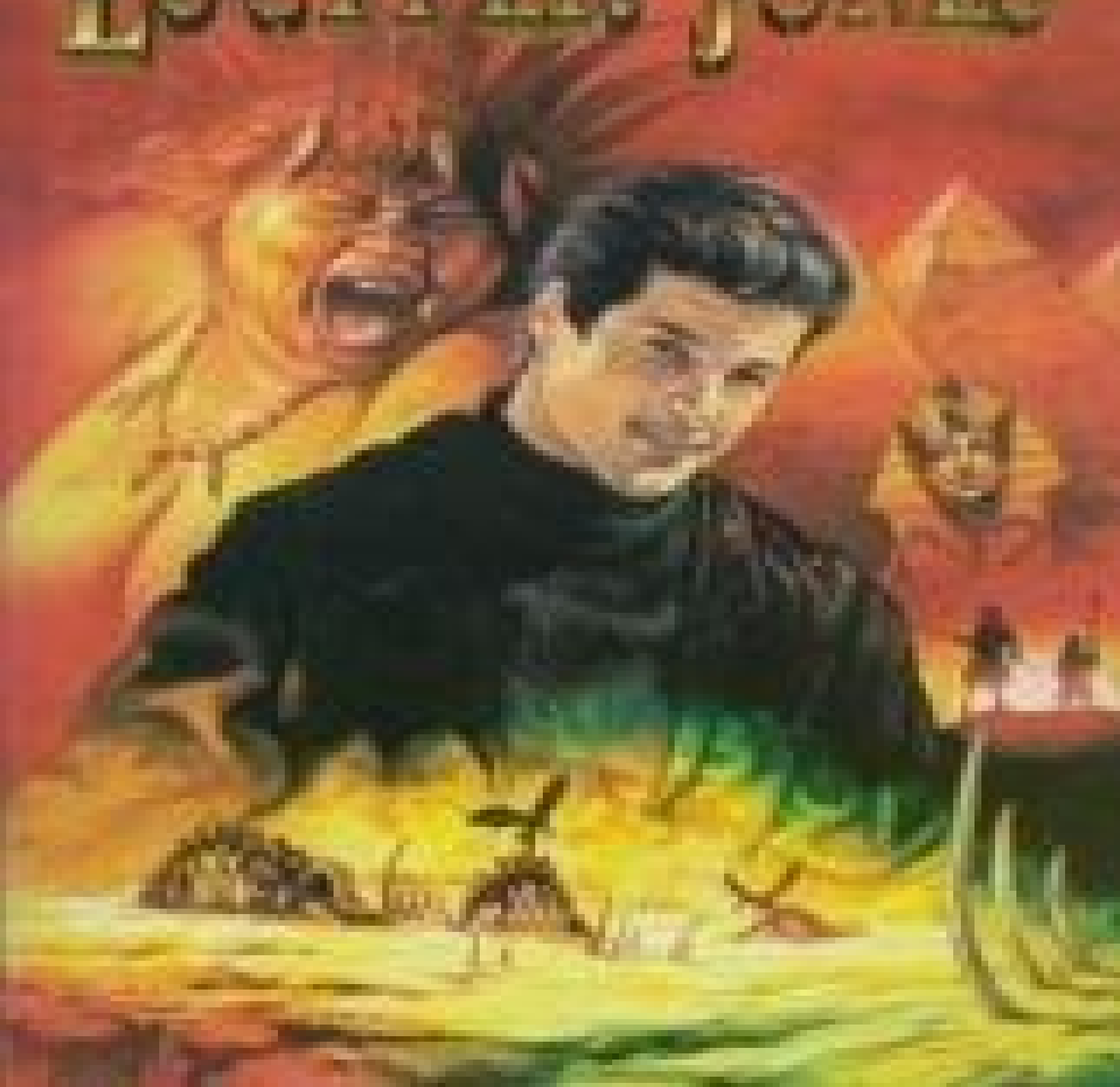


Mike Rasmick



# LUCYFERA JONES



**Mike Resnick**

# **LUCYFER JONES**

Przełożył Wiesław Lipowski

Tytuł oryginału *Adventures*

Copyright © 1985 by Mike Resnick

*Dla Carol –  
ulubiona książka dla ulubionego Człowieka*

## Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1 BIAŁA BOGINI](#)

[Rozdział 2 PARTNERZY](#)

[Rozdział 3 WAMPIR](#)

[Rozdział 4 HANDEL NIEWOLNIKAMI](#)

[Rozdział 5 MUMIA](#)

[Rozdział 6 EDYCJA POMNIKOWA](#)

[Rozdział 7 BUNT](#)

[Rozdział 8 SPRAWA SERCOWA](#)

[Rozdział 9 ZAGINIONA RASA](#)

[Rozdział 10 WŁADCA DŻUNGLI](#)

[Rozdział 11 NAJLEPSZA BAZYLICZKA W NAIROBI](#)

[Rozdział 12 CMENTARZYSKO SŁONI](#)

## Obsada

Holender, który pragnie, by jego operacje w handlu niewolnikami traktować jako Międzynarodowe Pośrednictwo Pracy.

Erich von Horst, oszust nad oszustami.

Herbie Miller, kłusownik kości słoniowej i wampir na godziny.

Długi Schmidt i Krótki Schmidt, bracia z Pittsburgha i bogowie w zaginionym królestwie Malaloki.

Burley Rourke, lekarz, specjalista od chorobliwej łatwowierności.

Rosepetal Schultz, która różni się od większości królowych Egiptu tym, że przyszła na świat dwadzieścia trzy lata temu w Brooklynie.

Gryzoń, małej postury zabójca szesnastu albo trzydziestu pięciu ludzi, który ze względów zawodowych zrezygnował z imienia Łasicy.

Pan Christian, oficer na pokładzie dobrego statku *Dying Quail*.

Bloomstoke, wysoki i opalony na brąz brytyjski arystokrata, który ukrywa się przed swoimi wierzycielami wśród gromady małp.

Neeyora, po prostu wasza typowa naga, blondwłosa bogini, która plus minus jedna uncja, ma dwieście kilogramów żywej wagi.

Łapacz Clyde Calhoun, który przywozi je żywe. Nie całe i zdrowe, ale żywe.

Amenhotep III, którego mumia nosi ulicami Kairu półnągą dziewczynę, a później wpisuje się na listę gości w hotelu Shepharda.

Major Theodore Dobbins, który gustuje w bogatych wdowach, spekuluje pewnym łatwo psującym się towarem importowanym z dalekich, egzotycznych Chin i wskazuje na wschód.

Oraz nasz narrator – wielce czcigodny, wielebny doktor Lucyfer Jones, wyznawca skromnej religii, którą on i Bóg wykombinowali między sobą pewnego niedzielnego popołudnia. Jego bazylika to najlepiej prosperujący burdel w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. Zdecydowanie inaczej niż czternaście afrykańskich rządów pojmuje niektóre drobne niuanse prawa, a przy tym świetnie oszukuje.

# Rozdział 1

## BIAŁA BOGINI

znałem prawdziwego wampira. Było to w Afryce, mniej więcej sześćdziesiąt lat temu, a nazywał się on Herbie Miller. Moim zdaniem, nie wyglądał za bardzo na wampira – chodził w spodniach khaki, które własnoręcznie skrócił powyżej kolan, nie miał ulizanych włosów ani niczego podobnego. Wprawdzie stronił od krzyży, ale światło nie przeszkadzało mu zupełnie i nie miał problemów z chodzeniem po bieżącej wodzie, mimo że nie umiał pływać i truchlał na widok wąskiej kładki.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo zaciekała go moja osoba, zwłaszcza że owych w czasach byłem duchownym; a jednak go zaciekała. Kiedy nie próbował chwycić mnie za kark, co było zresztą dość trudne, jako że biedak liczył metr sześćdziesiąt w kapeluszu i bez drabiny nie miał szans na osiągnięcie celu, Herbie Miller knuł plany wysłania mnie do szpitala w jakiejś dziurze, bynajmniej nie do Alberta Schweitzera. Chciał pożyczyć ode mnie trochę krwi, za którą obiecał zapłacić mi w funtach, rupiach bądź innej walucie, jaką miał nadzieję znaleźć w czasie jednego z najbliższych posiłków.

Wiecie, w tamtych czasach, pominąwszy zwierzęta, których niezbyt wiele spotkałem, nie licząc tych podczas kłusowania na kość słoniową – Afryka była dość ciekawym miejscem. Miałem swoją trzódkę i świątynię, no i był oczywiście Herbie Miller, który zjawił się w przerwie pomiędzy moimi krótkimi wycieczkami handlowymi do burdeli albo odjazdami w opium. Byli tam także Długi Schmidt i Krótki Schmidt, dwaj bracia, którzy stali się bogami, oraz cała gromada innych osób.

W dawnych czasach w Afryce roiło się od takich szemranych typków. Nazywali siebie poszukiwaczami przygód, odkrywcami, myśliwymi i misjonarzami, na ogół byli jednak wyrzutkami społeczeństwa. Zbierali się w dużych skupiskach ludności, przeważnie w Johannesburgu, Nairobi, Mombasie, Pretorii i innych podobnych metropoliach. Od czasu do czasu zapędzali się w busz, który jedynie pisarze brukowi nazywają dżunglą. Gonili za wszystkim: od kości słoniowej i zaginionych kopalń złota po półnogie, dzikie kapłanki. Wielu znalazło kość słoniową, kilku – złoto, lecz znam tylko jednego, który osobiście wszedł do buszu i znalazł białą kobietę. Był nim Irlandczyk, Burley Rourke.

Spotkałem go w parę dni po zejściu ze statku. Byłem młody, pełen nadziei i popisywałem się pierwszym zarostem. Różnica zdań w trakcie pokątnej partyjki hazardu sprawiła, że zaproszono mnie do odwiedzenia zakamarków johannesburskiego więzienia. Aczkolwiek gustownie wyposażone, nie było rezydencją, którą wybrałbym na swoją tymczasową siedzibę, gdyby to zależało ode mnie.

Rourke rozwalał się na pryczy w sąsiedniej celi. Był to wysoki, trupioblady mężczyzna o czarnych, krzaczastych brwiach i z głębokim dołkiem na podbródku. Miał najdłuższe, najbielsze i najdelikatniejsze palce, jakie kiedykolwiek spotkałem u mężczyzny. Kiedy zobaczyłem jego czyste paznokcie, zapytałem, czy i on znalazł się tutaj z powodu nieco dowolnego rozumienia ostrych reguł hazardu. Okazało się, że trafiłem w dziesiątkę.

– Trudniłeś się, bracie, pokerem czy grą w kości? – spytałem na koniec.

– Ani jednym, ani drugim – odparł. – Jestem lekarzem, leczę przypadki chorobliwej łatwowierności.

W tym momencie zrozumiałem, że bez problemu znajdziemy wspólny język.

– \ ty? – spytał. – W tym czarnym stroju od stóp do głów przypominasz mi kaznodzieję.

– Zaiste, bracie Rourke – odparłem z wrodzoną skromnością.

– Po pierwsze nie wiem, jakim cudem taki porządny człowiek jak ja wplątał się w tę zgraję grzeszników. Moim zdaniem, wypełniałem po prostu boskie przykazanie traktowania każdego mężczyzny jak brata. Oczywiście, nie przyszło mi na razie do głowy traktować wszystkich kobiet jak siostry.

– A jaką religię głosisz?

– Tę, którą Pan i ja wykombinowaliśmy między sobą któregoś popołudnia. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że moje powołanie zostało określone już w dniu mych urodzin. Rodzice mieli małą farmę pod Moline w stanie Illinois. Kiedy okazało się, że żyję i nic mi nie grozi, matka wysłała ojca do władz okręgowych, aby mnie zarejestrowali. Miałem się nazywać Lucas Jones albo Lucius Jones, nadal nie jest to dla mnie jasne. Niestety, podobnie jak jego koń, który nie potrafił ominąć jabłka na przydrożnym drzewie, ojczulek nie potrafił ominąć żadnej knajpy. Dotarłszy na miejsce podał pierwsze z brzegu imię, jakie mu ślina na język przyniosła. Tak oto zostałem Lucyferem Jonesem.

Tak czy inaczej, każda akcja podobno wywołuje reakcję równie wielką, lecz odwrotnie skierowaną. Sądzę więc, że noszenie imienia Lucyfera ukazało mi boleśnie, po kim je dostałem. To oczywiste, że ciągnęło mnie do kościoła, a szczególnie kuszące wydawały mi się rozmiary puszek na datki dla ubogich. Nader więc szybko zawiązaliśmy z Bogiem rodzaj dwuosobowej spółki, po czym wyjechałem prowadzić Jego interes. I był to niezły interes, dopóki któregoś dnia nie odwiedziło mnie dwóch agentów federalnych. Zawsze uważałem, że płacenie podatku dochodowego jest dobrowolne, tak jak służba wojskowa i temu podobne. Cóż, zostałem na miejscu i bił się z nimi, ale zemsta należy do Pana, toteż którejs nocy pobiegłem nad Missisipi i wskoczyłem na pierwszy statek z Nowego Orleanu.

– No, tak – stwierdził Rourke, kiedy opowiedziałem mu minimalnie upoetyzowaną historię swojego życia. – Wierzę, że zostaniemy przyjaciółmi, Święty Łukaszu. Nie przeszkadza ci, że będę cię nazywał tym imieniem, prawda?

– Nic a nic, bracie Rourke – odparłem. – Ma takie dobre, uczciwe brzmienie. W istocie, obróciwszy je na języku przyznaję, iż z każdą chwilą podoba mi się ono coraz bardziej. Chciałbym, by za twą uprzejmą zgodą ci bezbożni ciemni poganie wybudowali mi tutaj bazylikę Świętego Łukasza. Gdy opuszczę te nikczemne progi, ma się rozumieć.

– Ach – bąknął, drapiąc się w czoło i szarpiąc wąsy. – Wielka szkoda. Ale, oczywiście, jeśli człowiek czuje w sobie powołanie...

– Dość słabe w tym momencie – wtrąciłem, zastanawiając się, co też miał na myśli. – Nic takiego, czego nie można by przewyciężyć, gdybym zabrał się ostro do roboty. – Zgrzytnąłem zębami na znak gotowości do tego wysiłku, lecz on, myśląc, że się uśmiecham, odwzajemnił się wyszczerzeniem zębów.

Rozpiął kieszeń przy koszuli i rozłożył ogromną kartkę papieru. Otrzeptał ją lekko z kurzu i podał mi przez kraty.

– Widziałeś kiedy taką? – spytał.

Spojrzałem i oddałem.

– Jeśli to mapa kopalni króla Salomona, widziałem ich ze dwadzieścia. Jeśli cmentarzyska słoni to – odkąd tu kibluję – mogłem widzieć najwyżej kilka przez ostatni tydzień ponieważ są dość rzadkie.

Parsknął śmiechem.

– To mapa zaginionej kopalni złota Zulusów. Widziałem tylko jedną.

– Musiała zaginać dawno temu – orzekłem. – Nie przypominam sobie, abym widział Zulusa,

noszącego cokolwiek innego niż naszyjnik z lamparcich pazurów.

– Co sądzisz? – zapytał.

– O kopalni złota?

– O mapie.

Nie przestawał się wyszczerzać; raptem niebiańskie objawienie ugodziło mnie dokładnie między oczy i z czystej kurtuazji uśmiechnąłem się do niego.

– Jak uważasz, ile możemy wyciągnąć? – zapytałem.

– Cóż, musimy poszukać starego papieru i dowiedzieć się, jakiego węgla drzewnego tubylcy używają do rysowania. Potrzebujemy mniej więcej trzech szylingów na materiały.

– Ty dostarczyłeś mapę, bracie Rourke – zauważyłem. – Ja dostarczę kapitały. Zakamuflowałem w pokoju kilkanaście egzemplarzy Pisma Świętego. Nie powinno być trudności z ich upłynnieniem. W mieście jest pod dostatkiem wdów, które mogłyby znaleźć pocieszenie w słowach naszego Pana i Jego proroków.

– Świetnie – odparł. – Sądzę, że uda nam się wykonać jakieś pięćdziesiąt map.

– Aż tak dużo? – zdziwiłem się. – Nie chcemy zalać rynku.

Zrobił zgorzowaną minę.

– To byłoby nieetyczne. Dziwne, że taka myśl w ogóle powstała w twojej głowie, Święty Łukaszu. Osobiście sądzę, że dla przyzwoitości nie powinniśmy puszczać w obieg więcej niż pięć na godzinę.

– Przynajmniej dopóki nie znajdziemy się w Pretorii.

Przypieczętowaliśmy nasze partnerstwo serdecznym uściskiem dłoni.

Wyszliśmy z Burleyem jakiś tydzień później i po upływie kolejnego tygodnia wykonaliśmy i puściliśmy w obieg bez mała dwieście map, zgromadziwszy w ten sposób okrągłą sumkę.

Rzecz jasna w tym czasie w buszu zaroilo się od awanturników, jakichś dwóch setek pełnych nadziei inwestorów, szukających zaginionej kopalni złota. Skręciliśmy zatem na północ do Beczuanii, zatrzymując się na samotnych placówkach, by z równym entuzjazmem sprzedawać mapy, pomoc medyczną i odpusty. Zacząłem zbierać datki na bazylikę Świętego Łukasza, a Rourke zarobił dodatkową forszę na leczeniu dwu osadników, którzy nie dostali ataku serca, i jeszcze jednego, który nie złamał nogi. Trafivszy na kupca, który faktycznie cierpiał na malarię, Rourke uznał, że najwyższy\*czas pakować manatki.

Cóż, dla świeżo przybyłego Amerykanina i świeżo przybyłego Irlandczyka istnieje mnóstwo sposobów przemierzania Afryki, lecz z pewnością nie należy do nich powłóczenie nogami. Kiedy nie wyciągaliśmy skorpionów z ubrań i kleszczy ze skóry, to byliśmy głodni albo spragnieni, bądź szalała ulewa. Miała to być sucha, jałowa kraina, a w życiu nie widziałem tyle deszczu na raz. Zniszczył nam resztę map, ale skoro sprzedaliśmy już około trzystu, nie wydawało się to wielką stratą.

Poza tym okazało się, że zuluskie kopalnie złota nie stały najwyżej w hierarchii celów naszej eskapady. Zdecydowanie bardziej przydałaby się nam mapa wskazująca drogę do najbliższego miasta.

Pamiętam, że którejs nocy, gdy zapasy jedzenia były już na wyczerpaniu, zdrzemnąłem się przy starym kopcu termitów. Akurat śniła mi się nadzwyczaj dojrzała córka króla Salomona, a może była to latorośl króla Dawida, kiedy Burley kopnął mnie w zębra. Parę razy wezwałem nadaremno imię Pana i próbowałem zasnąć na powrót, ale Irlandczyk poczęstował mnie drugim kopniakiem.

– Wstawaj, Święty Łukaszu – oznajmił. – Mamy towarzystwo.

Na te słowa zerwałem się szybko i poszedłem za wzrokiem

Burleya. W oddali stało około dwudziestu półnagich dzikusów, wszyscy trzymali w rękach



dzidy i tarcze.

– Myślisz, że to ludożercy, bracie Rourke? – spytałem, podnosząc rękę dla osłony wzroku przed słońcem.

– Za daleko – odparł. – Nie widać ich zębów.

– Co ich zęby mają z tym wspólnego?

– Czytałem gdzieś, że ludożercy piłują sobie zęby.

Przywołałem na pamięć pewną plotkę. Opowiadała ona o starym doktorze Petersonie z Moline, nim zamknięto go pod kluczem. Dałbym głowę, że staruszek nie piłował sobie zębów, tak więc odrzuciłem teorię Irlandczyka. Tymczasem gdy dzikusy podeszły trochę bliżej, okazało się, że większość wyglądała na dość sytych, uznałem zatem, że na razie nie ma powodów do niepokoju.

– Co powinniśmy zrobić, twoim zdaniem? – spytał Rourke.

– Uzdrowić ich, czy nawrócić?

– Nie wyglądają na takich, którzy potrzebują jednego bądź drugiego – orzekłem, gdy podeszli na odległość stu kroków. – Nie sądzę, żebyś znał bantu albo suahili?

Potrząsnął głową.

– W Dublinie nie mówią nimi zbyt często. A może paciorki? Podobno szaleją za paciorkami.

– Brzmi rozsądnie, bracie Rourke – przyznałem. – Nie wiedziałem, że nosisz je przy sobie.

– Ja? Skądże znowu. Nie masz przypadkiem w kieszeni paciorków od różańca?

– Mylisz religie – odparłem.

Dzikusy podeszły już na odległość czterdziestu metrów i mamrotały między sobą. Zwolniły kroku, ale nieustannie podchodziły coraz bliżej.

– Zdaje się, że mają do nas jakąś sprawę – bąknął Rourke.

– Nie powinniśmy uciekać?

– Dokąd? – wyszeptalem. – Nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy.

– Domyślam się, że Kair leży na północy, a Kapsztad na południu. Wybieraj.

Tymczasem przybysze rozdzielili się i po chwili byliśmy już okrążeni. Wyciągnąłem z kieszeni Pismo Święte, odchrząknąłem, uniosłem ręce nad głowę i postąpiłem krok do przodu.

– Bracia! – krzyknąłem, a wszyscy odskoczyli do tyłu.

– W Księdze Heroda, rozdział ósmy, werset trzeci, Pan rzecze do Mojżesza: Nie będziesz zjadał bliźniego swego!

Wódz pogan stanął jak wryty i zamrugnął nerwowo oczami.

– Rozumieją cię – szepnął Rourke kącikiem ust. – Dorzuć coś jeszcze. Może trochę ognia piekielnego i wiecznego potępienia.

Synowie Izraela byli nikczemni – zaintonowałem. – A wiecie, dlaczego byli nikczemni? Bo zjedli dwóch podróżników, którzy omyłkowo zawędrowali do ich miasta. Czyż Jezus nie uczy nas, że błędzić jest rzeczą ludzką, a wybaczać – boską? I synowie Izraela, którzy ubierali się o niebo lepiej niż wy, bezbożne dzikusy, zostali wypędzeni na pustynię i musieli wędrować przez czterdzieści lat! Chcecie, żeby to samo spotkało was, przeklętych, ciemnych barbarzyńców?

– Ale dałeś im popalić, Święty Łukasz! – ucieszył się Rourke. – Ruszyło ich do żywego!

Cóż, ruszyło ich do żywego, tyle że w złym kierunku. Nie minęło kilka chwil, a ich wódz znalazł się tak blisko mnie, że niemal czułem jego oddech.

– Zrób coś, żeby się uśmiechnął – syknął Rourke. – Chciałbym rzucić okiem na jego zęby.

W odpowiedzi dzikus wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Tak? – spytał niskim, chrapliwym głosem. Następnie z groźnym wyrazem twarzy wyciągnął palec i dźgnął mnie w zebro. – Ty iść! – Odwrócił się do Burleya i trącił go drzewcem dzidy. – Ty

też!

Przychyliłiśmy się do jego prośby, odkładając na potem dyskusje w sprawie innego rozwiązania tej sytuacji. Nie traktowali nas źle, ale przecież żaden fachowy rzeźnik nie lubi okaleczać mięsa, nie powiem zatem, by spieszyło nam się do odbudowy wzajemnego zaufania między nami a naszymi czarnymi kompanami. Szliśmy przez większą część dnia, zatrzymując się od czasu do czasu, aby nabrać wody i odpowiedzieć na zew natury. Nocą rozpaliliśmy wielkie ognisko i gromadziliśmy się wokół niego, bardziej z zimna niż ze strachu przed ludożerczymi bestiami. Nie spotkaliśmy żadnych, poza tymi, którzy właśnie nam towarzyszyli. W końcu podszedł do nas wódz i ze skrzyżowanymi nogami usadowił się na ziemi. Pokazał na siebie i oznajmił:

– Kitunga.

– Rourke – przedstawił się klepiąc w piersi Burley. – A tamten to Święty Łukasz.

Kitunga uroczyście wyciągnął rękę, jakoś tak kciukiem do dołu, i uściśnął nam dłonie.

– To znaczy, że nie zamierzacie nas zjeść? – spytał Rourke.

– Zjeść? – roześmiał się Kitunga. – Nie. Nie. Nie zjeść.

– No to czego od nas chcecie?

– Czumbi-czumbi – odparł Kitunga.

– Brzmi niczym jakiś rytuał – zauważył Rourke. – O co tu chodzi, do diabła?

Kitunga błysnął garniturem zębów.

– Robić dzieci. – Ponownie uściśnął nam dłonie, splunął w ogień i zaczął się oddalać.

– Chwileczkę! – zawołałem, podnosząc się z ziemi. – Jak to, robić dzieci?

– Robić dzieci – powtórzył uroczystym tonem. Wskazującym palcem prawej ręki i pięścią lewej dał nam obrazową i energiczną lekcję pogładową.

– Mamy robić dzieci z jakimiś nagimi, czarnymi dzikuskami? – spytałem.

– Nie z czarnymi – odpowiedział. – Z taką jak ty. Jak ty.

– To znaczy, z białą kobietą? – zapytał Rourke.

– Tak – odparł Kitunga. – Z białą.

Jak możecie sobie wyobrazić, natychmiast wszczęliśmy z Irlandczykiem dyskusję na temat rozwoju wydarzeń, Kitunga zaś od-maszerował na spoczynek do swoich chłopaków. W tamtych czasach krążyło mnóstwo legend o białych kobietach, które były kapłankami albo boginiami u pogańskich plemion murzyńskich. Choć miło było ich słuchać przy ognisku w głuszy czy przy barze hotelu Norfolk, wydawały się jednak równie rzeczywiste, jak nasza zaginiona kopalnia złota Zulusów.

– Moim zdaniem, bracie Rourke – przemówiłem po dłuższym zastanowieniu – nasze dzikusy zabiły grupę myśliwych, pozostawiając przy życiu białą kobietę. Na pewno przywiązali ją do słupa i gwałcą od godziny.

– Święty Łukaszu, nie wiem, czy mam się cieszyć z takiego obrotu sprawy – odparł Rourke.

– Ach, przyznaję, wolę to, niż trafić do kotła, obawiam się jednak, że biedaczka będzie oczekiwała od nas ratunku.

To była zaiste ponura myśl, którą wyraziłem i dodałem:

– Jest to jednak chrześcijański obowiązek.

– Mógłbyś kazać jej nadstawić drugi policzek; myśl fascynująca sama w sobie – odparł.

– Mhm, nim zaczniemy denerwować Kitungę, upewnijmy się przynajmniej, czy damulka chce być uratowana – zaproponowałem.

– Słusznie – przyznał. – Człowiek z biegiem czasu przyzwyczaja się do wszystkiego. Może już polubiła to, że się ją gwałci.

– Celna uwaga – przyznałem.

Milczeliśmy przez chwilę, aż nagle coś mnie tknęło.

– Bracie Rourke – oświadczyłem. – Zdaje się, że zdecydowanie błędnie oceniamy sytuację.

– Jak to?

– Czemu zgraja osiłków miałaby potrzebować naszej pomocy w gwałceniu branki?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Jakbyś zgadł, to się kupy nie trzyma, prawda?

– Prawda jak cholera.

– Naukowa ciekawostka, no nie? – zastanawiał się głośno.

– Wykluczone – odparłem. – Dumam o tym od kilku minut i doszedłem do wniosku, że gdyby o n

i wybierali kochanków dla tej białej facetki, bez dwóch zdań wskazałoby na siebie.

– To się trzyma kupy – przyznał, kiwając w zamyśleniu głową.

– Skoro nie oni wpadli na pomysł ściągnięcia nas do wioski, wychodzi na to, że ona.

– Niegłupie – mruknął. – Niegłupie.

– A skoro rządzi gromadą pogan z dzidami, takich jak Kitunga i jego kumple, musi być z niej potężna władczyni.

– Ja cię kręcę! – wykrzyknął nagle Rourke. – Niewyżyta seksualnie biała bogini! – Spoglądał na chmury, które jak zwykle zasłaniały gwiazdy, i powoli jego twarz nabierała wyrazu roztargnienia. – Złociste włosy do samej talii, piersi jak białe melony. Może jakaś bransoletka, dwie albo tylko jedna przepaska...

Nie odnosiłem wrażenia, że malowany przezeń obraz był dużo bardziej nęcący niż uwiązana do pala i rozciągnięta na ziemi biała branka, domyśliłem się jednak, że Rourke woli, aby mu nie przeszkadzano. Zacząłem rozmyślać o tym, jaką bazylikę ja i ta biała kapłanka moglibyśmy zbudować w buszu, nim weźmiemy się za handel kością słoniową i innymi cackami z cywilizowanymi ludźmi. Nie znałem wielkości jej plemienia, ale jeśli banda Kitungi stanowiła tylko oddział harcówników i porywaczy, to kobitka musiała dysponować cholernie dużą siłą ludzką, gotową na każde jej warknięcie. Co do Burleya, uznałem, że nie był z niego aż taki zły gość. Może pozwolę mu zatrzymać się na trochę i pełnić rolę osiadłego szamana, o ile nie będzie za często nadużywał gościnności, na przykład wpadając na obiad w niedzielę albo zamęczając nas prośbami, abyśmy ukradli białą kobietę także dla niego.

Dziesięć minut później Rourke nadal snuł owe wyobrażenia w wilgotnym, nocnym powietrzu. Teraz włosy sięgały jej do kostek, a piersi były wielkości zielonych melonów. Chyba zrezygnował też z przepasek. Szeptał tak do tego wymagowanego obrazu przez całą noc. Nad ranem pracowicie odmalowywał kolor jej oczu i smukłość talii.

Po wschodzie słońca zrobiło się na tyle ciepło, że mogliśmy ruszyć w dalszą drogę – obojętnie, jak gorąco jest w Afryce za dnia, nocą dałbyś głowę, że zabłądziłeś do krainy Eskimosów. Kitunga trącił nas łagodnie grubszym końcem swojej dzidy i pomaszerowaliśmy przed siebie. Szliśmy głównie otwartą sawanną, ale od czasu do czasu musieliśmy forsować wysokie trawy na starych szlakach słoni i nosorożców. W końcu zacząłem wypytywać Kitungę o białą kobietę.

Niewiele z tego wyszło, bo dzień wcześniej wyczerpał cały zasób swego słownictwa w języku angielskim. Nie miałem pojęcia, gdzie jego plemię znalazło tę kobietę, jak wygląda, czy przebywa u nich tak długo, że zdążyła zapomnieć cywilizowaną mowę, a nawet dlaczego czuje potrzebę robienia dzieci. Jedno wszakże wyszło na jaw. wymknęło mu się, że jest szamanką, co zapewne wśród tych pogan równało się pozycji arcykapłanki. Zatem Rourke miał rację przynajmniej co do tego. Ucieszyłem się, że wszystko układa się znakomicie. Gdy rozpocznę z nią wyprawy terenowe do Nairobi i innych miejscowości, plemię będzie potrzebowało dobrego szamana. Rourke nie zdołałby

unieszkodliwić zarazka dyzenterii, ale na pewno potrafił zagadać go na śmierć.

Szliśmy jeszcze przez dwa dni. Próbowałem wykalkulować, gdzie jesteśmy, lecz wszystkie drzewa wyglądają niemal identycznie. Chlustało takim deszczem, że nie udało mi się wypatrzeć Krzyża Południa ani innych konstelacji. W końcu dałem spokój i dalej kuśtykałem przed siebie. Kiedy rozłożyliśmy obóz na drugą noc, Kitunga dał nam do zrozumienia, bardziej gestykulacją niż słowami, że nazajutrz rano będziemy w wiosce.

– I tam spotkamy waszą szamankę? – zapytałem.

– Tak, tak – odparł.

– A potem obaj wprowadzimy się do niej?

– Tylko jeden.

– Tylko jeden? – spytał Rourke z lekko zmartwioną miną.

– A co z drugim?

Kitunga wzruszył ramionami i odszedł.

– Zdaje się, że zwycięzca pożera zwyciężonego, bracie Rourke

– oznajmiłem na koniec.

– W życiu bym cię nie zjadł, bez względu na okoliczności

– odparł nabożnie.

W pełni zgodziłem się z tą uwagą, po czym Pan i ja zajęliśmy się obmyśleniem sprawy między sobą. Próbowaliśmy znaleźć najlepszy sposób na pozabawienie Burleya okazji.

Pozornie nie było żadnego problemu, który mógłby mi spędzać sen z powiek. Byłem przystojnym, pełnym wigoru młodym luzakiem o sokolim wzroku, lwim sercu i łagodnej ręce niewiasty. Lecz kobiety miewają dziwaczne upodobania, a damulka, która wysyła mały batalion nagich wojowników w poszukiwaniu partnera do łóżka, była chyba dziwniejsza od innych.

Zastanawiając się nad tą sprawą poczekałem, aż Rourke zaśnie i pożyczyłem od Kitungi ostry nóż myśliwski. Poszedłem do pobliskiej rzeki, ściałem bródkę, ogoliłem się możliwie najdokładniej i wyjąłem ubranie. W drodze powrotnej minąłem stertę słoniowego łajna, leżącego już od dobrych kilku dni. Nabrałem go trochę i roz-smarowałem ostrożnie na koszuli i spodniach Burleya. Nie wiedząc, czy podejście do tego z humorem, z jakim ja to zrobiłem, oddaliłem się do chłopców Kitungi i zawiązałem globusa obok nich. Któryś zmarnował pół nocy na grzebanie przy moim tyłku i chichoty, zbudziłem się jednak cały i w jednym kawałku.

Jeśli chodzi o ścisłość, obudził mnie krzyk Burleya. Wrzeszczał jak opętany, zrzucił z siebie całą odzież prócz butów i wykonywał szaleńcze podskoki. Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem i wyciągnął palec.

– To twoja sprawka, Judaszu! – ryknął. – Ty sukinsynu! Chcesz ją całą dla siebie! Tyś to zrobił!

– Uspokój się, bracie Rourke – odparłem. Podszedłem bliżej, starając się kryć za plecami jednego czy dwóch wojowników.

– Zupełnie nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Niech cię szlag! – wrzeszczał. – Dobrze wiesz, łobuzie, oczym mówię! Zapamiętaj moje słowa, nigdy jej nie dostaniesz, chyba że po walce na śmierć i życie!

Wzruszywszy ramionami spojrzałem na Kitungę. Wyszczrzył zęby i machnął ręką na swoich ludzi, aby ruszali w drogę.

– Iść już – oznajmił.

– Zaraz, do diabła! – warknął Rourke. – Muszę się oczyścić. Kitunga podszedł do niego i ukłął go cieńszym końcem dzidy.

– Iść już – powtórzył.

Burley opuścił ramiona. Zmitrężył tylko tyle czasu, ile potrzebował na przełożenie pieniędzy z kieszeni w spodniach do butów i ruszył razem z nami. Przedstawiał widok nader komiczny: dwumetrowy chudzielec, przedzierający się przez busz w starych, dziurawych butach myśliwskich. Uznałem jednak, że bezpieczniej będzie podziwiać go z daleka i kryć się zawsze za kilkoma dzikusami.

Po jakichś dwu godzinach dotarliśmy na szczyt wzgórza. Spojrzałem w dół i obok strumienia, który przecinał rozległą dolinę, zobaczyłem krąg ciemnych chat.

Poprawiłem marynarkę, zapiąłem koszulę pod samą szyję, postarałem się trochę przyliżać palcami włosy i zagadałem do Kitungi.

– Jak się nazywa? – spytałem.

– Neeyora – odparł.

Imię jej dźwięczało z lekka wesołą nutą i pasowało idealnie do funkcji szalowej kapłanki wśród tych bezbożnych dzikusów. Pomaszerowałem na dół w kierunku doliny, aby Rourke nie musiał cierpieć ani chwili dłużej, niż to było konieczne.

Kiedy znalazłem się mniej więcej sto metrów od wioski, stanąłem jak wryty i zamrugłem kilkakrotnie oczami. Spojrzałem przed siebie jeszcze raz, aby się upewnić, że nie ulegam złudzeniu.

– Bracie Rourke – powiedziałem. Burley zatrzymał się i w milczeniu przewiercał mnie wzrokiem. – Dziś rano postąpiłem okropnie, podle i nikczemnie. Pragnę naprawić wyrządzoną ci krzywdę. Możesz wziąć, jeśli chcesz, moje wszystkie ciuchy, zostaw tylko kapelusz. Potrzebuję go do osłony przed słońcem i deszczem. Z przyjemnością natychmiast ci je oddam.

– O czym ty mówisz, u diabła? – spytał z absolutnie nieuzasadnionym wyrazem podejrzliwości na twarzy.

– Nie chcę po prostu, aby Pan patrzył na mnie z góry z oburzeniem za to, że próbowałem cię oszukać w taki niecny sposób.

Zabrałem się do rozpinania koszuli, ale Kitunga wymierzył dzidą w mój pępek i szczerząc zęby potrząsnął energicznie głową.

– Chcę mu dać tylko coś z ubrania – powiedziałem.

– Nie, nie – wymamrotał, dźgając mnie ostrzem w podbrzusze.

– Co jest grane? – zapytał, podchodząc bliżej Rourke.

– Miałaś rację, że to blondynka – odparłem. – Ale zbyt skromnie oceniłaś piersi.

– Jak to? – spytał z nieufną miną.

– Żadne zielone melony, bracie Rourke – westchnąłem. – Istne arbuzy.

Przysłonił sobie oczy i spojrzał w kierunku wioski. Przed największą chatą siedziała biała, półnaga kapłanka. Mówiąc ściśle, była naga „dziewięćdziesięciu pięciu procentach; na okrycie połowy jej ciała potrzebna była skóra małego słonia.

Pod warstwą brudu i tłuszczu miała włosy blond. Nawet gdy podeszliśmy bliżej, nie mogłem rozpoznać koloru jej oczu – były zbyt głęboko zapadnięte w fałdy zwiotczającego ciała, abym mógł stwierdzić, czy w ogóle je miała. Szerokość barów przyniosłaby zaszczyt goryłowi. Zwisające daleko pod talią piersi mogłyby wykarmić całą armię. Siedziała w błocie, obracając przed sobą na ziemi jakieś kości i zaschnięte szczątki małych jaszczurek. Sprawiała wrażenie, jakby próbowała usiąść po turecku, tyle tylko że tak grube nogi nie mogły się zginać. Rourke pomylił się także co do przepaski. Nie sądzę, aby zdołali sklecić tak dużą, aby na nią weszła.

– To ona? – spytał Rourke. – To jest Neeyora?

Kitunga przytaknął ruchem głowy.

Rourke odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować, Święty Łukaszu! – Omiótł wzrokiem ziemię. – Nigdzie nie widać słoniowego gówna, co?

– zapytał, po czym parsknął śmiechem i zarzucił mi pokryte łajnem ręce na ramiona. – Puśćmy urazy w niepamięć! – oznajmił i ruszył na dół do chaty Neeyory.

– Ojczy, czemuś mnie opuścił? – westchnąłem i pozwoliłem się zaprowadzić do wioski.

Neeyora podniosła wzrok. Jeśli w spoczynku nie stanowiła obiektu pożądania, to w ruchu była już absolutnie koszmarna. Uśmiechała się od ucha do ucha – spora odległość z uwagi na rozmiary jej twarzy

– powiedziała coś do Kitungi i zaczęła oblizywać wargi. Dwóch krajowców bez pośpiechu pomogło jej wstać z ziemi. Zbliżyła się do nas, chichocząc jak szalona. Jej maleńkie oczka – teraz, z bliska, zobaczyłem, że były czerwone – przeskakiwały ze mnie na Burleya.

Wyciągnęła rękę i uszczypnęła mnie w ramię, a Burley zaniósł się histerycznym śmiechem.

Następnie przystąpiła do Irlandczyka. Jego brud, smród i nagość dorównywały jej własnym, była to więc miłość od pierwszego wejrzenia. Neeyora wydała krótki okrzyk triumfu, otoczyła Burleya ramionami – wskutek czego trzy czwarte dolnej połowy jego ciała praktycznie zniknęło z pola widzenia – i zaczęła ciągnąć go do chaty.

– Nie stój tak, Łukaszu! – zawył Rourke. – Zrób coś!

Gdybym miał przy sobie organki, zagrałbym może "Niech żyje młoda para!" W tych okolicznościach uznałem jednak, że najlepiej zachować skromną oprawę tej uroczystości, tak więc prócz poczęstowania brata Rourke kilkoma odpowiednimi cytatami z Pisma Świętego na temat miłości i małżeństwa, uśmiechnąłem się tylko, a gdy zniknął w mrocznych czeluściach ślubnej alkowy, pomachałem mu na odchodne. Piskliwe wrzaski w kilka minut później dały mi do zrozumienia, że zniknął także w mrocznych czeluściach swojej narzeczonej.

No cóż, Kitunga, ja i chłopcy zawędrowaliśmy do jednej z chat, gdzie zaczęliśmy sączyć jakieś piwo domowego warzenia i opowiadać sobie głodne kawałki. Nie rozumiałem ani słowa i wątpię, aby tamci rozumieli mnie, lecz dzięki piwu i w ogóle szybko zostaliśmy przyjaciółmi. Kilka godzin później Rourke opuścił chwiejnym krokiem swoją chatę. Nie sądzę, by Hiob mógł gorzej wyglądać po otrzymaniu najtragiczniejszej ze swoich wieści.

Z oczu Burleya zniknął cały żar, wyglądał jakby go ubyło. Padł obok mnie na ziemię. Podałem mu kubek miejscowego piwa, a on wychleptał wszystko bez słowa.

– Już zrobił dzieci, możemy teraz odejść? – spytałem Kitungę.

Pytanie to nie wiadomo dlaczego tak połaskotało Kitungę pod pachą, że nagle ryknął śmiechem.

Poczułem niepokój, gdyż wciąż nie wiedziałem, jaki właściwie los spotyka pechowych konkurentów. Wygląd Irlandczyka sugerował, że biedak i tak nie ma siły zrobić kroku, postanowiłem zatem odłożyć sprawę na później.

Siedzieliśmy tak dłuższą chwilę, sącząc piwo i podśpiewując sobie, kiedy raptem usłyszałem basowe wycie:

– Rerrk!

– O Boże, znowu? – mruknął Irlandczyk.

– Rerrk! – ryknęła Neeyora trochę tylko głośniejsze od rozszalałego słonia.

Burley sięgnął do buta i wyciągnął swoją część naszych pieniędzy, jakieś trzysta funtów brytyjskich.

– Weź je – powiedział. – Są twoje. Jeśli znajdziesz się kiedyś znowu w cywilizowanym świecie...

– Skrzyknę ludzi i wrócę po ciebie – obiecałem, trzymając kciuki za plecami.

Roześmiał się słabym głosem.

– Nie mam szans przetrwać tak długo. Nie, kup mi nagrobek i postaw go na cmentarzu w Johannesburgu. Gdyby zostało trochę forsy...

Zapewniłem go, że zostanie i uroczyście przyrzekłem tego dopilnować.

– Wejdź do najbliższego baru, postaw wszystkim kolejkę i wypijcie za moją pamięć.

– Nie chcesz, aby dać tabliczkę z twoim nazwiskiem na ławce w mojej bazylice? – zapytałem z troską.

– Nie, zrób to, o co proszę – wyszeptał.

– Rerrk!

Dwaj ludzie Kitungi pomogli Burleyowi wstać z ziemi i odprowadzili go z powrotem do rozplómonionej narzeczonej.

Pod jego nieobecność zabraliśmy się ostro do picia. W cichości ducha zasugerowałem Panu, by dał mi siłę dziesięciu mężczyzn, ponieważ serce miałem czyste. I niezawodnie, tylko ja nie straciłem przytomności w najbliższej godzinie. Po cichu napełniłem bukłak ostatnią porcją piwa i opuściłem wioskę wolny niczym ptak.

Dotarwszy na szczyt wzgórza zatrzymałem się, by ostatni raz rzucić na nią okiem, częściowo z sentymentu, głównie jednak dla upewnienia się, że nikt mnie nie ściga. Na dole nie widać było znaku życia. Po chwili jakaś postać wyczołgała się z chaty i ruszyła w kierunku piwa. Kilka sekund później rozległ się ryk, od którego naprawdę pękały bębenki w uszach.

– RERRK!

Nigdy więcej nie spotkałem już Bourleya Rourke i jego białej kapłanki.

## Rozdział 2

# PARTNERZY

J Trzewędrowawszy północ i wschód tego kontynentu, skumałem się na chwilę z Kanadyjczykiem o nazwisku Pinder, który piciem do lustra umiłał sobie drogę z Kapsztadu do Kairu, po czym zaniósł mnie na ostatnią stację kolejową w Ugandzie, skąd przyjechałem pociągiem aż do Mombasy na wybrzeżu. Tutaj wpadłem pechowo na trzy rozmaite grupy ludzi, którym kiedyś sprzedawałem mapy. Zupełnie nie dostrzegali komizmu sytuacji albo nie rozumieli, że ich ofiara poszła na zbożny cel. Jako że roztropność stanowi lepszą stronę waleczności, ruszyłem energicznie na południe i wyładowałem w Dar es-Salaam, stolicy czegoś zwanego wówczas Tanganiką.

Dar es-Salaam nie przypominało innych miast na Brytyjskim Wschodzie. Leżało nad oceanem, ale nie był to wielki port morski; znajdowało się w Afryce, lecz w promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie kręciło się nic większego ani dzikszego od kozy. Było stolicą, lecz miało ledwo sześć budynków, które mogły przetrwać silniejszy wiatr. Jego mieszkańcami byli w niemal równych proporcjach wschodni Indianie, czarni Afrykańczycy i niebieskie ptaki z całego świata.

Poczułem się jak w domu.

Wziąłem pokój w jedynym hotelu w mieście, ogoliłem się i wykapałem pod prysznicem, zjadłem solidny obiad i poszedłem do Maurice'a, to znaczy do portowej knajpy. Mniej więcej o północy znalazłem się w pokoju na zapleczu, obstawiając wyścigi skorpionów, a mając Pana po swej stronie, skończyłem noc z dwoma tysiącami funtów w kieszeni.

Wróciwszy do pokoju zastałem rozpartego na krześle jakiegoś mężczyznę. Był wysoki, choć nie tak jak Burley Rourke, miał szare, przenikliwe oczy i równo przystrzyżoną hiszpańską bródkę. Był cały ubrany na czarno: kapelusz, koszula, krawat, kamizelka, marynarka, spodnie, skarpetki, buty. W rzeczy samej moja duchowna sukienka wyglądała przy tym, jak kwiecisty płaszcz przeciwdeszczowy.

– Proszę o wybaczenie – przemówiłem – ale czy nie pomylił pan pokojów?

– Nie sądzę – odparł głosem tak kulturalnym i gładkim, że można by go wykorzystać do gotowania oleju. – Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Dobbins, Theodore Dobbins, były major sił zbrojnych Jego Królewskiej Mości. – Z tymi słowy wręczył mi czarną wizytówkę, z białymi literami i wystrzępionymi rogami.

Wyciągnąłem rękę.

– Przewielebny doktor Jones, do usług.

– No cóż, drogi doktorze Jones... – powiedział, wyjmując papierosa i wkładając go do cygarniczki z masy perłowej. – Nie będę owijał w bawełnę. Przyszedłem tu, ponieważ potrzebuję pańskiej pomocy.

– Zawsze chętnie pomagam bliźnim, majorze – odparłem, siadając na krawędzi łóżka. – Rozumie pan oczywiście, że wsparcie duchowe i pocieszenie kosztują nieco drożej po północy.

– Nie szukam pomocy duchowej, mój panie – oświadczył z oschłym chichotem. – Zaiste, nie duchowej. Dano mi do zrozumienia, że wieczorem wszedł pan w posiadanie znacznej sumy pieniędzy. Czy to prawda?

– Miłosierny Bóg uznał za stosowne uśmiechnąć się do mnie – stwierdziłem.

– Doskonale! – Zaciągnął się papierosem najwyraźniej zadowolony z mej odpowiedzi. – W takim razie jestem w stanie zaproponować panu krótki sojusz, który może nam przynieść obopólną korzyść. Wymaga to połączenia kapitałów.



– Pieniądze leżą na przechowaniu dla bazyliki Świętego Łukasza – odparłem. – Aby być jednak absolutnie szczerym, dodam, że budowa jej zostanie rozpoczęta najwcześniej za kilka miesięcy, kiedy skończy się pora deszczowa. Sądzę, że moi parafianie nie będą Wieli nic przeciw nadzwyczaj bezpiecznej krótkoterminowej inwestycji.

Doskonale rozumiem, łaskawy panie – oznajmił z uśmiechem. Nawet jego zęby miały gładki wygląd. – Doktorze Jones, handluję różnymi towarami. Wiele z nich to nadzwyczaj nietrwałe towary z pól dalekich, egzotycznych Chin. Właśnie taki ładunek znajduje się obecnie na statku zakotwiczonym o niecałe pół kilometra od nas... – Urwał dla zapalenia nowego papierosa. – Czy mam prawo przypuszczać, że pan całkowicie rozumie moje stanowisko?

– Ma pan – odparłem.

– A więc, proszę sobie wyobrazić moją konsternację, kiedy odkryłem, że mój wracający z Marakeszu wspólnik wpadł w zasadzkę i został zamordowany przez bandę arabskich handlarzy niewolników. Towary stoją w porcie, odbiorcy czekają na dostawę nad Morzem Śródziemnym, wynająłem karawanę, a mimo to jestem chwilowo niezdolny do puszczenia interesu w ruch. Przedsięwzięcie jest uziemione z braku niezbędnego kapitału. Co gorsza, na wieść o mych kłopotach konkurenci zaczęli się jak szakale, aby mnie dobić, łaskawy panie. Potrzebuję nie mniej niż tysiąc siedemset funtów szterlingów. Zysk z pańskiej inwestycji wyniesie, już za kilka dni, dziesięć razy tyle.

– Co to za konkurenci? – spytałem.

Machnął wymijająco ręką, jakby odganiał muchę.

– Ludzie o złych manierach i jeszcze gorszej moralności. Niewarci uwagi, chyba że z powodu tego nieszczęśliwego obrotu sprawy. Jeden z nich to handlarz ludzkim ciałem.

– Nie bogobojny dżentelmen, jak my?

– Drogi doktorze Jones – westchnął, ściskając serdecznie moją dłoń. – Rozumiemy się doskonale! Czy mam prawo sądzić, że zostaliśmy wspólnikami?

– Będę musiał spędzić noc na modlitwie, naradzając się z Bogiem i zasięgając Jego rady w tej materii – odparłem. – Spotkamy się jutro wieczorem na kolacji u Maurice'a i wtedy przekażę panu moją decyzję.

– Oczywiście. – Wstał i podszedł do drzwi. Przed wyjściem odwrócił się nagle i oznajmił:

– Proszę pamiętać, drogi panie, że Bóg pomaga temu, kto sam sobie pomaga.

– Nigdy o tym nie zapomnę – uspokoiłem go.

Po wyjściu majora zacząłem intensywnie myśleć o jego propozycji. Byłem pewny, że rozumiejąc moje cele, Bóg nie miałby nic przeciwko temu, abym zaangażował się w to drobne przedsięwzięcie. Równie dobrze jak mój Cichy Wspólnik, wiedziałem, że chciałby On, abym przyjrzał się sprawie bardzo dokładnie. Na przykład – skoro towary znajdują się wciąż na pokładzie statku, oznacza to, że konkurentom majora także brakuje niezbędnych funduszy i choć dziesięciokrotne przebicie było niezłym zyskiem z mojego kapitału, mógłbym zbudować bazylikę dużo szybciej za dwudziestokrotne przebicie. Toteż, tuż przed zaśnięciem, postanowiłem sprawdzić, czy nie uda mi się dotrzeć do rywali majora.

Jak się okazało, nie musiałem w tym celu ruszyć palcem w bucie. Kiedy nazajutrz rano siedziałem przy stoliku na hotelowej werandzie, popijając kawę i czekając na jajecznicę z grzankami, podszedł do mnie dobrze zbudowany mężczyzna w poplamionym białym garniturze i usadowił się naprzeciw mnie. Miał włosy tak rzadkie, że w bardzo wielu miejscach przeświecała czaszka. Były one całkiem rude i przesiąknięte potem, który ściekał mu po twarzy wąskimi strumyczkami, wsiąkając w brodę.

– Doktor Jones? – zapytał, sięgnawszy po chusteczkę i otarłszy czoło. Miał akcent, którego nie potrafiłem rozpoznać.

– Przewielebny doktor Jones – przedstawiłem się, wypijając łyk kawy.

– Dostałem wiadomość, że wczorajszego wieczora złożono panu wizytę.

– Nie mam nic do ukrycia, bracie – odparłem. – Spotkałem się z Theodore'em Dobbinsem, byłem majorem sił zbrojnych Jego Królewskiej Mości.

Roześmiał się.

– Dopóki nie stanął przed sądem wojskowym za defraudację – oświadczył. – Domyślam się, że złożył panu jakąś propozycję?

– Złożył.

Jego oczy zwęziły się lekko.

– Mam nadzieję, że nie był pan na tyle nieostrożny, by wchodzić z nim w interesy?

– Omawialiśmy wiele spraw. Do żadnego porozumienia jeszcze nie doszliśmy.

– To dobrze! – ucieszył się. – O włos uniknął pan nieszczęścia, doktorze Jones. Trudno poznać naturę człowieka na podstawie samej rozmowy.

– Zgoda. Z drugiej strony, poznałem jego nazwisko.

– Proszę mi wybaczyć – westchnął, znowu ocierając czoło. Jestem znany jako Holender.

– Tylko Holender?

JU– MUS.C RMUtlW

Pokiwał głową.

– Używam wielu nazwisk, związanych z prowadzeniem interesów. Jeśli któreś byłoby dla pana poręczniejsze...

– Nie ma sprawy – przerwałem mu, nalewając drugą filiżankę kawy, po czym zerknąłem na niego. – Nie jest pan przypadkiem handlarzem niewolników, prawda?

Wyprostował się i oznajmił:

– Wolę uważać się za dyrektora agencji pośrednictwa pracy.

Kiwnąłem na kelnera.

– Nie zjadłby pan ze mną śniadania, Holendrze? Czuję, że mamy sporo do omówienia.

– Dziękuję, wypiję tylko kawę – odparł.

Kelner przyniósł duży dzbanek i postawił go na stoliku. Holender nalał sobie pół filiżanki, machnięciem ręki podziękował za podsunięte mu przeze mnie śmietankę i cukier, po czym wyciągnął z kieszeni płaszcz małą buteleczkę, przelał prawie całą zawartość do filiżanki i energicznie zamieszał.

– Doktorze Jones – podjął, biorąc porządny łyk i wykrzywiając twarz – czy mogę być z panem absolutnie szczerzy?

– Cóż, byłaby to przyjemna odmiana.

– Potrzebuję pewnej ilości kapitału, tysiąca czterystu funtów, jeśli chodzi o ścisłość. Wygrał pan znacznie więcej ubiegłej nocy. Potrzebuję krótkoterminowej pożyczki.

– Myślał pan o banku? – spytałem.

– Myślałem. Niestety, bank w Dar es-Salaam jest dobrze obwarowany i nadzwyczaj trudno byłoby się do niego dostać.

– Domyślam się, że pańska zdolność kredytowa wyklucza uczciwą metodę działania?

Potrząsnął energicznie głową.

– W Tanganice panuje jakieś uprzedzenie wobec Holendrów. Nie mogę sobie wyobrazić innego

powodu. Tak czy inaczej, zastanowi się pan nad moją propozycją?

– Jezus przegnał lichwiarzy jedynie ze świątyni – odparłem z uśmiechem. – Nie pamiętam, aby

Biblia wspominała coś przegnaniu ich z Dar es-Salaam.

– Mam zatem prawo sądzić, że dobiliśmy targu?

– Mhm, nie lubię zaczynać spraw od końca. Jaki procent jest pan gotów zapłacić?

– Powiedzmy, tysiąc za dziesięć dni?

– No cóż, bezspornie okrągła liczba – odparłem. – Tyle zer i w ogóle. Zaiste, ładna.

– Świetnie! – zawołał Holender. – Podpisujemy umowę od razu?

– Tysiąc pięćset oczywiście byłaby nie mniej ładna – ciągnąłem. – Myślę, że powinno się znaleźć jakieś miejsce dla pięciu. Zawsze lubiłem piątki, odkąd przestałem chodzić w pieluchach. Myślę też, że dwa zera są równie dobre jak trzy. Bardziej mi się to wówczas kojarzy z pewną żoną Salomona.

– Taka liczba w ogóle nie wchodzi w rachubę – warknął. – Wiem, że nasz wspólny znajomy nie mógłby zaoferować aż tyle.

– Wysokość jego oferty, drogi Holendrze, to tajemnica znana tylko jemu, mnie i Panu Bogu.

– Będę musiał porozmawiać z udziałowcami – oświadczył.

– To się rozumie samo przez się – odparłem. – Myślę, że krótki seans modlitewny mógłby dopomóc w powzięciu decyzji.

– Spotkamy się jutro wieczorem – stwierdził, po czym dopił kawę i wstał.

– Będę u Maurice'a do późna – odparłem. – Umówiłem się z majorem Dobbinsem na kolację.

– Proszę nie podejmować żadnych zobowiązań, dopóki nie otrzyma pan wiadomości ode mnie. I proszę pamiętać, ja sprzedaję towar we wszystkich kolorach.

Cóż, nie wiedziałem, czy to pogróżka, czy oferta, więc tylko uśmiechnąłem się do niego i patrzyłem, jak kaczkowatym krokiem idzie do wyjścia. Następnie wrzuciłem na ząb solidne śniadanko, po którym udałem się do portu. Liczyłem, że towary leżą w jakiejś pordzewiałej, rozpadającej się łajbie. Było ich jednak takie mnóstwo, że nie miałem szans zlokalizować tej, która przyniosła niespodziewane szczęście bazylice Świętego Łukasza.

W drodze powrotnej do hotelu zauważyłem, że śledzi mnie drobny mężczyzna o oliwkowej cerze. Krył się wśród cieni jak najprawdziwszy szpicel, był jednak tak niezgrabny, że omal nie stłukł kilku okien wystawowych, kiedy próbował uskoczyć z pola mojego widzenia. Postanowiłem upewnić się, czy faktycznie chodzi mu o mnie, wybrałem się więc na spacer do dzielnicy arabskiej. I faktycznie, jakąś godzinę później znowu szedł krok w krok za mną w odległości dwustu metrów.

Panował upał i powietrze było gęste jak słona woda, tak że w koń-

cu poczułem dla niego litość, zawróciłem i stanąłem przed nim. Zrobił tak przestraszoną minę, jakby miał paść trupem na miejscu, ale wziął się jakoś w garść i dwukrotnie głęboko odetchnął, pocąc się przy tym do niemożliwości.

– Dobry wieczór, bracie – powiedziałem wesoło. – Nie byłoby ci łatwiej, gdybym znalazł gdzieś ładną, zacienioną ławkę i usiadł na niej?

Pokiwał głową, że tak.

– Zapomniałeś języka w gębie? – spytałem.

– Skądże znowu – odparł cienkim, nosowym głosem. – A może to jakiś amerykański idiom?

– Nie, to tylko żargon. Odbębniemy formalności. Przewielebny doktor Jones, do usług – powiedziałem, wyciągając dłoń. Robił taką przerażoną minę, jakby miał zaraz polecieć na księżyc.

– A ja jestem Henri Pasquard – wystękał, kiedy już przestał się trząść.

– Pierwsze słyszę, bracie.

– Och, nikt nie zna mojego nazwiska – odparł z powagą. – To zasadnicza sprawa w naszej profesji. Ale może słyszał pan o Le Ronguerze?

– Niestety, nie. Wyglądał na rozczarowanego.

– Co to znaczy? – ciągnąłem.

– Ach, nic wielkiego. To tylko moje firmowe nazwisko, coś w rodzaju pseudonimu, jakiego używają aktorzy.

Chciałem go poklepać po ramieniu i poprosić, żeby nie robił takiej zmartwionej miny, ale wolałem nie potrząsać biedakiem i ograniczyłem się do poczęstowania go cygarem.

– Och, ja nie palę – oznajmił. – Od samego zapachu robi mi się niedobrze.

– Nie będę pana zmuszał do wążania smrodu mojego cygara – oznajmiłem, chowając nie zapalonego skręta do kieszeni. Włosy miał przylizane brylantyną, która zaczynała ściekać mu do oczu razem z potem. Podałem mu chusteczkę, przyjął ją, wymrukując krótkie podziękowanie.

– Masz ochotę powiedzieć, dlaczego mnie śledzisz, bracie Rongeur? – spytałem z nadzieją, że użycie jego zawodowego nazwiska trochę faceta rozluźni.

Miałem zamiar podejść do pana prędzej czy później – odparł, wpatrując się w swoje dwubarwne buty. – Najpierw jednak chciałem dowiedzieć się, gdzie trzyma pan pieniądze? To chyba rozsądnie?

– Rozsądnie jak diabli – przyznałem. – Już wiesz, że nie noszę ich przy sobie i że cię do nich nie zaprowadzę. Co teraz?

– Cóż, powinienem chyba zaproponować spółkę. Major Dobbins to złodziej najpośledniejszego gatunku, a Holender jest jeszcze gorszy. Uważam, że interesy z takimi ludźmi są niegodne człowieka pańskiego pokroju.

– A z tobą..?

– Proszę nie myśleć, że mam do zaoferowania samą szczerłość i uczciwość – rzucił. – Wręcz przeciwnie, w ciągu tygodnia potroję pańskie pieniądze.

– Dostałem lepsze propozycje.

– Nie wątpię – odparł tonem na wpół przeprasającym. – Lecz ile pożytku z ich ofert, kiedy już położą łapy na towarze? Ja, bez fałszywej skromności, mogę dać panu plik listów polecających, które zadowolą nawet osobę duchowną. Mogę... – Urwał nagle. – Przepraszam – bąknął, po czym wyciągnął z futerału pod ramieniem imponujący pistolet i wetknął go za pasek spodni. – Mam skłonność do pocenia się pod pachami, a wilgoć szkodzi mechanizmowi. Na czym skończyliśmy?

– Zdaje się, że miałeś mi dać plik listów polecających.

– Byłoby to niedyskrecją. Wolałbym najpierw wiedzieć, czy jest pan zainteresowany spółką ze mną?

– To się rozumie samo przez się – odparłem. – Tak z czystej ciekawości, bracie Rongeur, co ty właściwie robisz w czasie wolnym od zawierania spółek?

– Och, próbuję się zajmować tym i owym – odparł, spuszczać ponownie wzrok.

– A co to właściwie znaczy Le Rongeur?

– Gryzoń – mruknął, rumieniąc się pod opalenizną. – Początkowo byłem Łasicą, ale językowi francuskiemu brakuje na to formy męskiej. Tam jest zawsze La Belette. Powodowało to masę kłopotów i przyciągało gorszy element, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Ale dlaczego gryzoń i łasica, czemu w ogóle zwierzęta?

– Rodzaj prywatnego żartu – odparł, czerwieniąc jeszcze gwałtowniej.

– Możesz się nim podzielić, bracie Rongeur?

– Lucyfer ...

– Przestałby już być prywatny, prawda? – odparł. – Poza tym, to się zupełnie nie łączy z naszą sprawą. No, namyślił się pan?

– Muszę mieć trochę czasu na dokładne rozważenie wszystkich ofert. Sądzę, że decyzję podejmę przed wieczorem. Możemy się spotkać o...

– Och, nie musimy się umawiać, doktorze Jones – przerwał mi w pół słowa. – Nie spuszczę pana z oczu do końca dnia.

– Co? -.

– Nie będę pana niepokoił, ale proszę zrozumieć moją sytuację. Niech się pan zajmuje własnymi sprawami, jakby mnie nie było. Postaram się zachowywać możliwie najdyskretniej.

Podziękowałem mu i ruszyłem z powrotem do hotelu. Od czasu do czasu rzucałem okiem za siebie i faktycznie, stwierdzałem, że nie odstępował mnie na krok, kryjąc się wśród cieni jakieś pięćdziesiąt metrów za mną. Był tak chudym i drobnym człowieczkiem, że zrobiło mi się go żal, gdy raz czy dwa wysforowałem się dalej do przodu. Wetknąłem nos w towar jakiegoś straganiarza i dałem biedakowi szansę dogonienia mnie, za co posłał mi parę uśmiechów najgłębszej wdzięczności.

Kiedy dotarłem w końcu do pokoju, przez godzinę rozluźniałem się w wannie, potem ogoliłem się, przebrałem w niedzielne ciuchy i uciałem sobie krótką drzemkę. Obudziwszy się stwierdziłem, że ma się ku zachodowi, uznałem więc, że czas pomaszerować do Maurice'a. Gryzoń oczekiwał mnie na werandzie i ruszył w ślad za mną, zachowując podyktowany szacunkiem dystans.

U Maurice'a było egzotycznie i brudno, w proporcji trzy do jednego dla brudu. Było wiele pokoi z nadzwyczaj wyszukanymi futrynami, oddzielonych rzędami wiszących koralików. W lokalu panował półmrok, powietrze cyrkulowało dzięki dwóm ogromnym, wolno obracającym się wentylatorom pod sufitem. Ściany były obwieszane zwierzęcymi łbami, wzorzystymi tkaninami i obrazami bezwstydnie rozebranych kobiet. Wstąpiłem do baru na krótko, ale zdążyłem wetknąć za dekolt parę banknotów tancerce brzucha, która prezentowała o wiele więcej energii niż gracji, po czym wszedłem do jednego z mniejszych pokoi na zapleczu. Zastałem tam Theodore'a Dobbinsa, byłego majora sił zbrojnych Jego Królewskiej Mości. Siedział za stołem i pykał ze swojej cygarniczki.

– Ach! – wykrzyknął na mój widok. – Drogi doktor Jones! Ufam, że miał pan udany dzień.

– Na razie wszystko gra – zapewniłem go. – Ale oczywiście dzień się jeszcze nie zakończył.

– To prawda – odparł, mrugając oczami. – Choć gdy rano zaczyna się od wizyty Holendra, później nie może być już gorzej. Najwyżej lepiej, co? – Zarechotał i przelał pół butelki dzinu do szklanki z wodą. Następnie zamieszał brudną łyżeczką do kawy i łyknął jednym haustem. – Wiem, że Maurice tego nie lubi – zwierzył się – ale po prostu nie mogę znieść jego zapasu w barze. A co się tyczy win w piwnicy... – Wzruszył ramionami z miną światowca, ja zaś pokiwałem głową w najbardziej wyszukany styl.

W tym samym momencie do pokoju wmaszerował Gryzoń i zasiadł przy sąsiednim stoliku. Posłał nam nerwowy uśmiešek i natychmiast zatopił nos w jadłospisie, co było trochę dziwne, bo u Maurice'a serwowano wyłącznie kotlet z antylopy.

– Zna go pan, jak mniemam? – spytał major, kiwając głową w stronę Gryzonia.

– Spotkaliśmy się po południu.

– Złożył jakąś ofertę?

– Tak.

– Odmówił mu pan naturalnie?

– Dlaczego naturalnie?

– Poznać po gębie, że to typek bez żadnych zasad – oświadczył major. – Kto by chciał wchodzić z takim w interesy? Proszę zobaczyć, jak zerka na nas znad tego jadłospisu. Nie, drogi panie, my Anglicy musimy trzymać się razem.

– Jestem Amerykaninem – wskazałem.

– To bez różnicy – orzekł. – Możemy przejść do szczegółów?

W tym samym momencie do pokoju wkroczył Holender i podszedł do naszego stolika.

– Mogę się przysiąść? – zapytał, przysuwając sobie krzesło.

Tym razem nosił inny biały garnitur, jeszcze bardziej brudny niż poprzedni, jeśli którykolwiek w ogóle zasługiwał na miano garnituru.

– Osobiście nie mam nic przeciwko temu – odparł major. – Jednak mojemu dobremu przyjacielowi, doktorowi Jonesowi, spieszy się do zawarcia naszego interesu. Najlepiej niech pan wróci za jakąś godzinę.

Holender strzelił knykciami i jeszcze głębiej zatopił się w maleńkim, drewnianym krześle.

– Zdaje się, że mój przyjaciel doktor Jones wpadł do gniazda żmij – wydusił z siebie. – Kiedy wyciągnę go stamtąd, pozna swojego prawdziwego przyjaciela... – Urwał dla zapalenia bardzo pogiętego papierosa. – Nawiasem mówiąc, co Le Rounger robi przy sąsiednim stoliku?

– Próbuję się zdecydować, co zamówić – odparł człowieczek wyniośle.

– To mu zajmie najbliższe trzy kwadranse – stwierdził Holender. – Co ci zaproponował ten hochsztapler? – spytał, wskazując kciukiem w kierunku twarzy majora.

Myślałem, że Dobbins go stuknie, ale zamiast tego tylko parsknął rubasznym śmiechem i odwrócił się do mnie.

– Rozmawiał pan z nami dwoma, drogi doktorze – oznajmił-

– Pytam więc: który z nas jest bardziej godny zaufania?

Przenosiłem wzrok z jednego na drugiego i prawdę mówiąc, miałem poważne trudności w powzięciu decyzji. Nagle Gryzoń syknął przez zęby i oczy wszystkich skierowały się ku drzwiom, przez które wszedł wysoki, wymuskany biały mężczyzna w policyjnym mundurze.

– No, no, kogo my tu mamy? – spytał z uśmiechem. – Powinno nam zrobić rodzinną fotografię i nazwać ją *Karnawalem złodziei-*

– Spojrzał na mnie. – Nie jest pan przypadkiem Lucyferem Jonesem, co?

– Przewielebny doktor Lucyfer Jones – przedstawiłem się.

– Tak myślałem – stwierdził. – Jestem kapitan Peter Ciarke, do usług... Największa, jaką mogę zaoferować, to nakłonienie pana do nie wchodzenia w jakiegokolwiek interesy z tymi tu oto panami.

– Skąd ta myśl, bracie Ciarke, że rozważałem taką możliwość?

– spytałem.

– Kiedy jesteś w dżungli i widzisz sępy na niebie, to ci wówczas daje do myślenia, że gdzieś na ziemi leży padlina – odparł z uśmiechem. – Zapewniam pana, doktorze Jones, że sama obecność tej trójki oszustów jest przekonującym dowodem dla każdego, kto ich zna, że jest pan w posiadaniu sporych oszczędności. Mogę jedynie pana zachęcić, aby wziął pod uwagę moje słowa i uciekał, ile sił w nogach.

– Nie przyszedłem tu po to, aby podawano w wątpliwość moją uczciwość – przemówił major.

Nie tylko mogę o niej wątpić – zaśmiał się Ciarke. – Potrafię to również udokumentować. Major Theodore Dobbins, lat czterdzieści sześć, wyrzucony z wojska z piętnem hańby za defraudację, odsiedział trzy wyroki za oszustwo w Anglii, jeden za rabunek w Australii. Aktualnie na warunkowym zwolnieniu z więzienia w Johannesburgu. Poszukiwany w Etiopii, Maroku i Egipcie za handel narkotykami. Odwrócił się w stronę Holendra.

– A oto drugi skarb. Caesare Tobur alias Winston Riles, alias Hans Gerber, alias Holender, alias Horst Broków. Poszukiwany w siedmiu krajach za handel niewolnikami, a w trzech innych za nielegalną sprzedaż broni palnej.

– No to dlaczego ich pan nie aresztuje? – spytałem bardziej z uprzejmości niż wielkiej ochoty, aby zobaczyć któryś z potencjalnych kuponów obiadowych pod kluczem.

– Nieskuteczne przepisy o ekstradycji – odparł kapitan Ciarkę.

– Jeszcze kilka lat temu Tanganika była pod protektoratem Niemiec. Dalej nie sposób tam czeokolwiek załatwić bez mnóstwa papierkowej roboty. W dodatku nie wiemy, który statek wiezie opium, wiemy natomiast, że ktoś musi wykonać ruch jutro lub pojutrze. Liczę, że wybaczy pan moją szczerość, doktorze Jones, ale nie chcę, by wplątał się pan w kryminalne interesy z tymi typkami. A ta mała łasica przy sąsiednim stoliku jest najgorsza z całej bandy.

– Wypraszam sobie! – oburzył się Gryzoń, wstając z krzesła.

– Najgorszy rzeźnik na całym Brytyjskim Wschodzie – oświadczył kapitan. – Zabił jakichś trzydziestu pięciu ludzi.

– To kłamstwo! – krzyknął Gryzoń i odwrócił się do mnie.

– Wszystko panu wyjaśnię, drogi przyjacielu. Zabiłem raptem szesnastu, każdego w obronie własnej. Nigdy nie skazano mnie za morderstwo. Żadne państwo afrykańskie nie wydało nakazu aresztowania mnie. A ten... ten *fou* próbuje zrobić ze mnie wściekłego mordercę. Ze mnie, Le Roungera, który nie skrzywdziłby muchy nie sprowokowany! – wyśmiał szyderczo kapitana. – Trzydziestu pięciu ludzi, dlaczego nie tysiąc?

– No, i co pan na to, doktorze Jones? – podjął kapitan.

– Idziemy do hotelu, czy mam pana zamknąć w areszcie ochronnym, dopóki nie minie termin transakcji?

– Dzięki za troskę, bracie Ciarkę – odparłem – ale męty społeczne najlepiej nadają się do odkupienia grzechów. A może wpadnie pan po mnie za parę godzin?

– Jeśli będzie pan jeszcze wśród żywych – odparł ponuro kapitan.

– Każę im śpiewać hosanny przez połowę czasu – powiedziałem z beczelnym uśmiechem.

– No trudno, nie mogę pana zmusić do korzystania z mózgu – stwierdził ze wzruszeniem ramion, po czym odwrócił się i wyszedł.

– Mam nadzieję, że nie wierzy pan w jego słowa? – odezwał się major.

– Naopowiadali mu różnych bzdur – wtrącił Holender.

– Ciekawe, kto zabił pozostałych dziewiętnastu? – zadumał się Gryzoń.

W tym momencie podszedł do nas kelner. Wszyscy zamówiliśmy po kotlecie, z wyjątkiem Gryzonia, który uparł się przy rybie. Po ostrej wymianie słów kelner w końcu się zgodził ją podać, jeśli Gryzoń nie zaprotestuje na widok ryby, wyglądającej i smakującej jak kotlet z antylopy. Wreszcie facet skinął głową i kelner odszedł, ja zaś pozostałem sam z moimi sprzymierzeńcami.

– Jak mówiłem – zaczął major – musiał pan już sobie uświadomić, jakiego rodzaju nietykalni ludzie zdążyli się do nas przyłączyć. Mamy wśród nas obłąkanego karła oraz handlarza niewolników, zwanego Holendrem, który nigdy, zdaje się, nie widział Holandii, nawet z daleka.

– Hola! – warknął Holender. – Urodziłem się w Rakowniku!

– Który przypadkiem leży w Czechosłowacji – odezwał się siedzący przy sąsiednim stoliku Gryzoń.

– W Amsterdamie! – poprawił się szybko Holender. – Wyrosłem w Amsterdamie. Minęło tyle czasu, że wszystko mi się pokieł-basiło.

– A pan, majorze? – spytałem. – Naprawdę siedział pan w tych wszystkich więzieniach?

– Seria nieszczęśliwych pomyłek – odparł gładko. – Ale wracajmy do rzeczy, jeśli można.

Złożyłem panu niezwykle korzystną propozycję. Zostaniemy współnikami?

– Ja złożyłem jeszcze lepszą! – wykrzyknął Holender.

– Tak czy owak – podjął major – czuję, że możemy z naszych rozważań wyeliminować przynajmniej Le Ronguera. Nie widzę możliwości wejścia w jakiegokolwiek interesy z tego rodzaju człowiekiem.

W tym momencie Gryzoń uczynił nagły ruch prawą dłonią i nagle zostałem przy stoliku sam. Obaj moi kompani runęli na podłogę prędkością, wynikającą z obawy o życie. Gryzoń tylko się uśmiechnął, podniósł z kolan serwetkę i przytknął do kącika ust.

– To było bardzo niekulturalne – poskarżył się major, sadowiąc powrotem na krześle.

– Wolałbyś, żeby mi wino kapało po brodzie? – spytał łagodnie Gryzoń.

– Wolelibyśmy, abyś więc nie wykonywał nagłego ruchu w stronę naszych brzuchów – oświadczył Holender i podniósł się na nogi ciężko dysząc.

– Wybaczcie, panowie – odparł Gryzoń. – Kiedy następnym razem przyjdzie mi ochota sięgnąć do czegoś poniżej granicy waszego pola widzenia, dam wam wcześniej znać, co to będzie.

Major pokiwał energicznie głową.

– Grunt to dobre maniery.

– Muszę coś dodać – podjął Gryzoń. – Jeśli nie przestaniecie wmawiać mojemu dobremu przyjacielowi doktorowi Jonesowi, że jestem niewiarygodny jako prywatny biznesmen, następnym razem ni: sięgnę po serwetkę. Nie życzę wam źle, ale... – Z przepaszającym uśmiechem urwał w pół zdania.

– Wracajmy do interesów – oświadczył Holender. – Doktorze Jones, jestem gotów zaproponować panu dwa razy tyle co major.

– Bzdury! – rzucił major. – Daję tyle samo, co ten handlarz ludzkim ciałem. My, Anglicy, musimy trzymać się razem.

– A ty, Ronguer? – Zwróciłem się do małego człowieczka.

– Co masz do powiedzenia?

– Moja oferta nie zmieniła się od dzisiejszego poranka – odparł.

– Wymaga tylko pewnego uzupełnienia.

– Zamieniam się w słuch.

– Gwarantuję, że żaden z moich konkurentów nie podejmie, że się tak wyrażę, przykrych działań dla wykazania panu swojego niezadowolenia z powodu odrzucenia ich oferty. Nie wydaje mi się, by któryś z nich mógł dać podobną gwarancję.

Muszę przyznać, że taka klauzula jak dotąd nie przyszła mi do głowy. Im dłużej o tym myślałem, tym korzystniej zaczynała wyglądać oferta Gryzonias. Założenie bazyliki Świętego Łukasza było ze wszech miar pożądane, ale pod warunkiem, że fundator nie zostanie pogrzebany pod kamieniem węgielnym. Zdaje się, że nie utrzymałem pokerowej twarzy, gdyż major położył mi uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Drogi doktorze Jones – powiedział. – Zapewniam, że moi mocodawcy nie pozwolą wyrządzić panu krzywdy, jeśli tylko to spędza panu sen z powiek.

– Daję identyczną gwarancję – oświadczył Holender – z dalszym zastrzeżeniem, że jeśli nie uda jej się wypełnić z jakiegoś nieprzewidzianego powodu, zostanie pan brutalnie i wszechstronnie pomszczony.

– Bracie Holendrze – odparłem. – Doceniam uczucia, kryjące się za twoim oświadczeniem, ale



nie znajduję w nim otuchy. Odłóżmy na chwilę ponure rozważania i pogadajmy o zimnej, brzęczącej monecie.

– Wspaniale – stwierdził Holender. – Zna pan moje warunki. Dam panu tysiąc procent w przeciągu dziesięciu dni.

– Jak pana odnajdę za dziesięć dni? – spytałem.

– Proszę zapytać na policji – powiedział złośliwie major. – On więcej czasu spędza w więziennych murach niż poza nimi.

– I ty to mówisz? – mruknął hardo Holender.

– Bracia – rzuciłem. – Powtarzam: moją główną troską jest znalezienie sposobu na odebranie tych wszystkich wspaniałych zysków, o których tu się wspomina. Nie mógłbym was kochać ani ufać wam bardziej, niż gdybyście byli moimi rodzonymi braćmi – aczkolwiek mój rodzony braciszek odsiaduje właśnie wyrok w Arizonie za próbę obrabowania restauracji. Nie dziwcie się więc, że potrzebuję czegoś więcej niż ustnych zapewnień – obojętnie, jak bardzo mogą być one pocieszające.

– Faktycznie brat siedział w Montanie za wyczynianie okropnych rzeczy z uszmińkowaną kobietą i jej dwunastoletnimi córkami bliźniaczkami, nie widziałem jednak powodu, aby wydobywać jego nikczemne przestępstwa na światło dzienne jedynie dla podkreślenia sedna sprawy.

– Doceniam pańską troskę, drogi panie – powiedział major. – Proszę jednak pamiętać, że czas odgrywa tu niebagatelną rolę. Pieniądze należy przedłożyć do jutra w południe – statek odpływa na Madagaskar, gdzie towar zostanie zaoferowany Erichowi von Horstowi.

– Cóż to za jeden ten Erich von Horst? – spytałem.

– Łotr bez czci i wiary – odparł Holender. – Pozbawiona wszelkich zasad świnią.

– Ale cwana – wtrącił Gryzoń.

Tak, cwana – zgodził się Holender. – Nikt nie widział nawet jego twarzy, nie wiadomo też, czy to jego prawdziwe nazwisko. Jednak bardzo zaszkodził części naszych interesów.

– Innymi słowy – zauważyłem – stanowi konkurencję.

– To nieporozumienie – odparł major. – Facet jest monopolistą. Nie będąc ani trochę konkurentem, próbuje gnoić konkurencję przy każdej okazji. Krótko mówiąc, to wróg systemu wolnej przedsiębiorczości.

– No dobrze, bracia – westchnąłem. – Zgadzam się w zupełności, że nie możemy pozwolić takiemu człowiekowi jeszcze bardziej pogрузić się w grzechu. Czuję, że niebawem może popełnić czyn nie do odpokutowania, a nie mam najmniejszego zamiaru ułatwić Szatanowi pochwycenia w jego piekielne szpony następnego bliźniego. Nie, zaiste nie wolno nam przyczynić się do upadku nieszczęsnego brata von Horsta.

– Wspaniale, drogi doktorze Jones – bąknął major. – Przynajmniej wszystko zostanie w rodzinie, że tak powiem. A więc, kogo wybiera pan na swojego współnika?

– Bracia – odparłem. – Mówiłem wprawdzie, że zakomunikuję o mojej decyzji jutro przy kolacji, lecz nasza szczerza dyskusja rzuciła nowe światło na pewne fakty. Jeśli każdy z was spotka się ze mną rano na śniadaniu w hotelu i wyjaśni, jak zamierza ochronić mój kapitał oraz moje zdrowie, to wybiorę któregoś z was w terminie pozwalającym na zakup waszych towarów przed południem. – Urwałem, by pociągnąć z kieliszka majora. – Rozumiecie, że nie myślę o sobie, ukraść mi pieniądze to tak, jakby się ukradło Bogu Jego bazylikę, to zaś jest po prostu występkiem, zanadto grzesznym, aby go brać pod uwagę.

Cóż, nie mieli zbyt zadowolonej miny. Pomyślałem, że dostrzegli mądrość mojej propozycji, bo w końcu się zgodzili, mimo że Gryzoń nieustannie bawił się serwetką, obrzucając żałosnymi, choć

wymownymi spojrzeniami majora i Holendra.

Przez godzinę piliśmy i rozmawialiśmy o tym i o owym, następnie wrócił kapitan Peter Ciarke. Nie chciałem obrażać żadnego z moich przyjaciół, ale prawdę mówiąc, czekałem na niego, aby się upewnić, że dotrę do hotelu cały i zdrowy. Tak więc pomachałem im na *adieu* do rana i w jego towarzystwie ruszyłem do hotelu.

– Jak dał pan sobie radę z tą bandą złodziei? – spytał kapitan. Ma pan jeszcze portfel?

Na razie wszystko w porządku, bracie Ciarke. Ale chciałbym z tobą omówić pewną sprawę. – Odwróciłem się na pięcie i zobaczyłem trzy różne choć charakterystyczne sylwetki, kryjące się wśród cieni.

– O co chodzi, doktorze Jones?

– Mam przy sobie pewną ilość gotówki – stwierdziłem.

– Wiem.

– A jako bogobojny człowiek, którego moralność nigdy nie pozwoliłaby skrzywdzić bliźniego swego, nie noszę broni. Otóż poczynił pan dziś pewną sugestią odnośnie aresztu ochronnego...

– To prawda – odparł. – Niestety, godzinę temu sytuacja się zmieniła. Nasze więzienie liczy tylko cztery cele i informuję z żalem, że wskutek pijackiej burdy w porcie wszystkie cztery są aktualnie zajęte.

– Nie miałem na myśli siebie, bracie Ciarke – powiedziałem prędko. – Jako osoba duchowna nie spędziłem oczywiście nawet chwili w więziennej celi i sądzę, że takie doświadczenie byłoby duchowo wstrząsające.

– O co panu chodzi, w takim razie, doktorze Jones?

– Mam przy sobie pewną ilość gotówki... – zacząłem.

– Już pan to mówił.

– Zastanawiam się, czy nie można by jej przechować do jutra rana, powiedzmy, do dziesiątej?

– Cóż, byłoby to całkowicie sprzeczne z regulaminem...

– Dużo łatwiej udałoby mi się wypocząć ze świadomością, że nie grozi jej atak tych nikczemnych, nocnych bandytów i innych nikczemnych mieszkańców miasta.

– Odbierze ją pan najpóźniej o dziesiątej?

– Słowo sługi bożego – odparłem, unosząc prawą dłoń i posyłając spojrzenie ku Niebu.

– I ma pan do mnie zaufanie?

– Jesteś, bracie Ciarke, zaprzysiężonym obrońcą prawa, tak czy nie?

– No dobrze, doktorze Jones – odparł. – Jeśli naprawdę takie jest pańskie życzenie, sądzę, że miasto Dar es-Salaam może przechować pańskie pieniądze przez jedną noc. Gdzie one są?

– Zaprowadzę tam pana – oznajmiłem – gdy tylko pozbędziemy się moich kompanów od kolacji.

– Och, pan ich też zauważył? – mruknął ze śmiechem. – To nie powinno być trudne.

Przyspieszyliśmy kroku, zaczęliśmy kluczyć tędy i owędy, i w przeciągu pół godziny nawet Gryzoń musiał zadawać sobie pytanie, gdzieśmy zniknęli. Następnie zawróciliśmy do Maurice'a i cichaczem obeszliliśmy dom dookoła. Wyciągnąłem pieniądze spod dużej cegły w murze, gdzie schowałem je poprzedniej nocy.

Kapitan Ciarke szybko przeliczył banknoty i schował do kieszeni, następnie wyjął ołówek i mały notes.

– Dam panu pokwitowanie – oświadczył i nabazgrał pracowicie, że Wydział Policji miasta Dar es-Salaam zwróci wielce czcigodnemu i wielebnemu doktorowi Lucyferowi Jonesowi dwa tysiące czterdzieści funtów brytyjskich po przedstawieniu tej notatki.

– Skrupulatnie i urzędowo – oświadczył, składając podpis z zakrętasem. – Do zobaczenia jutro

rano, doktorze Jones.

Pomaszerowałem do hotelu, gdzie zastałem majora Dobbinsa, Holendra i Gryzonia, oczekujących mnie w holu. Zamachałem im na dobranoc i poszedłem na górę do pokoju.

Obudziło mnie walenie do drzwi. Gdy wyrzałem przez okno, stwierdziłem, że jest jeszcze ciemno. Wzywając imienia Boga dla innych celów, niż stoi w Piśmie Świętym, założyłem spodnie i poszedłem na drugi koniec pokoju. Przekręciłem zatrask i cała trójka praktycznie wpadła przez otwarte drzwi do środka.

– Panowie! – rzuciłem oschle. – Mieliśmy się spotkać przy śniadaniu.

– Szybko! – krzyknął major. – Co zrobiłeś z pieniędzmi?

– Nie sądzę, aby to było stosowne pytanie – orzekłem, odgarniając sobie włosy z oczu.

Gryzoń wyciągnął pistolet i dźgnął mnie lufą w brzuch.

– Gdzie forsa? – wrzasnął.

– Bracia, jestem doprawdy zaszokowany – odparłem. – Sądziłem, że zawarliśmy porozumienie!

– Forsa! – ryknął Gryzoń. – Komu ją dałeś?

Kapitanowi Peterowi Clarke'owi, funkcjonariuszowi policji Dar es-Salaam – odparłem dosyć prosto. – Pieniądze czekają w bezpiecznym miejscu na moją decyzję. Aczkolwiek – dodałem biorąc pod uwagę wasze nocne najście, wątpię, czy Pan życzy sobie, abym wchodził w finansowe układy z którymkolwiek z was.

– Cymbał! – wrzasnął Holender, a Gryzoń się rozplakał.

– Co się tu dzieje? – spytałem majora. Jedynie on nie stracił zimnej krwi.

– Gdy pan nam się wymknął – odparł – przystąpiliśmy do omawiania różnych kwestii. Nagle przyszło mi do głowy, że cały Brytyjski Wschód zawarł traktaty o ekstradycji ze swymi sąsiadami. Wysłaliśmy Le Roungera na policję i okazało się, że nie znają żadnego kapitana Petera Ciarke'a.

– Nie rozumiem – wymamrotałem, czując jakieś tąpnięcie w jamie brzusznej.

– Ty cholerny idioto! – wrzasnął Gryzoń, ocierając łzy z twarzy. – Oddałeś pieniądze Erichowi von Horstowi!

Przez chwilę stałem jak skamieniały. Następnie wypadłem za próg i ruszyłem biegiem do portu. Major, Gryzoń i Holender deptali mi po piętach. Na miejscu Holender pokłonił na molo, przy którym stał zacumowany statek. Dotarliśmy tam w samą porę, by zobaczyć, jak odpływa.

Von Horst, nadal ubrany w biały brytyjski mundur policyjny, stał za barierką, a jego oczy wyrażały ogromną radość. Raptem uklonił się nisko, a potem wyprostował i oddał nam sprężyste niemieckie honory wojskowe, następnie mgła zasnęła przede mną zarówno jego, statek jak i bazylikę Świętego Łukasza.

Zostawiłem lamentujących i złorzeczących kompanów na molo, w duchu obiecałem Panu nigdy więcej nie rzucać pereł między wieprze, spakowałem nieliczny dobytek doczesny i wyszedłem na paluszkach, aby nie zawracać głowy hotelowemu. Następnie zaś, wstąpiwszy do Maurice'a tylko na czas niezbędny dla pokrzepienia duszy, zostawiłem za sobą grzeszne miasto Dar es-Salaam i wyruszyłem uprawiać na nowo boskie posłannictwo.

# Rozdział 3

## WAMPIR

Upowiem teraz jak poznałem Herbie'ego Millera i w ciągu dwudziestu siedmiu dni zarobiłem osiemnaście tysięcy dolarów.

Wkrótce po opuszczeniu Dar es-Salaam przeprowadziłem drobną kalkulację i wyszło mi, że z pięćdziesięcioma funtami brytyjskimi w kieszeni nie mam co zaczynać budowy mojej bazyliki. Wybrałem się zatem na odludzie – a w tamtych czasach bez trudu można było je znaleźć – i odbyłem krótką konferencję z Cichym Wspólnikiem. Doradził mi, że jeśli mam kontynuować Jego dzieło jak należy, potrzebuję znacznie większego kapitału. Mniej więcej w tym czasie F.C. Selous, Karamojo Bell, Pondoro Taylor i John Alfred Jordan zyskiwali wielką sławę i jeszcze większe majątki na mordowaniu słoni. Uznałem zatem, że skoro Pan Bóg kule nosi, ustrzelenie kilku ton kości słoniowej nie powinno przedstawiać trudności.

Jak się okazało, było jednak kilka problemów. Po pierwsze, nie znałem zasadniczej reguły tropienia i zabijania słoni, na dodatek nigdy nie trzymałem spluwy w ręce. Po drugie, licencja na słonie kosztowała kupę forsy, a skoro bazylika Świętego Łukasza miała być przedsięwzięciem nie obliczonym na zysk, czułem że obowiązek wykupienia licencji nie odnosi się do mnie. Niemniej, Kenia i Tanganika były bardzo dobrze patrolowane przez strażników grubej zwierzyny i przeróżnych żandarmów, którzy mogliby potraktować sprawę licencji nazbyt dosłownie. Musiałem zatem szukać szczęścia w interiorze. Słyszałem o wielkich stadach słoni w Enklawie Lado, rozległym i dzikim terenie na zachód od Ugandy. Nie był to formalnie mroczny interior afrykański, ale wystarczający jak dla mnie, skoro nie miałem pojęcia, gdzie go szukać.

Wybrałem się wschodnioafrykańską linią kolejową do ostatniego przystanku w Ugandzie. Była to długa i męcząca podróż, po której zostało mi tylko tyle gotówki, że ledwo starczyło na stary karabin z demobilu. Ostatnie parę funtów przeznaczyłem na pociski. Następnie zapytałem posterunkowego o drogę do Enklawy. Zamachał ręką w kierunku północnym, obejmującym jakieś trzy czwarte terytorium Ugandy. Uzbrojony w karabin i Pismo Święte, rozpocząłem moją karierę łowcy kości słoniowej.

Przemaszerowałem mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów, kiedy zapadła noc. Spędziłem kilka chłodnych godzin, obcując z Bogiem i Naturą w afrykańskiej dziczy. Obudziłem się zesztywniały i głodny, zwłaszcza głodny, i postanowiłem wyostrzyć sobie oko upolowaniem czegoś małego na śniadanie.

Przedzierałem się przez busz i po jakimś czasie natknąłem się na starą, pasącą się w samotności antylopę. Siedemnaście strzałów później dalej pasła się w najlepsze i zaczęło do mnie docierać, że strzelanie z karabinu to trudniejsza sztuka, niż mi się zdawało. Dwa następne strzały huknęły w drzewo jakieś dwadzieścia metrów dalej, tymczasem antylopa nawet nie drgnęła. Stała i patrzyła na mnie przez chwilę, po czym zabrała się z powrotem do skubania trawy.

Szedłem dalej na północ prawie cały tydzień, będąc na diecie wegetariańskiej złożonej z owoców i jagód. Czas zabijałem wynajdywaniem sposobu na uśmiercenie całego stada słoni. Musiałyby uformować ładny szereg nos-w-ogon, by moje pociski miały szansę trafienia w cokolwiek. Roślinność była coraz bardziej bujna i soczysta, co znaczyło, że czekało mnie spotkanie z rojami kleszczy, much, pajaków i moskitów. Pewnego popołudnia ujrzałem w oddali murzyńską wioskę, a mając w pamięci doświadczenie ze znajomymi i krewnymi Kitungi, postanowiłem ominąć

ją z daleka. Po drodze wpadłem na niewyrosłego i niedożywnionego białego mężczyznę, który leżał w pełnym słońcu, przywiązany do słupa.

- Witaj, bracie – powiedziałem, przystając obok niego.
- Dzień dobry, przyjacielu – odparł i wykręcił głowę do tyłu, aby mieć lepszy widok.
- Ładny dzień – zagałem nie wiedząc, co by tu jeszcze powiedzieć albo zrobić.

– Ale zanosi się na deszcz – zauważył. Spojrzałem do góry.

Zbyt mało chmur – orzekłem. – Pora deszczowa dobiega końca. Nawiasem mówiąc, bracie, czy skępowano cię tutaj na ziemi z jakiegoś konkretnego powodu?

– Nie powiem, żebym się z nim zgadzał. To robota nikczemnego i barbarzyńskiego plemienia Nandi. Czy jako bogobojny chrześcijanin, a na dodatek biały, nie zechciałbyś odciąć mnie od tego pala?

– No cóż, bracie. To wygląda na chrześcijański obowiązek. Z drugiej strony, minąłem niedawno wioskę Nandi, tamci zaś mogliby nie zrozumieć gestu chrześcijańskiego miłosierdzia. – Usiadłem obok niego, aby przemyśleć sprawę. – Czym im tak podpadłeś?

– Nie spodobały im się niektóre moje zamiłowania i nawyki – odparł, mrugając powiekami, aby strącić krople potu.

– Nie jesteś chyba jakimś degeneratem moralnym, co? – spytałem czując, że moja przyzwoita, pobożna krew zaczyna kipieć w żyłach.

– Nie dopuszczaj do siebie takiej myśli, sąsiedzie! – zawołał energicznie. – To było zwykłe nieporozumienie. A teraz, bądź tak uprzejmy i odetnij białego pobratymcę!

– Muszę to dokładnie rozważyć – odparłem i zerknąłem w kierunku wioski, aby sprawdzić, czy ktoś się do nas nie zbliża.

– No dobrze, na razie... – mruknął, dostając drgawek na całej skórze. – Nie masz przypadkiem jakiejś maści na ukąszenia owadów, przyjacielu?

– Niestety. Zapewne kiepsko się czujesz.

– Tak, robi się coraz cieplej. Z góry praży słońce i oblażył mnie insekty – przyznał. – Nie masz trochę dżinu? Leżenie przy palu wzmaga pragnienie. – Na jego twarzy wylądowała tse-tse i zaczęła maszerować w kierunku nosa.

– Jak się nazywasz, bracie? – spytałem, odganiając muchę.

– Miller. Herbie Miller, 7. Amarillo w Teksasie.

– Miło cię poznać, bracie Miller – oznajmiłem, wyciągając dłoń, po czym szybko ją cofnąłem, zorientowałem się bowiem, że pozycja leżąca uniemożliwia mu okazanie uprzejmości. – Jestem czcigodny doktor Lucyfer Jones, pastor z bazyliki Świętego Łukasza.

– Miło ojca poznać. Wstałbym, ale...

– Nie ma sprawy, bracie Miller. Co właściwie człowiek taki jak ty robi na takim odludziu?

– Walczyłem jako najemnik u Brytyjczyków przeciw Niemcom w Tanganice podczas Wielkiej Wojny, ale wyrzucili mnie i odtąd tułam się po Afryce.

– Dlaczego cię wyrzucili?

– Konflikt osobisty.

– Z całym angielskim wojskiem?

– Chciałbym to wyjaśnić ze szczegółami – odparł – lecz akurat jadowity skorpion włązi mi na nogę i obawiam się, że moja opowieść może skończyć się nagle i nieprzyjemnie, jeżeli czegoś z nim nie zrobisz, doktorze Jones.

Strzepnąłem skorpiona i rozdeptałem go podszawą. Raptem Bóg Miłosierny włączył się do dyskusji i ugodził mnie między oczy kolejnym ze swych niebiańskich objawień.

– Czy służąc w armii miałeś okazję strzelać z karabinu? – spytałem.

– Rzecz jasna – mruknął. – Wiesz, starczy bodaj parę kropel gorzałki.

– Dobrze strzelasz?

– Jestem strzelcem pierwszej klasy. Ale spokojna głowa, doktorze Jones. Nie zwrócę się przeciwko człowiekowi, który mnie uwolnił, a poza tym nie mam broni.

– Strzelałeś kiedy do słonia?

– Czasami – odparł. Raptem naprężyła mu się twarz. – Nie mów mi, że jakiś słoń chce nas zaatakować!

– Do głowy by mi to nie przyszło – stwierdziłem, po czym chwyciłem nóż i przeciąłem więzy.

– Dzięki, doktorze Jones – oznajmił, podnosząc się na nogi i rozcierając je sobie dla polepszenia krążenia.

Zarzuciłem mu po przyjacielsku rękę na ramiona.

– Nie ma za co, bracie Miller. W końcu, po co ma się współników?

– Wspólników?

Pokiwałem głową.

Opuściliśmy teren dość szybko, nie chcąc wpaść w łapy członków plemienia Nandi, którzy mogli nie rozumieć tego, że za nic nie pozostawiłbym białego rodaka na łasce żywiołów. Skierowaliśmy się ku faktorii Moroto, parę kilometrów od granicy między Kenią a Ugandą.

– Masz pieniądze? – zapytałem.

– Jakieś pięć dolarów – odparł, wyciągając zwitek odbarwionych banknotów i garść bilonu.

– Dawaj – powiedziałem – zaczekaj na mnie w odległości około kilometra na zachód od miasta.

– To są wszystkie pieniądze, jakie na tym świecie posiadam – zaprotestował. – Skąd mam wiedzieć, że wrócisz?

Rzuciłem mu karabin.

– Weź go w zastaw.

Ruszyłem na zachód. Dotarłem do faktorii i poszukałem miejscowej knajpy. Czekałem prawie godzinę, zanim weszło dwóch mężczyzn w brytyjskich mundurach wojskowych. Pięć minut później pozostali klienci wynieśli się, stanąłem więc przed barem i donośnym głosem oświadczyłem, że chciałbym wszystkim postawić kolejkę. Rozejrzeli się dookoła, a gdy doszli do wniosku, że ich właśnie miałem na myśli, zaprosili mnie do stolika.

– Miło was poznać, bracia – powiedziałem. – Jestem czcigodny, przewielebny doktor Lucyfer Jones, torujący sobie drogę prawieniem kazań na tym barbarzyńskim kontynencie.

– Miło zawrzeć z panem znajomość – odezwał się starszy.

– Kapitan Michael Holmes, a to jest porucznik Richard Thorpe.

Dokąd pan zmierza?

– Wszędzie, gdzie mogę przynieść bliźnim pokój i szczęście

– odparłem pobożnie. – Udaję się tam, gdzie te bezbożne dzikusy potrzebują pokrzepienia na duszy.

– Nadzwyczaj chwalebne – zauważył porucznik Thorpe.

– Szkoda, że nie ma więcej takich ludzi jak ty, padre.

– No cóż, dziękuję uprzejmie, bracie Thorpe – odparłem, kiwając ręką na kelnera, aby przyniósł butelkę. – Napijcie się jeszcze.

Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę, popiliśmy ostro i odprężywszy się zostaliśmy dobrymi

przyjaciółmi.

– To po prostu wspaniałe – oświadczył po dłuższej ciszy kapitan Holmes.

– Co? – spytałem.

– Osoba duchowna, mężnie forsująca busz i niosąca dzikusom Słowo i Ducha.

– Nie można odrzucić powołania, gdy raz poczujesz na swoich barkach jego brzemień, bracie

– westchnąłem z wrodzoną skromnością. – Skłamałbym jednak twierdząc, że mężny ze mnie człowiek.

– Ależ jest nim pan! – stwierdził kapitan Holmes. – Jak można być tchórzem, ocierając się o ludożerców, pigmejów i resztę czarnej zgrai?

– Posłuchaj, bracie Holmes – odparłem. – Każdy z nas boi się czegoś innego. Co do mnie, wiedząc że wszyscy jesteśmy dziećmi

– Lucyfer ...

Boga, bez lęku wchodzę do wioski tubylców. Ale to nie znaczy, że nie boję się innych rzeczy.

– Na przykład?

– Na przykład słoni, bracie Holmes – powiedziałem i wzdrygnąłem się. – To twory Szatana, z tymi niewiarygodnymi trąbami, małymi czerwonymi ślepiami i zdolnością do zmiażdżenia z taką łatwością życia w człowieku. Twory Szatana! – powtórzyłem i zdecydowanym ruchem wychyliłem kolejną szklaneczkę.

– Nie ma powodu do niepokoju, padre – napomknął Thorpe.

– W promieniu stu kilometrów nie spotyka się żadnych słoni.

– Kamień spadł mi z serca – westchnąłem. – Czuję ogromną ulgę. Lecz moje powołanie wskazuje mi jasno i wyraźnie, drodzy bracia, że muszę przejść po terenie zwanym Konklawe albo jakoś podobnie. Ponoć jest tam mnóstwo tych krwiożerczych, gruboskórnych bestii z piekła rodem.

– Ma pan na myśli Enklawę Lado – domyślił się Holmes.

– Tak, właśnie ją! – rzuciłem. – Dokładnie to miejsce. Czy mógłbym prosić, jak dobry chrześcijanin chrześcijanina, o bezpieczną eskortę w osobie któregoś z was, abym nie padł ofiarą krwiożerczych zakusów jakiegoś słonia?

– Niestety, padre – odparł Thorpe. – Jesteśmy na służbie. Ale, ogólnie biorąc, słonie to dość spokojne stworzenia. Jeśli zobaczy pan jakieś stado, proszę ominąć je z daleka.

– Czy któryś z panów nie ma przypadkiem mapy Ugandy?

– spytałem, nalewając im kolejnego drinka.

Holmes wyciągnął z kieszeni kamizelki mapę i rozwinął ją.

– Proszę, wielebny – powiedział.

Dość szybko znalazłem Enklawę Lado i oszacowałem, że dzieli mnie od niej pięć dni marszu na zachód. Następnie sięgnąłem do kieszeni po ołówek i wręczyłem go porucznikowi.

– Bracie Thorpe, czy mógłbyś zaznaczyć te obszary Enklawy, które przede wszystkim muszę ominąć?

– Chodzi panu o teren ze... Pokiwałem głową i wypięłem ze strachu.

– Tak. Ze słoniami.

Spojrzał na mapę, a potem narysował siedem albo osiem kręgów w różnych fragmentach Enklawy.

– Gotowe, wielebny – oznajmił na koniec. – Te kółka pokażą największe koncentracje stad. Wystarczy je obejść i wszystko będzie dobrze. Może pan czasami wpaść na jakiegoś zabłąkanego osobnika, ale proszę starać się ich unikać.

– Nie wiem, bracia, jak mam wam dziękować – bąknąłem, rolując mapę i chowając ją za

koszulę. – Nie macie pojęcia, jaką przysługę wyświadczyliście dzisiaj Panu Bogu.

– Zawsze chętnie służymy osobie duchownej – powiedział Thorpe. – Co do podziękowania, nie jest ono konieczne – lecz jeśli spotka pan jakichś kłusowników kości słoniowej, proszę dać nam o nich znać po powrocie.

– Nie ma sprawy – obiecałem – chociaż nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby zabijać słonie.

– Można by sądzić, że pan to pochwała – zdziwił się Holmes.

– Dla zemsty, owszem – stwierdziłem – ale dla zysku? To wbrew Drugiemu i Siódmemu Przykazaniu.

Pożegnałem się z Brytyjczykami i wróciłem do Herbie'ego.

– Co pan robił tyle czasu? – spytał na mój widok.

– Zdobywałem dla nas majątek – odparłem i rzuciłem mu przed nos mapę. – Ja jestem od myślenia, ty od celnego strzelania i dzielimy się zyskami.

– Pół na pół?

– Jedna trzecia, jedna trzecia i jedna trzecia – skorygowałem.

– Chyba się przesłyszałem?

– Jedna trzecia dla ciebie, jedna trzecia dla mnie i jedna trzecia dla Boga.

Upierał się, że faktycznie daje to dwa do jednego dla mnie, więc po krótkim targu ustaliliśmy pięćdziesiąt pięć procent z pierwszych dziesięciu tysięcy funtów dla mnie, czterdzieści pięć procent dla Herbie'ego, Bóg zaś dostał opcję na trzy tysiące funtów z nadwyżki.

Tak czy owak postanowiliśmy wstać i ruszyć na szlak bladym świtem, toteż prawie natychmiast uderzyliśmy w kimono. W środku nocy poczułem ostry ból szyi i myśląc, że to jakaś pszczoła lub mała jaszczurka, chciałem strzepnąć ją palcami. W rezultacie dźgnąłem Herbie'ego w źrenicę.

– Niech cię szlag! – wrzasnął, rozcierając gorączkowo oko. – Dlaczego to zrobiłeś, Lucyferze?

– To było coś gorszego niż konflikt osobisty – orzekłem. – To perwersja! Całować mężczyznę w szyję, kiedy tamten śpi!

– Ja cię nie całowałem, Lucyferze – wyjęczał. – Wierz mi, nie całowałem!

– Ma to się więcej nie powtórzyć – oznajmiłem i wyciągnąłem się z powrotem na kocu.

Niecałe dziesięć minut później poczułem na szyi ten sam ból.

– Herbie! – ryknąłem i Miller musiał podskoczyć na wysokość metra. – Co się tu u diabła dzieje?

– W porządku, Lucyferze – westchnął. – Chyba musisz poznać prawdę.

– Że jesteś zdegenerowanym pederastą?

– Nie.

– Więc co?

– Wampirem.

– Kręcisz się po okolicy, ssiesz krew i tak dalej?

Pokiwał ze smutkiem głową.

– Przykro mi, że jestem wampirem. Nie zdajesz sobie sprawy, ile to kosztuje wysiłku, lecz jestem nim i nic na to nie poradzę.

– Od dawna?

– Och, to już prawie dziesięć lat. A może jedenaście. Wiesz, Lucyferze, żadna grupa ludzi na świecie nie jest tak mylnie oceniana jak my, wampiry. Chyba nie sądzisz, że lubię gryźć ludzi w szyję i ssać ich krew? – Spytał z dreszczem grozy. – To odrażające.

– Więc po co to robisz?

– A dlaczego ty pijesz wodę? – odparł. – To nie jest kwestia wyboru.



– Przecież widziałem cię na słońcu – zauważyłem. – Sądziłem, że wampiry muszą go unikać.  
– Tylko europejskie. To jakby całkiem inny związek.  
– Widziałem, że jadłeś mięso.  
– Ja też widziałem, że ty je jadłeś – odparował. – Nie powstrzymało cię to jednak od wypicia wody, prawda?

– To dlatego dostałeś kopniaka z wojska? Kiwnął głową.  
– I dlatego Nandi przywiązali cię do drzewa?

– Tak. Wiesz, Lucyferze, czuję się lepszym człowiekiem dzięki temu, że mogę o tym porozmawiać. Nie zachowuję się tak przez cały czas, uwierz mi. Na ogół jestem równie normalny jak ty. Jedyne czasami... Mhm, dostaję tego pragnienia.

– Odczuwasz je teraz?

Długo i namiętnie patrzył na moją szyję.

– Nie – westchnął z ulgą. – Chyba mi przeszło... – Urwał na chwilę, po czym dodał gorączkowo: – Tak. Jestem pewien, już mi przeszło.

– To dobrze. – Podeszedłem do niego i przywiązałem go do drzewa. – Odwiążę cię jutro rano. – Wróciłem na koc i położyłem się. – Nie miej do mnie żalu – dodałem – ale chyba będę musiał cię wiązać każdej nocy. Nie bierz tego do siebie, mam nadzieję, że rozumiesz.

– Rozumiem. Nie zdajesz sobie sprawy, co to za ulga móc z kimś o tym porozmawiać – powiedział, gdy zaczynałem odpływać. – Wiesz, jacyś misjonarze otworzyli szpital w Kitgum, mają tam zdaje się nieliczne zapasy krwi. Moglibyśmy..?

– Nie, nie moglibyśmy – odparłem i zasnąłem.

Następne cztery dni spędziliśmy powłócząc nogami, a późnym popołudniem piątego dotarliśmy na obrzeża Enklawy Lado. Wcześniej rozbiliśmy biwak i przystąpiliśmy do studiowania mapy kapitana Michaela Holmesa. Chcieliśmy wytyczyć najkrótszą drogę do najbliższego stada. W końcu poszliśmy spać, a nazajutrz wstaliśmy godzinę przed wschodem słońca.

Około południa zaczęliśmy znajdować sterty świeżych, słoniowych odchodów. Mniej więcej po dwóch godzinach podeszliśmy na odległość pół kilometra od stada, liczącego sto albo dwieście sztuk. Herbie położył się na brzuchu, sprawdził wiatr garścią suchego pyłu i zaczął się czołgać przed siebie. Obserwowałem go przez minutę, po czym ruszyłem w jego ślady. Będąc większym od Herbie'ego, zacząłem powoli go wyprzedzać i znieruchomiałem, gdy byliśmy niecałe sto kroków od wielkiego samca z ogromnymi ciosami. Już miałem poddać Herbie'emu myśl, że jesteśmy dość blisko na oddanie strzału, kiedy Herbie zatopił zęby w mojej szyi.

Krzyknąłem z bólu i w tym momencie rozpętało się piekło. Słonie wyciągnęły trąby, zataczając krąg i starając się odgadnąć, skąd dochodzi hałas, po czym trzy lub cztery osobniki ruszyły pędem prosto na nas.

Zerwałem się na równe nogi, bardziej ze złości na Herbie'ego niż ze strachu przed słoniami, i pokazałem na małego wampira, który wgryzał mi się akurat w ścięgno Achillesa.

– To on! – wrzasnąłem do szarżujących słoni. – Przebiegnijcie tuż obok mnie i rozdepczcie tego małego krwiopijcę!

Słonie zatoczyły koło niczym w konnym zaprzęgu, a na mój widok i wrzask uciekły w przeciwną stronę. Chwilę później w okolicy nie było żadnych dzikich bestii, z wyjątkiem tej, która z wolna podnosiła się na nogi obok mnie.

– Nie mam pojęcia, co się stało, Lucyferze – powiedział.

– Nigdy przedtem nie robiłem tego przy dziennym świetle.

– Ty zwariowany idioto! – ryknąłem. – Mogliśmy zginąć przez ciebie!

Zwiesił głowę i zrobił taką smutną minę, że cała złość natychmiast ze mnie wyparowała.

– No, już dobrze, dobrze – powiedziałem, klepiąc go po ramieniu. – Spróbuj dać mi niewielkie ostrzeżenie, kiedy znowu będziemy skradać się do słoni.

Cóż, następnego razu nie było prawie przez tydzień. Herbie coraz częściej próbował działać zgodnie ze swą drugą naturą, zwłaszcza kiedy skaleczyłem się przy goleniu. Wreszcie pewnego ranka spotkaliśmy tuzin młodych słoni w towarzystwie sędziwego samca z ogromnymi kłami, leniuchujących w małej, zalesionej kotlinie.

Tym razem dopilnowałem, żeby Herbie szedł przede mną. Zbliżył się na odległość czterdziestu kroków, oddał dwa strzały i położył starego samca. Pobiegłem obejrzeć ciało i odkryłem, że nigdzie nie widać Herbie'ego.

– Herbie! – zawołałem.

– Tutaj, w górze, Lucyferze – odparł.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem go na gałęzi jakieś osiem metrów ponad ziemią.

– Co ty tam robisz? – spytałem.

– Zawsze istnieje ryzyko, że któryś może wrócić. Reszta naboji jest u ciebie.

– To świadczy o wielkiej przezorności.

– Dziękuję, Lucyferze.

– A co j a mam robić, jeśli któryś wróci?

– Umiesz chodzić po drzewach?

– Nie za bardzo.

– Ach! Mhm, znasz jakieś krótkie modlitwy?

– Skończ z tą błazenadą i schodź na ziemię.

– To nie było pytanie retoryczne, Lucyferze – stwierdził.

– Dwadzieścia metrów za tobą czai się słon. Nie ma zbyt zadowolonej miny.

Oto jak się dowiedziałem, że mimo wszystko umiem chodzić po drzewach.

Słon poszedł sobie, my zaś siedzieliśmy na gałęziach jedną lub dwie godziny dłużej, po czym ostrożnie zeszlismy na ziemię obejrzeć naszą kość słoniową.

– Jakies osiemdziesiąt kilogramów sztuka – oceniłem.

– Przynajmniej – stwierdził Herbie i dodał: – Lucyferze, mam pytanie.

– Słucham, Herbie?

– Jak oderwiemy te kły od słonia?

To było niegłupie pytanie. Spędziliśmy większą część popołudnia na wyszukiwaniu długich i ostrych kamieni, a przez następny dzień rąbaliśmy kość słoniową. Późnym rankiem Herbie zaczął odczuwać pragnienie w ten swój oryginalny sposób i omal nie rozpląszczyłem draniowi łba kamieniem, ale do wieczora zachowywał się już przyzwoicie. Przed zmrokiem udało nam się odrąbać kły. Zdążyliśmy w ostatniej chwili, gdyż nasz słon nie obracał się w bukiet kwitnących jaśminów, a myszołowy zaczynały krążyć na niebie niebezpiecznie nisko.

– Co teraz? – spytał Herbie.

– Zaniesiemy je do obozu – odparłem.

– Nie wiem jak ty, Lucyferze, ale ja nie uradzę mojego kła.

– Oczywiście, że uradzisz.

– Sam ważę najwyżej pięćdziesiąt kilogramów.

– Spróbuj go ciągnąć.

Spróbował. Odciągnął go na jakieś dziesięć metrów od ciała i upadł.

– No, dobrze – westchnąłem. – Powiem ci, co zrobimy. Złap za cieńszy koniec mojego kła. Ja wezmę grubszy i zaniesiemy go do obozu, a potem wrócimy po twój.

Przystał na moją propozycję i ruszyliśmy przez busz. Dwie godziny później przykuśtykaliśmy do obozu i postanowiliśmy wrócić po tamten kiel dopiero rano. Biedny Herbie był tak wycieńczony, że tej nocy, zanim go spętałem, nawet nie próbował mnie ugryźć. Nazajutrz musiałem praktycznie budzić go kopniakiem, po czym zeszywniali, rozbici i czujący każdy mięsień, wybraliśmy się po drugi kiel.

Nigdy go nie znaleźliśmy. Wszystkie zarośla, drzewa, strumienie i ścieżki były podobne do siebie. Po jakichś siedmiu czy ośmiu godzinach musieliśmy przyznać, że zabłądziliśmy tak skutecznie, jak tylko dwóch ludzi może zabłądzić.

Wędrowaliśmy jeszcze przez parę dni i nie mogliśmy znaleźć nawet własnego obozu. Wreszcie trzeciego dnia poszukiwań przyszliśmy do wioski Wanderobo, gdzie przywitano nas po królewsku i powitano jak posłów z obcych państw.

Wódz był miłym starym chłopakiem o imieniu Nmumba. Przez lata od rozmaitych kupców i myśliwych liźnął trochę angielszczyzny. Posadził nas przy swoim ognisku, otoczył nagimi córkami i uraczył miejscowym browarem, jeszcze mocniejszym od piwa Kitungi. Od czasu do czasu rzucał dowcip. Poznaliśmy to po tym, że lechtał jedną z córek, a ta piszcziała jak opętana i to był dla nas sygnał do śmiechu.

Zastanawiałem się, co zrobić z Herbie'em, ponieważ zbliżała się pora snu, a nie pasowało mi jakoś pętać go w wiosce Nmumby. Wspomniałem o tym biedakowi, a ten obrzucił mnie stanowczym spojrzeniem i odparł:

– Naprawdę uważam, że dzisiejszej nocy musisz mnie uwiązać, Lucyferze. Czuję wielkie pragnienie. To chyba przez te ich wszystkie nagie szyje.

– Jak sobie życzysz – odparłem. – Czuję również, że stary Nmumba ma ochotę zasłużyć na miano dżentelmena i przysłać nam na noc dwie swoje córeczki.

– Nici z tego, jeśli chodzi o mnie! Już na twój widok, Lucyferze, chce mi się pić.

Przeprosiłem towarzystwo na chwilę i zabrałem Herbie'ego do chaty, gdzie przywiązałem go do słupków.

– Jeśli zaoferuje nam swoje córki, to dla okazania dobrych manier przyjmę obie – powiedziałem, zaciskając węzły. – I spokojna głowa, bracie Herbie, moim chrześcijańskim obowiązkiem jest trzy manie ich z dala od ciebie.

Tak też się stało i tak też uczyniłem.

Kiedy się rano obudziłem, Nmumba postanowił oprowadzić mnie po wiosce. Skrupulatnie wyjaśnił, że była to jedynie tymczasowa siedziba, jako że Wanderobo są w zasadzie koczownikami, lecz że należy do nas, jak długo plemię tutaj zabawi. Na koniec stanęliśmy przed ogromną chatą, w której musiało być dobre dziesięć ton kości słoniowej.

– Imponująca kolekcja, bracie Nmumba – oświadczyłem, kal kulując wartość do ostatniego szylinga.

Gospodarz zrobił rozanieloną minę.

– Wanderebo to znakomici myśliwi – oświadczył.

\_\_\_ Nie ma co do tego wątpliwości – odparłem. – Zabiliście je wszystkie tymi włóczniami? \_\_\_  
Tak.

– A więc, wyjaśnij mi coś, bracie Nmumba. Jeśli myślistwo stoi tutaj tak wysoko, to dlaczego wyprowadzasz swoich ludzi z Enklawy?

– Potrzebujemy nowego jujumena.

– To znaczy czarownika?

Skinął głową.

– Poprzedni umarł przed czterema miesiącami i boimy się o zdrowie naszych dzieci.

– Wydawały mi się bardzo zdrowe – zauważyłem.

– Tamten czarownik wyrabiał silne juju – odparł. – Ale już niedługo się zużyje, więc musimy znaleźć drugiego, zanim moi ludzie rozchorują się i umrą.

– To nic zaraźliwego, prawda? – spytałem, cofając się o krok dla okazania szacunku.

– Nie. To jest... Brak mi słów.

Cóż, przeszliśmy na język migowy i najprostszą formę suahili, jakiej liznałem. Okazało się, że ta konkretna forma szamaństwa była środkiem zapobiegawczym. Wiedziałem, że na odludziu nie mają żadnych szczepionek, spytałem zatem o naturę specyfiku.

– Otwiera żyły – wyjaśnił.

– Boję się, że nie nadążam, bracie Nmumba.

– Otwiera – o, tak – mruknął, pokazując mi świeżo zaleczoną ranę po nożu między małżowiną uszną a kością policzkową. – Zła krew wychodzi tędy. Diabły wychodzą.

– Chcesz powiedzieć, że stary szaman puszczał wam krew? Kiwnął głową.

– Bardzo silne lekarstwo.

Nie po raz pierwszy usłyszałem o puszczeniu krwi jako metodzie zapobiegającej chorobom. Jeśli chodzi o ścisłość, było to wielkim szaleństwem, panującym na dworach całej Europy przez stulecia. Ale fakt praktykowania tego w buszu stanowił dla mnie nie lada niespodziankę.

Nagle uświadomiłem sobie, że spotkało mnie coś więcej niż niespodzianka – to było zrządenie losu.

– Bracie Nmumba – powiedziałem do niego. – Myślę, że dziś może być twój szczęśliwy dzień. Mój przyjaciel jest czarownikiem, jednym z największych w Afryce.

– Za mały – mruknął z powątpiewaniem.

– Ależ wielkie rzeczy przychodzą w małych opakowaniach, bracie Nmumba. Brat Herbie nie tylko będzie puszczał krew twoim ludziom, lecz zabierze też przy okazji wszystkie diabły do własnego ciała tak, że nie będą was więcej krzywdziły.

– Naprawdę?

– Czy ja wyglądam na człowieka, który mógłby cię okłamać? Bracie Nmumba, dotknąłeś mnie do żywego.

Stał przez chwilę ze spuszczoną głową i myślał.

– Zgodzi się zostać naszym czarownikiem? – spytał.

– Nic nie sprawiłoby mu większej radości – odparłem zgodnie z prawdą.

– Świetnie! No, to załatwione, Wanderobo będą mogli zostać tutaj na wiele księżyców.

– Cóż, jest mały problem – bąknąłem.

– Och?

– To by znaczyło, że moi ludzie zostaną bez czarownika. Sądzę, że chcieliby coś w zamian. Nie dla mnie, ja rzecz jasna cieszę się, że mogłem wyświadczyć przysługę mojemu dobremu przyjacielowi Nmumbie. Ale tamci będą chyba musieli rozejrzeć się za nowym czarownikiem.

Rozumiał piąte przez dziesiąte, lecz istota sprawy zadźwięczała głośno i wyraźnie. Zasiadliśmy do ubijania interesu i dwa kwadransy później sprzedałem Herbie'ego Millera plemieniu Wanderobo za pięć ton kości słoniowej i grupę tragarzy, którzy mieli zanieść ją dla mnie do Mombasy.

Oto jak pierwszy raz w życiu zbiłem fortunę, a Herbie został najszczęśliwszym szamanem na

Czarnym Łądzie.

## Rozdział 4

# HANDEL NIEWOLNIKAMI

Z poczuciem pewnej dumy z osiągniętego sukcesu poprowadziłem moich siedemdziesięciu tragarzy z plemienia Wanderobo na wschód, w stronę cywilizacji. Nieśli skromny majątek w postaci kości słoniowej na swoich szerokich, ociekających potem barkach. Po mniej więcej trzech dniach marszu skręciliśmy na północ w kierunku Sudanu. Nie chciałem naprzykrzać się strażnikom leśnym ani brytyjskim oficerom, którzy mogli przebywać w tym rejonie, i w ten sposób straciłem fortunę, zanim otrzymałem szansę zbudowania mojej bazyliki.

Pewnej nocy leżeliśmy przy ognisku całkowicie wyczerpani – oni od dźwigania całej kości słoniowej, ja od przeliczania jej w mojej głowie na dolary – kiedy huknęła seria strzałów i w oka mgnieniu otoczył nas tuzin Arabów w kompletnych insygniach pustynnych. Wiem, trudno wyobrazić sobie dwunastu mężczyzn otaczających siedemdziesięciu jeden, ale jest to dużo prostsze, niż myślicie, kiedy dwunastka nosi strzelby, a tamci wręcz przeciwnie.

Tak czy owak skinęli na mnie, abym odszedł na bok i stłoczyli Wanderobo w ciasną gromadę. Kazali im przykłęknąć i podnieść ręce nad głowę. Pozycję tę dobrze znam, choć widywałem ją tylko w niedzielne poranki oraz w różnych grach hazardowych, wymagających małych, białych sześcianików z plamkami farby po bokach.

– Niezły łup – przemówił znajomy głos. – A do tego kość słoniowa! Całkiem niezłe, przyjaciele.

Następnie spośród cieni wyszedł tęgi mężczyzna w poplamionym, białym garniturze i skinął na mnie głową.

– Holender! – wykrzyknąłem.

– Doktor Jones – odparł z uśmiechem. – Jaka miła niespodzianka widzieć pana znowu, dobry przyjacielu.

– Co się tu u diabła dzieje? – spytałem.

– Obawiam się, że to p a n odpowiada za moją obecność tutaj, drogi doktorze Jones – roześmiał się, wyciągając chusteczkę i ocierając pot ze swej nalanej twarzy.

– Ja?

– Oczywiście. Widzi pan, kiedy herr von Horst zwiął z partią pewnego, powiedzmy, łatwo psującego się towaru, kupionego za środki otrzymane bezpłatnie od pana, uznałem, że muszę rozszerzyć moje podstawowe interesy i odrobić straty, na które mnie pan naraził. Pożałowania godne, zgoda, ale właściwe, przyzna pan?

– Nigdy! – warknąłem. – Ta kość słoniowa i ci tragarze należą do mnie! Choć, rzecz jasna, gdyby chciał pan wynająć ich ode mnie po dostarczeniu kłów, na pewno moglibyśmy ubić interes.

– O nie, przyjacielu – zaśmiał się. – Ja ubijam interes już teraz. Nie zna pan przypadkiem wymiarów swoich nadgarstków i łydek, co?

– Chyba nie myśli pan o założeniu pęt i łańcuchów na białego pobratymcę, bracie Holendrze? – spytałem ze zgrozą.

– Jaką mam gwarancję, że nie spróbuje pan uciec, nim dotrzemy na miejsce przeznaczenia? – powiedział, przykładając tłustą dłoń do podbródka i spoglądając na mnie ze znużeniem.

– Daję panu słowo chrześcijanina i człowieka honoru – odparłem.

– Przynieś łańcuchy! – zawołał do przechodzącego Araba.

– Bracie Holendrze! – wykrzyknąłem. – To nieludzkie zakuwać mnie niczym jakiegoś czarnego

poganina w drodze na targ niewolników. Na pewno możemy dojść do porozumienia i znaleźć wyjście możliwe do przyjęcia dla nas obu.

– Och, to tylko na krótką chwilę, doktorze Jones – powiedział. – Gdy znajdziemy się na pustyni, z przyjemnością pana rozkuję.

– Naprawdę?

Z całą pewnością. Ostatecznie tylko ja w promieniu pięciuset kilometrów będę miał wodę.

I tak zostałem przykuty za rękę, stopę i szyję do moich siedemdziesięciu tragarzy. Ze względu na moją rasę i pozycję społeczną Holender zakuł mnie jako pierwszego w szeregu. Wydawało mi się to słuszne i zasadne, dopóki nie odkryłem, że pierwszy w szeregu również pierwszy wchodzi na węże, skorpiony i innych obrzydliwych mieszkańców pustyni. Zaiste, ilekroć jeden z moich Wanderobo potknął się, bądź tylko zwolnił kroku, dowiadywałem się o tym na ogół w wyjątkowo bolesny i niegodny sposób.

Poza tym była sprawa kości słoniowej. Holender nie chciał jej porzucić, ale trudno było ją dźwigać skutym tragarzom, musieliśmy zatem przystawać mniej więcej co pół godziny, aby mogli nieść ciężar.

Wreszcie drugiego wieczoru mojej niewoli, kiedy na noc zdjęto mi łańcuchy z szyi, pokuśtykałem do siedzącego samotnie przy ognisku Holendra.

– Mogę się przyłączyć? – spytałem, siadając obok niego z taką gracją, na jaką pozwalały mi łańcuchy.

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo – odparł i pociągnął z do połowy opróżnionej butelki. Ciecz zapachem niezbyt przypominała wodę. – Jakby to ostatecznie wyglądało w oczach najemników? Im nie pozwalam nawet dzielić się ciepłem mego ogniska ani moimi pokrzepiającymi trunkami.

Zamachał na dwunastu uzbrojonych w strzelby Arabów, którzy przyglądali mi się z jawną wrogością.

– A poza tym – kontynuował – staram się nie mieszać interesów z przyjemnościami. Gdybyśmy zaczęli rozmawiać, popijać i częstować się łągarstwami, czułbym się absolutnie nieszczęśliwy z powodu tego, co zamierzam zrobić z panem za tydzień.

– Och?

– Tak, doktorze Jones. Serce by mi pękło. Ogólnie rzecz biorąc myślę, że powinieneś pan natychmiast pożegnać się ze mną i wrócić do swoich tragarzy.

– Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać, bracie Holendrze.

– Skoro mamy mówić o interesach, to całkiem inna sprawa

– odparł Holender z nagłym ożywieniem, podając mi flaszkę.

– Łyknij pan sobie, doktorze Jones.

– Nie zaszkodzi – stwierdziłem i wzięłem solidnego łyka, a potem jeszcze jednego. – Jaką ilością kości słoniowej dysponuję tutaj twoim zdaniem, bracie Holendrze?

– Żadną – odparł z uśmiechem. – Lecz jeśli dobrze zrozumiałem intencję pańskiego pytania, ja mam jej za jakieś osiemnaście tysięcy dolarów.

– Tam, skąd pochodzi, można jej znaleźć dużo więcej – szepnąłem.

Formalnie miałem słuszność, bo pochodziła od słoni, a jeśli dobrze wiedziałem, aktualnie nie było poważnego deficytu tych stworzeń.

– To znaczy, że jeśli pana uwolnię, zaprowadzi mnie pan do tej całej masy kości słoniowej?

Pokiwałem głową, szczerząc w rewanżu zęby.

– No cóż, z całego serca chciałbym wyświadczyć panu tę przysługę, doktorze Jones – powiedział, wciąż się uśmiechając – ale tragarze ledwo niosą to, co już mamy. Poza tym, kość

słoniową trudno sprzedać w Egipcie, natomiast... Sądzę jednak, że gadasz do rzeczy.

– Proszę nic nie mówić, bracie Holendrze – powiedziałem konfidencjonalnie. – Jeśli spotkam więcej pogan Wanderobo, mogę natychmiast ich zgarnąć i przygnać tutaj.

– Zdaje się, że pan dalej nie rozumie. Wszyscy sprzedają tubylców. Nie cieszą się wielkim popytem. To pan, doktorze Jones, stanowi *piece de resistance* mojej aktualnej dostawy.

– Ja?

– Tak – odparł i dodał ze smutkiem: – A ponieważ osobiście nie mam nic przeciw panu, poza tym, że straciłem przez niego fortunę w Dar es-Salaam oraz to że jest pan łotrem, a w dodatku bezwstydnym kłamcą, muszę się panu przyznać, że z większym zmartwieniem, niż może pan sobie wyobrazić, muszę pana sprzedać Ali ben Ishakowi bez względu na cenę, jaką mi zapłaci.

– Ali ben Ishakowi?

Holender ponownie skinął głową.

– Okropny facet, nie? – spytał, a ja poczułem, że w żołądku zawiązał mi się węzeł i zaczyna puchnąć.

– W innych okolicznościach najgorszemu wrogowi nie życzyłbym pańskiego losu – ciągnął z powagą w głosie. – Chyba, że moje życzenie zostałoby opłacone, naturalnie.

– Naturalnie – przyznałem. – Wróćmy do tego Ali ben Ishaka...

– Proszę, mój przyjacielu – wtrącił, uciszając mnie gestem dłoni. – Nie chcę dłużej rozmawiać na ten temat. Mógłbym popaść w depresję.

– Skoro tak bardzo to pana denerwuje, Holendrze, to może mimo wszystko lepiej nie sprzedawać mnie temu Arabowi.

– Drogi kolego – odparł surowym tonem – to są interesy. Będę musiał nauczyć się żyć z poczuciem winy.

Wyjaśniewszy sprawę, pociągnął z flaszki ostatniego łyka i od-

szedł spokojnym krokiem do namiotu. Jego Arabowie przegonili mnie od ognia, usiadłem więc wśród moich Wanderobo. Myślałem, że być może jednak los nie obszedł się z nimi aż tak okrutnie, przynajmniej w porównaniu z innymi znanymi ludźmi, na przykład ze mną.

Trzy kolejne dni minęły bez szczególnych wydarzeń, chyba że za coś szczególnego uważać posuwanie się z trudem po pustyni z rękami przykutymi do nóg łańcuchem. W wigilię piątego dnia naszej małej wycieczki Holender kazał jednemu ze swych Arabów rozkuć mnie, wyjaśniewszy uprzednio, że od najbliższej wody dzielą nas co najmniej cztery dni marszu.

Cóż, miałbym dużo do zarzucenia etyce, moralności i wyglądowi, a nawet higienie osobistej Holendra, lecz nie zauważyłem poważniejszych błędów w jego podejściu do interesów, toteż nie próbowałem oddalić się cichaczem od karawany. Poza tym to on wciąż miał moją kość słoniową, a bez niej nie dałoby się zbudować bazyliki Świętego Łukasza w realnej przyszłości.

Codziennie wypytywałem Holendra o charakter tego Ali ben Ishaka i codziennie powtarzał mi, że za bardzo mnie lubi, aby o tym dyskutować. Ujawnił tylko, że Ali ben Ishak należy do pięciu najbogatszych Arabów na świecie i że on, to znaczy Holender, bardzo cierpi z powodu zaistniałej sytuacji. Muszę wyznać, że im bardziej pragnąłem o tym rozmawiać, tym bardziej Holender nie był jedynym, który cierpiał. Postanowiłem w końcu oddać sprawę w ręce Pana, wyjaśniewszy Mu uprzednio cały problem i dorzuciwszy kilka swoich sugestii. Nie wspominając więcej o Arabie, skoncentrowałem się na ratowaniu życia przed udarem słonecznym. Nieliche zadanie samo w sobie.

Minął tydzień naszej niewoli, kiedy pewnego razu podniosłem wzrok i ujrzałem ogromny tuman kurzu na horyzoncie. Niebawem udało mi się rozróżnić gromadę szejków oraz wojowników arabskich. Jechali na koniach i wielbłądach, nosili kolorowe płaszcze i nakrycia głowy, nad którymi



trzymali kosztownie prezentujące się karabiny. Holender dał nam ręką znak, po czym kazał utworzyć krąg, jaki robili dawni pionierzy w obronie przed Indianami. Następnie polecił tuzinowi swoich ludzi chwycić za broń i rozstawił ich dookoła naszej ciasno zbitej gromadki.

Przywódca jeźdźców zatrzymał swoich wojowników około dwudziestu metrów przed nami, a następnie podjechał z wolna ku mnie i Wanderobo. Dwukrotnie zatoczył koło i przyprowadził konia do Holendra.

– Niewolnicy? – spytał, mrugając znacząco.

– Krewni i znajomi – odparł pośpiesznie Holender.

– W łańcuchach? – zdziwił się stary szejk.

– Mam z nimi na pieńku.

– Gdzie idziecie?

– Do Nairobi.

– Obraliście zły kierunek – stwierdził szejk.

– Chcieliśmy zażyć trochę ruchu po obiedzie.

– A kim pan jest?

– Pułkownikiem T. E. Lawrence – odparł Holender. – Lecz przyjaciele, których jest bez liku, nazywają mnie El Aurens.

Nagle zachowanie starego szejka zmieniło się zupełnie. Stał się on po prostu usłużny. Udzieliwszy błogosławieństwa Allaha Holendrowi oraz jego krewnym i znajomym, zawrócił do swoich fagasów i odjechali z kopyta w stronę, z której przybyli.

– Niewiele brakowało! – westchnął Holender, otarłszy pot z czoła.

– Skąd pan wiedział, że zostawi nas w spokoju, słysząc nazwisko Lawrence'a z Arabii?

– Metoda prób i błędów. Jedna zgraja omal nie rozerwała mnie na strzępy, kiedy przedstawiłem się jako Chińczyk Gordon. Chyba ich punkt widzenia na upadek Chartumu różnił się od pańskiego i mojego. Tak czy owak, po kilku eksperymentach okazało się, że nazwisko Lawrence'a działa najlepiej.

– Co będzie, jeśli kiedyś pojawi się prawdziwy Lawrence?

– spytałem.

– Najpewniej wezmą go za Chińczyka Gordona i rozerwą na strzępy – odparł z chichotem.

Podszedł do mnie i na powrót przykuł do Wanderobo.

– Przykro mi, że muszę to zrobić, drogi przyjacielu – wycedził, mocując łańcuchy – ale dzielą nas tylko dwa dni od Kairu i nie chcę, aby popełnił pan jakieś głupstwo.

Niezwłocznie zażądałem od Pana, aby go stuknął i wypuścił mnie na wolność, ale najwyraźniej Cichy Wspólnik miał akurat co innego do roboty, bo przez dwa dni człapałem do Kairu w łańcuchach.

Kiedy dotarliśmy na przedmieście, było już ciemno. Rozłożyliśmy obóz niecałe pięć kilometrów od jednej z wielu biednych dzielnic stolicy, rozpaliliśmy ognisko i daliśmy się Arabom spoić stosem skrzynek miejscowego piwa. Poczyłem uwagę o hojności Holendra, ten zaś odparował, że prócz niewątpliwej hojności kierowała nim również chęć utuczenia nas trochę przed postawieniem rano na aukcyjnym pieńku.

– A teraz, doktorze Jones – dodał z dziwnym błyskiem w oku – myślę, że nadszedł czas, aby moi ludzie rozkuli pana i przy prowadzili do mnie na kąpiel.

Tak też zrobili i muszę przyznać, że Holender przygotował dla mnie kąpiel mojego życia. Miała słodki zapach i była przepełniona różnymi gatunkami mydła i olejków. Kiedy się wytarłem do

sucha, Holender własnoręcznie ostrzygł mnie i ogolił, po czym dwóch Arabów natarło moje ciało nowymi wonnościami.

Gdy przygotowania dobiegły końca, zwrócono mi wypraną tymczasem odzież. Ubrałem się, a potem Holender stanął z boku i trzymając ręce na biodrach, obrzucał mnie badawczym spojrzeniem.

– O, tak – wyrzekł wreszcie. – Co najmniej osiemdziesiąt tysięcy talarów Marii Teresy.

Cóż, nie miało to dla mnie żadnego sensu. Według moich kalkulacji całej naszej bandzie razem z kością słoniową daleko było do osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Choć Ali ben Ishak mógł się zaliczać do najbogatszych ludzi na świecie, to bogacze nie dochodzili do majątku dzięki rozdawaniu nadmiernych napiwków, pamiętaniu o urodzinach kucharki, czy oferowaniu osiemdziesięciu tysięcy dolarów za niewolnika na zniżkującym rynku.

Skoro jednak Holender myślał inaczej i sprawiało mu to przyjemność, był to jego ból głowy – bo raptem niezwykle palącą sprawą stało się dla mnie ratowanie własnej.

Niebawem Holender i Arabowie zaczęli dopijać piwo. Ponieważ byłem wciąż rozkuty, trochę im w tym pomagałem. Musiało być nieco silniejsze, niż sądziłem, gdyż pół godziny później tylko Holender trzymał się jeszcze na nogach. Ucieliśmy sobie rozmowę o starych czasach, pociągając tego z jego butelki. Jakies dziesięć minut później padł jak kłoda.

Zastanawiałem się poważnie nad uwolnieniem Wanderobo, ale nie chciałem ryzykować i budzić Arabów w czasie poszukiwań kluczy do łańcuchów, a poza tym ktoś musiał zostać, by odnieść cały zapas kości słoniowej do Mombasy, tak więc posłałem im krótki, choć życzliwy uśmiech i pognąłem do miasta.

Jako że byłem świetnie zbudowany i, jak zwykle, w znakomitej kondycji, potrzebowałem tylko kilku godzin na pokonanie brakujących pięciu kilometrów i zjawiłem się w Kairze prawie nie zdyszany. Musiałem trafić na jakąś boczną uliczkę lub coś w tym rodzaju, bo choć na drugim końcu miasta widać było mnóstwo pałaców, znajdowałem się w labiryncie dwudziestu uliczek i małych, białych ruder. Zagadnąłem dwóch miejscowych o drogę, jednak ci zaczęli trąkotać w jakimś obcym języku, tak więc kontynuowałem spacer wzdłuż bazarów, rozklekotanych chałup i tego rodzaju zabudowań, dopóki nie znalazłem się raptem na trakcie przypominającym główną aleję.

Wskoczyłem na tył jadącego powoli piętrowego autobusu, przejechałem jakieś dwa kilometry i wyskoczyłem, nie odrywając konduktora od zawodowych obowiązków. W końcu ujrzałem białego mężczyznę w białym garniturze, podobnym do noszonego przez Holendra. Facet był nie tylko równie brudny, nosił również identyczny słomkowy kapelusz, więc podszedłem do niego.

– Dobry wieczór, bracie – powiedziałem.

– Nie daję jałmużny – warknął, idąc dalej przed siebie.

– Zaraz, bracie – odparłem, równając krok. – Czy ja wyglądam na człowieka, potrzebującego jałmużny? Tak się składa, że jestem przewielebny doktor Lucyfer Jones, pastor z bazyliki Świętego Łukasza daleko na południu.

– To musi być jakaś mała kapliczka – zazgrzytał zębami. – Na południu jest tylko piasek.

– W jakim kierunku podążamy? – zapytałem szybko.

– Północnym, palancie – odparł z nutą niechęci.

– No, to wszystko wyjaśnia – stwierdziłem. – Mój kościół znajduje się na wschód stąd. Trochę mi się pomieszało.

Przystanął i z rękami na biodrach lustrował mnie wzrokiem.

– Więc czego pan chce, do wszystkich diabłów?

– Nic takiego, bracie. Po prostu potrzebuję kilku wskazówek.

– No? – rzucił.

– Gdyby pan szukał targu niewolników w Kairze, gdzie mógłby pan go znaleźć? – zapytałem w końcu.

– Nie handluję niewolnikami – odparł lodowatym tonem.

– Ja też nie – zapewniłem go szybko. – Ściśle mówiąc, mam zamiar kupić gromadę biednych zbłąkanych dusz i wypuścić je na wolność.

– Szlachetny gest – zauważył, nadal obrzucając mnie podejrzliwym spojrzeniem. – Nie mogę jednak panu pomóc. A teraz, gdyby zechciał pan przestać chodzić za mną, byłbym...

– Chwileczkę! – zawołałem, przesyty kolejnym objawieniem. – Gdzie mogę znaleźć Ali ben Ishaka?

– Co ktoś taki jak pan może chcieć od kogoś takiego, jak on.

– To mój wspólnik – wyjaśniłem. – Chcieliśmy przemierzyć okolicę, wykupić wszystkich niewolników i wypuścić ich na wolność.

– Nie wierzę ani jednemu słowu, ale powiem panu – mruknął. – Mieszka na wzgórzu, w tym dużym domu z kopułą.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i na szczycie niewielkiego pagórka zobaczyłem ogromny gmach wielkości Białego Domu.

– Ten? – spytałem, pokazując ręką.

– Nie – odparł. – To tylko jakiś rządowy pałacyk. Ishak mieszka w tym dużym domu, bardziej na prawo.

Jeszcze raz rzuciłem okiem i spostrzegłem budowlę ze złotą iglicą, przy którym pałacyk rządowy wyglądał jak buda dla psa. Każdy z moich tragarzy mógłby mieć dwa pokoje z łazienką i zajęliby dopiero parter w skrzydle dla gości.

– Dziękuję, bracie – oznajmiłem, ruszając do siedziby Ali ben Ishaka. – Niech Miłosierny Bóg ma ciebie w swej opiece.

Było to szczere błogosławieństwo, tym bardziej że Pan jak dotąd nie troszczył się o faceta tego wieczoru, co pozwoliło mi sprzątnąć mu portfel, kiedy pokazywał palcem rządowy pałacyk.

Piętnaście minut później znalazłem się przed drzwiami Ali ben Ishaka. Od razu wiedziałem, że nie będę musiał marnować czasu na szukanie dzwonka i wymyślanie sposobów przedstawienia swej osoby, gdyż na mój widok dwaj potężni Egipcjanie w fikuśnych nakryciach głowy, balonowych spodniach i w niczym poza tym, obnażyli nieprzyjemnie wyglądające miecze.

– Co pana sprowadza? – zapytał jeden głosem zbyt wysokim jak na swoją posturę.

– Och, nic szczególnego – odparłem natychmiast. – Po prostu wpadłem sprawdzić, czy wasz szef nie chciałby złożyć małego datku na bazylikę Świętego Łukasza.

– Pan nie rozdaje jałmużny – odparł drugi identycznym falsetem.

– Kto tu mówi o jałmużnie? Bazylika Świętego Łukasza pragnie złożyć równie przyjazny datek Ali ben Ishakowi. Może któryś z was skoczy po pana?

Przez moment naradzali się szeptem, po czym jeden wetknął dwa palce w usta i zagwizdał przeraźliwie. Chwilę później zjawił się kolejny półnagi kulturysta w balonowych spodniach i turbanie na głowie. Odbyła się nowa szeptana konferencja, pantomima gestykulacji połączona z nader częstymi spojrzeniami w moim kierunku, po czym przybysz kazał mi iść za sobą.

Powiem wam, że był to nie byle jaki dom. Wszystkie draperie były przetykane złotą nicią, a w szklanych gablotach wzdłuż ścian głównej galerii leżały nieprzebrane ilości drogich kamieni. Każdej gabloty pilnował śniady Egipcjanin z zakrzywioną szablą. Przecieliśmy pokój stołowy, który mógł pomieścić tysiąc dwustu lub trzystu najbliższych przyjaciół i wielbicieli gospodarza, obeszlśmy

dookoła basen wyłożony kafelkami i niewiele mniejszy od Jeziora Wiktorii, aż wreszcie stanęliśmy u progu jakiegoś pomieszczenia, jak amen w pacierzu przypominającego salę tronową. W każdym razie była to ogromna komnata wyłożona kwiecistymi, perskimi dywanami. Stało w nim tylko jedno krzesło – wysokie, luksusowe, wyściełane siedzisko, umieszczone na samym środku sali.

– Dam znać panu, że ma gościa – odezwał się mój przewodnik, znikając w drzwiach, nieźle ukrytych wśród wiszących draperii.

Korzystając z kilku minut samotności, postanowiłem obejrzeć rozłożone na półkach cacka i błyskotki Ali ben Ishaka. Z pewnym zdziwieniem odkryłem, że były to same rzeźby, obrazy oraz innego rodzaju wizerunki nagich, białych mężczyzn, tu i ówdzie pokazujących dla urozmaicenia postacie chłopców.

Nagle odgadłem, dlaczego Holender był tak pewny, że zarobi na mnie te wszystkie pieniądze, toteż rzuciłem się do ucieczki tą samą drogą, którą przyszedłem. Gdy jednak dopadłem drzwi, dwaj inni przekłęci egipcjacy poganie wyrosli przede mną jak spod ziemi i skrzyżowali klingi na mojej drodze. Chciałem już dać nura i przemknąć pod szablami, ale rozmyśliłem się i wróciłem do sali tronowej, szukając nadaremnie śladów kurzu do natarcia sobie skóry.

W tym momencie spoza draperii wszedł jakiś jegomość w atlasowo-jedwabnym odzieniu. Był niemłody i wychudły, lecz masa biżuterii, którą nosił sprawiała, że w oczach większości kobiet mógł wyglądać na przystojnego dwudziestolatka. Poczujęm go mniej więcej trzy sekundy wcześniej, niż zobaczyłem, ale od tego momentu wonności, którymi natarł mnie Holender, przestały się liczyć. Chwilę wcześniej utonęły w powodzi zapachów gospodarza.

– Ali ben Ishak? – spytałem i wyciągnąłem rękę, dziękując Bogu, że żaden z Arabów nie wpadł na pomysł, aby rni zrobić manicure.

– Tak – wymruczał. – Mam przyjemność z panem...

– Z doktorem – poprawiłem. – Przewielebny doktor Lucyfer Jones, do pańskiej dyspozycji. Że się tak wyrażę – dodałem pospiesznie.

– Czemu zawdzięczam wielką przyjemność pańskiej wizyty, doktorze Jones? – spytał, patrząc na mnie przez na pół opuszczone powieki, co nadawało mu lekko zamroczony wygląd.

– Sądzę, że mamy do zrobienia interesik – oznajmiłem.

– Czyżby? – zachichotał, opadając na fotel.

– Ali benie, przyjacielu, nie będę owijał w bawełnę – zacząłem. – Mam do upłynnienia pewien towar, który znajdzie pańską aprobatę.

– Już ją znalazł – odparł.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Przecież pan nawet nie wie, o czym mówię.

– Domyślam się – bąknął z uśmiechem kabotytna.

– Proszę nie domyślać się tak prędko – rzuciłem. – Jak wspomniałem, sprowadziłem ów towar aż z Enklawy Lado, ponosząc ogromne koszty i osobiste niewygody. Wiem, że człowiek o pańskim guście i pozycji doceni to właściwie.

– Nie wątpię – wyszeptał.

– Może pan szukać w całej Afryce, ale nigdzie nie znajdzie pan lepszego.

– Cóż za przeurocza refleksja! – zawołał, mrużąc oczy i uśmiechając się bardzo osobliwie.

– Wobec tego przejdźmy do uzgodnienia ceny. Bracie Ali, od kogo innego wzięłbym trzydzieści lub trzydzieści pięć tysięcy dolarów, ale panu oddam za pół darmo, marne dwadzieścia kawałków.

– Nie zwykłem płacić aż tyle – oświadczył z rozdrażnieniem.

– Otrzymuje pan sześć ton – zauważyłem. – To daje mniej niż dwa dolary za kilogram.

– Sześćton? – wykrzyknął. – O czym pan mówi?

– O kości słoniowej. A pan o czym?

– Ach, o niczym – mruknął, zarumieniwszy się, a jego twarz przybrała najładniejszy odcień różu, jaki w życiu widziałem.

– Załatwione? – spytałem.

Poczuliśmy się targować i licytować, i w końcu sprzedałem mu kość słoniową za szesnaście tysięcy dolarów. To było mniej, niż chciałem, ale więcej niż miałem, więc chyba obaj byliśmy z tej transakcji bardzo zadowoleni.

– Wyśle pan służbę po towar?

– Natychmiast – odparł. – Ufam, że zostanie pan moim gościem, póki nie przybędzie kość słoniowa.

– Z przyjemnością, bracie Ali ben – bąknąłem, widząc, że nie mam większego wyboru.

Wezwał dwóch pokojowców, a ja precyzyjnie określiłem im miejsce, gdzie znajduje się ładunek.

– Mam też osiemdziesiąt trzy sztuki na jutrzejszą aukcję niewolników – dodałem. – Kiedy dotrzecie na miejsce, bądźcie tacy mili i wyszorujcie ich trochę dla mnie, dobrze?

Spojrzeli na pryncypała, ten zaś skinął twierdząco głową, po czym wyszli.

– Miłe chłopaki – stwierdziłem.

– Kiedyś owszem – mruknął przez zaciśnięte usta.

– Czytałem o podobnych młodzieńcach w Biblii. Nazywali się Enochy, czy jakoś tak, prawda?

Zamiast odpowiedzi poczęstował mnie pełną tęsknoty miną. Pojąłem, że stracił nastrój do rozmowy, toteż odszedłem bez pośpiechu, znalazłem sobie materac z gęsiego pierza przykryty atlasową pościelą i futrzanym kocem, po czym uderzyłem w kimono.

Rano Enochy zbudziły mnie swymi piskliwymi głosami. Nie zdążyłem wprosić się na jakieś śniadanko, a już cała świta Ali ben Ishaka, łącznie ze mną, znalazła się na świeżym powietrzu i pomaszrowała na targ niewolników.

Był to wyjątkowo syfiasty, kapiący od brudu budynek, położony tuż za południową granicą miasta, i nieco na zachód, ale wypełniali go po brzegi szejkowie, sułtani i różni potentaci, wystrojeni na ostatni guzik. Gdy dotarliśmy na miejsce, akurat licytowano jakąś Hinduskę, za którą chętnie sam zaofiarowałbym okrągłą sumkę. Podszedłem za Ali ben Ishakiem do ustawionego na boku rzędu krzeseł, najwyraźniej przygotowanych specjalnie dla niego i jego świty.

W pierwszej kolejności pod młotek poszedł zespół dwunastu kaprawych Arabów, ja zaś spędziłem całe pół godziny na czworakach w poszukiwaniu brylantów i innych cacek, które mogły wypaść na podłogę moim sąsiadom. Wreszcie tuzin wyznawców Allana poszedł za dziesięć tysięcy dolarów, znikając nam z oczu.

A potem rozległy się męskie krzyki. Dochodziły aż do naszego rzędu, choć wydawano je jeszcze za drzwiami. Kilka chwil później na pień aukcyjny zawleczono, miotającego przekleństwa, Holendra.

– Numer 27 – ogłosił licytator. Usiłował pokazać tłumowi uźębienie Holendra i w podzięcie za swe starania omal nie skończył z odgryzionym palcem.

– Tam jesteś! – wrzasnął Holender na mój widok. – To wszystko przez tego świńskiego syna!

Wstałem z krzesła i pomachałem tłumowi. Ludzie zaczęli ochryple wiwatować i rzucać monetami w moją stronę.

– Nie rozumiecie! – zawył Holender. – To on powinien stać na tym podium, to jego powinniście kupować!

– Ten człowiek najwyraźniej posunął się za daleko, niech go Pan ma w swej opiece

– powiedziałem ze smutkiem. – Zechciejcie, bracia, porównać nasze sylwetki. Czy ja wyglądam na człowieka, którego wleczono przez Saharę, żeby ustawić na tym pieńku? Albo jeszcze lepiej – spytajcie mego żywiciela i dobrego znajomego Ali ben Ishaka.

Wszyscy zamilkli na chwilę i licytator wrócił do opowiadania tłumowi, jaką to robotę Holender chętnie wykona w ciągu trzydziesto-czterogodzinnej dniówki. Lecz Ali ben Ishak nie zwracał na to uwagi; wręcz przeciwnie, długo i intensywnie wpatrywał się we mnie.

– Coś cię gnębi, bracie Ali ben? – zapytałem wreszcie.

– Zastanawiam się tylko, jak pan to zrobił – wymamrotał.

– Co?

– Zamienił się miejscami z Holendrem. Wiem oczywiście, kim on jest:

– I nie chce pan, by ten okrucz wiedzy pozostał naszą prywatną tajemnicą, tak?

– Jeśli ujawnię prawdę, pan znajdzie się na tym aukcyjnym pieńku – powiedział bardziej do siebie niż do mnie. – A gdybym miał zapłacić za pana... – kontynuował, rozciągając słowa i przyglądając mi się uważnie.

Bracie Ali ben, wiem, co ci chodzi po głowie. Wprawdzie jest to srodze amoralne, odrażające i niechrześcijańskie, nie potrafię jednak znaleźć argumentów przeciw temu, biorąc pod uwagę fakt, że jestem najprzystojniejszym młodym luzakiem, jakiego w życiu spotkałeś. Tyle że mnóstwo innych facetów patrzy na mnie twoimi oczyma i uprzedzam cię, że jeśli trafię na pieńek, będę cię prawdopodobnie kosztował milion dolarów albo i więcej. Wiem z dobrego źródła, że sam sułtan Graustark upoważnił swoich agentów do zapłacenia za mnie takiej kwoty.

– Och? – bąknął, ściągając brwi.

– Natomiast taki przesiąknięty rumem, wulgarny i stary maniak seksualny jak Holender powinien pójść za marne pięć tysięcy.

– Ale on jest tak, tak... – Ali ben Ishak szukał właściwego słowa.

– Widzę – wtrąciłem. – Lecz wystarczy podsuszyć go przez miesiąc, głodzić jeszcze przez dwa i sprawić mu perukę, a zdziwi się pan jego przemianą. Wiem, nigdy nie dorówna mi prezencją, Bóg mi świadkiem, ale mógłby pan zrobić na tym znakomity interes. A poza tym jest jasne jak słońce, że może pan go dostać.

Opuścił głowę i przez trzy minuty siedział zatopiony w myślach. Kiedy wrócił do świata żywych, cena za Holendra sięgnęła już ośmiuset dolarów i rosła w tempie dziesięciu Waszyngtonów na sekundę. Ali ben Ishak zaoferował trzy tysiące i nabył niewolnika, zanim konkurencja zdołała otrząsnąć się z wrażenia.

Następnie pojawiło się siedemdziesięciu moich tragarzy. Gdy jeden po drugim wystawiali na pokaz swoje uzębienie, rosły osobnik na końcu kolejki przywołał mnie gestem dłoni w kierunku podium. Podeszedłem bliżej, a ten schylił się i szepnął mi do ucha:

– Nie jest to szeroko znane, że władam angielskim.

– To nawet nie jest wąsko znane – odparłem ze zdziwieniem. – Kiedy się nauczyłeś?

– Od misjonarzy, wiele lat temu.

– Dlaczego u licha nie odezwałeś się do mnie podczas tej cholernej i długiej wyprawy przez pustynię?

– Nie miałem nic do powiedzenia.

– A teraz masz?

– O, tak – odparł z zawziętym uśmiechem. – I jeśli nie znajdzie pan sposobu na uwolnienie mnie i moich współplemieńców, powiem to wszystkim zebranym na tej sali. Licytator z pewnością chciałby wiedzieć, że w miejsce marnej prowizji może zatrzymać dla siebie sto procent zysku z

ewentualnej sprzedaży pana, gdyż Holender nie jest w stanie żądać czegokolwiek.

Podszedł do nas licytator i obrzucił mnie pytającym spojrzeniem. Odpowiedziałem mu znudzoną miną i wróciłem na miejsce.

– Licytacja otwarta! – ogłosił prowadzący.

– Cztery tysiące za całą partię – odezwał się jakiś potentat.

– Pięć – powiedział drugi.

– Siedem – zaoferował radża.

– Osiem tysięcy – wykrzyknąłem, zastanawiając się, czy drugie osiem wystarczy na bazylikę.

– Dziewięć – podniósł radża.

– Dziesięć – rzuciłem. – Ci leniwi hultaje nie są warci ani centa więcej!

– Jedenaście – podniósł radża.

– Mówiłem przecież, że tylko tyle są warci! – zawołałem. – Ma pan wosk w uszach, czy co?

Dwanaście, i to jest moje ostatnie słowo.

– Trzydzieści.

– Czternaście – powiedziałem. – Może uda mi się wyjść na swoje, zanim wymiar sprawiedliwości nie odkryje, że stanowią moją własność.

– Wymiar sprawiedliwości? – zdziwił się drugi potentat.

– Zjedli swego wodza – odparłem.

Radża podszedł do platformy i przyglądał im się badawczo i długo. Naprawdę zjedli wodza?

– Garniowanego cebulką – odparłem szybko.

– Piętnaście – powiedział po dłuższym wahaniu.

– Szesnaście – podniosłem. – Są też homoseksualnymi gwałcicielami.

Ali ben Ishak zerwał się z krzesła, aby mnie przelicytować, lecz nadepnąłem mu na palec u nogi i Ali ben usiadł z powrotem, miotając przekleństwa. Radża ponowił dokładne oględziny, potrząsnął głową i wrócił na swoje miejsce.

– Sprzedani, za szesnaście tysięcy dolarów – wykrzyknął licytator.

Zerknąłem na anglojęzycznego tragarza. Świdrował mnie wzrokiem.

– Uwolnijcie ich i skierujcie na południe – oznajmiłem. – Zmieniłem zdanie. Są zbyt niebezpieczni, aby ich trzymać.

Licytator wzruszył ramionami, a ktoś z tylnych ławek zawołał:

– No, znacie tych pyszałkowatych amerykańskich milionerów: łatwo przyszło, łatwo poszło.

Godzinę później licytacja dobiegła końca i znowu zostałem kompletnie splukany, chętnie pozwalając Ali ben Ishakowi zatrzymać aukcyjne pieniądze, którymi powinienem był wykupić się od Arabów i Holendra, w zamian za jego milczenie.

No cóż, nie kompletnie splukany. Zostawił mi dwieście zielonych za przeprowadzenie ceremonii, która raz na zawsze związała go węzłem małżeńskim z Caesare Toburem alias Winstonem Rilesem, alias Hansem Gerberem, alias Horstem Brokowem, alias Holendrem. Może i było to trochę niezgodne z prawem, ale musiałem spełnić swój codzienny, rozdzierający serce obowiązek. Nie pamiętam co prawda, abym widział przedtem równie zapłakaną i rozkapryszoną pannę młodą jak Holender.

# Rozdział 5

## MUMIA

Bywają rzeczy gorsze niż pobyt latem w Kairze.

Można na przykład przebywać latem w Kairze bez centa przy duszy, bez jedzenia i przyjaciół, w jedynym garniturze, i uciekać przed szalonym Holendrem, który rozpowiada o tobie podłe i straszliwe kłamstwa wszystkim, którzy zechcą ich słuchać.

Można też przebywać latem w Kairze bez centa przy duszy, bez jedzenia i przyjaciół, w jedynym garniturze, i uciekać przed szalonym Holendrem, który rozpowiada o tobie podłe i straszne kłamstwa wszystkim, którzy zechcą ich słuchać, oraz dać się zapędzić w ciemną uliczkę przez kryjącą się wśród cieni wysoką i mroczną postać.

To właśnie ja byłem owym zapędzonym.

Jeśli chodzi o ścisłość, uliczka, nie najgorzej zresztą oświetlona, znajdowała się w odległości kilku kroków, ale była wówczas okupowana przez trójkę młodych mężczyzn, których wcześniej wciągnąłem do pewnych gier hazardowych używając laminowanych prostokątów tekturowych, pokrytych ciekawymi i skomplikowanymi obrazkami po obu stronach. Nie chcąc wywoływać gorzkich wspomnień, uznałem za stosowne unikać, że tak powiem, bitych dróg, kiedy nagle zwróciło moją uwagę, że moja osobista droga nie była tak niebita, jak mógłbym sobie tego życzyć. Ilekroć postawiłem krok, identyczny krok stawiał nieodłączny cień za moimi plecami. Ilekroć się zatrzymywałem, cień postępował tak samo. Początkowo to ignorowałem, bo nie noszę przy sobie cennych przedmiotów, ale po pewnym czasie zaczęło mnie niepokoić i doszedłem do wniosku, że cywilizowany człowiek na ogół dysponuje czymś, czego niektórzy Egipcjanie mogą potrzebować, na przykład butami.

No cóż, zabawa w kotka i myszkę trwała ponad dziesięć minut. Pod koniec dziesiątej oddałbym duszę za butelkę zimnego piwa, jako że od kluczenia wśród slumsów Kairu człowiekowi zasycha w gardle, gdy wreszcie natręt wyszedł z cienia z nieprzyjemnie wyglądającym sztyletem w ręce.

– To wszystko pomyłka! – zawyłem, wyrzucając ręce nad głowę. – Moje podobieństwo do Rudolfa Valentino jest czysto powierzchowne! O ile mnie pamięć nie myli, nie uwiodłem żadnej Egipcjanki.

– Uff, do diabła, to pan! – wymamrotał ktoś basem. – Co pan u diabła robi tutaj o tej porze nocy, Lucyferze?

Przysunąłem się bliżej, by lepiej widzieć. Okazało się, że mam do czynienia z anglojęzycznym tragarzem z plemienia Wanderobo.

– Dlaczego nie jesteś razem ze swoimi współplemieńcami w drodze do Ugandy? – spytałem, rozpoznawszy go ostatecznie.

– Postanowiłem zostać, aby szukać sławy i majątku – wyjaśnił, opuszczając sztylet.

– Liczysz, że znajdziesz je w ciemnej uliczce o czwartej nad ranem?

– Miałem nadzieję na coś innego – przyznał potulnie. – Ale czy próbował pan kiedy obrabować bank tylko z nożem w ręku?

– To dlaczego nie kupiłeś spluwy? – spytałem bez większej ciekawości.

– Za co? Mam tylko tę cholerną przepaskę na biodrach, Lucyferze. Zamarzam na śmierć!

– No cóż, bracie – westchnąłem. – Zamarzanie na śmierć nie grozi mi zupełnie.

– Nie?



– Nie. Dużo wcześniej padnę z głodu.

– Mhm, przykro mi, że zawracałem panu głowę – mruknął i zaczął się oddalać.

– Chwileczkę! – krzyknąłem za nim. – Może powinniśmy złożyć do wspólnej kasy nasze zasoby i utworzyć spółkę?

– Sam nie wiem – odparł po namyśle. – Pański poprzedni wspólnik w tej chwili pije chyba krew mojej żony.

– Ale jest szczęśliwy i dobrze odżywiony – zauważyłem. – Powinieneś wziąć pod uwagę, kim i czym był mój poprzedni wspólnik.

To prawda – wycedził. – Ale na pewno nie był nędznym, czarnym, pogańskim śmieciem. Jesteśmy równymi partnerami albo nici z interesu i zdejmuję z pana ostatnią koszulę.

– Bracie – powiedziałem z wrodzoną szczerością. – Absolutnie mylisz się co do mnie. Miłościwy Pan wyraźnie zabrania mi wykorzystywać wspólnika jakiegokolwiek rasy, zwłaszcza jeśli bije mnie o całe ćwierć metra i dobre trzydzieści kilogramów. Nawiasem mówiąc, jak się nazywasz?

– Nie umiałby pan tego wymówić – odparł wyniośle.

– Zaryzykuj.

– Kanchupia.

– W takim razie będę cię nazywał Piętaszkiem.

Wzruszył ramionami na zgodę.

– A zatem, Piętaszek. Słuchaj Piętaszku, mój wspólniku i umiło wany przyjacielu. Nie masz przy sobie jakiejś wałówki do wrzucenia do naszej wspólnej kasy?

Uniósł gołe ramiona nad półnagie ciało i obrócił się w kółko.

– Gdzie mógłbym ją schować, Lucyferze?

– Pytałem z ciekawości.

– Jak widzę, ma pan podkoszulek i koszulę – zauważył. – Nie odstąpiłby pan jednego albo drugiego?

– Nie ma sensu, abyśmy obaj marzli – odparłem. – Ty dziś w ogóle nie używasz szarych komórek, Piętaszku. Przykro mi to mówić, ale oparta na samych władzach umysłowych równoprawna spółka nie byłaby najuczciwsza pod słońcem.

– Może pan być albo równoprawnym wspólnikiem, albo nagą ofiarą – odparł z powagą w głosie. – Nie pamiętam, abym składał panu trzecią propozycję. – Z tymi słowy położył znacząco dłoń na rękojęści sztyletu.

– No cóż, wspólniku – rzuciłem natychmiast – skoro tak stawiasz sprawę, to chyba wszystko załatwione?

Zgodził się z tym bez zastrzeżeń, po czym ruszyliśmy na poszukiwanie wyżerki i ciuchów. O wschodzie słońca nie zaliczaliśmy się jeszcze do najlepiej ubranych i odżywionych ludzi w mieście, toteż kiedy na jednej z głównych arterii począł się gromadzić tłum, naturalnie udaliśmy się za nim w nadziei na jakąś jałmużnę albo chociaż dwie wypchane i źle pilnowane kieszenie.

Znaleźliśmy ciężarówkę wypełnioną po brzegi statuetkami ze złota i innymi błyskotkami, wartymi w sumie okrągłą sumkę. Obok tego całego majdanu stało kilku facetów w szortach i koszulach khaki oraz w za dużych hełmach tropikalnych. Odpowiadali na pytania, którymi zarzucała ich chmara dziennikarzy.

– O co tyle zamieszania, bracie? – spytałem jakiegoś Europejczyka stojącego na skraju zbiegowiska, starając się rzucić okiem na przebieg wydarzeń.

– Jak to, nie czytasz gazet, przyjacielu? – zdziwił się. – To pierwszy transport skarbów z grobowca króla Tuta.

– A gdzie można znaleźć tego króla Tuta? – spytałem sądząc, że królowi, który rozdaje złoto w takich ilościach, powinno zostać trochę jedzenia i ubrania dla młodego, skromnego chrześcijanina, który od kilku miesięcy cierpi niedostatek na Czarnym Łądzie.

– Widzę, że w ogóle nie czyta pan gazet! – roześmiał się Europejczyk. – Król Tutenchamon nie żyje od ponad trzech tysięcy lat.

– I dopiero teraz regulują sprawy majątkowe, tak? – domyśliłem się, by nie wyjść na tępego ignoranta.

Mój rozmówca z uśmiechem pokręcił głową.

– Grobowiec króla Tuta został odkryty pierwszego grudnia zeszłego roku przez Anglika o nazwisku lord Carnarvon i Amerykanina o nazwisku Carter. To największe znalezisko archeologiczne w historii!

– Naprawdę? I cóż takiego znaleźli?

– Różne zabytki: połączone kanapy i alabastrowe wazy pokryte hieroglifami. I oczywiście samego Tutenchamona, młodziutkiego króla pochowanego wraz z tymi wszystkimi cudami przed tysiącami lat.

– No dobrze, a komu zamierzają upłynnić ten cały kram?

– Upłynnić? – zapytał z przerażoną miną. – Drogi panie, te wszystkie bajeczne skarby ze starożytności znajdą się na publicznej wystawie. – Patrzył na mnie badawczo i długo, po czym dodał: – Pod okiem wyjątkowo licznej straży, ma się rozumieć.

– Ma się rozumieć – Pokiwałem w zadumie głową. – A co z samym Tutem? Wyprawia mu w końcu godziwy, chrześcijański pochówek?

– Pan chyba oszalał! – zagrział Europejczyk. – Tut stanowi największe odkrycie. Jego mumia trafi do sal wystawowych całego świata.

– Chcesz mi wmówić, bracie, że wezmą jego owinięte bandażami ciało i wystawią na pokaz? – krzyknąłem. – Toż to istne barbarzyństwo!

– Właśnie rozpatrują oferty różnych państw.

– Oferty? Po cóż rządy miałyby płacić żywą gotówką za wystawienie mumii na pokaz?

– Nie ma obawy, policzą turystom za wstęp i odzyskają pieniądze – odparł. – Ale zrobią to wyłącznie w celach prestiżowych. Zyski będą miały znaczenie marginalne.

Podziękowałem mu za informację i powędrowałem z powrotem do Piętaszka. Pracownicy uwalniał przyglądających się karawanie gapiów od nadmiaru gotówki.

– Niech pan spojrzy, Lucyferze! – zawołał, podtykając mi pod nos zwitek funtów szterlingów. – Przynajmniej nie zamarzniemy i nie zagłodzimy się na śmierć.

– Taka ewentualność nigdy nie powstała w mojej głowie – stwierdziłem, rozglądając się za drogerią. – Myślę jednak, że powinniśmy je zainwestować w nasze pierwsze wspólne przedsięwzięcie.

– Najpierw muszę coś na siebie włożyć – mruknął, ruszając w stronę pobliskiego sklepu z męską odzieżą.

Złapałem go za rękę, zahaczyłem ją o własną i dorównałem mu kroku.

– Drzewo do lasu – zauważyłem. – Będiesz ubrany od stóp do głów, nie kupując ani sztuki odzieży.

– O czym pan mówi? – zdziwił się z podejrzliwym błyskiem w oku.

– Bracie Piętaszku, po prostu złóż siebie i swą finansową przyszłość w moje ręce – odparłem dla uspokojenia. – Daję słowo, że nim noc zapadnie, staniesz się najcieplejszym człowiekiem w Egipcie.

- To nie będzie bolało, prawda? – zapytał niespokojnie.
- Ani trochę, bracie Piętaszku.
- Na pewno? – obstawał.
- Bracie, jedyne, co może tutaj boleć, to brak zaufania do mnie, widoczny w twoich oczach.

Bierzmy się do roboty.

Rozpoczęliśmy od znalezienia drogerii i kupna półtorej setki metrów białego jak śnieg bandaża. Następnie odkryliśmy mały butik pośrodku Alei Faraonów i wynajęliśmy go za funta tygodniowo.

- Co teraz? – spytał Piętaszek, gdy wyładowaliśmy bandaż na podłogę naszej pustej siedziby.
- Teraz weźmiesz parę szylingów i pójdziesz kupić dwa kawałki białej, długiej tektury oraz puszkę farby.

– A co pan będzie robił?

- Piętaszku, żaden śmiertelnik nie miał równie podejrzliwego współnika! – poskarżyłem się.
- Po prostu muszę się poważnie zastanowić. Mam przeczucie, że potrzebujemy czegoś jeszcze innego, ale zupełnie nie potrafię określić, co to ma być.

Wymruczał trzy po trzy w języku Wanderobo i udał się po zakupy. Doszedłszy do wniosku, że będzie mi się myślało lepiej na nogach niż na pięciu literach w magazynie, udałem się na przechadzkę krętymi ulicami Kairu. Pokonałem może z kilometr, gdy jakaś drobna, choć bardzo zaokrąglona postać wyskoczyła nagle z bramy i chwyciła mnie za rękę.

– Podbiłeś me serce, szlachetny panie! – szepnęła, połyskując gałkami oczu znad welonu, który zasłaniał resztę twarzy – i nagle zaświtało mi w głowie, czego brak naszemu drobnemu przedsięwzięciu.

– To nie powód do wstydu – uśmiechnąłem się do niej z góry.

– Wiele kobiet od jeszcze krótszego wejrzenia żywiło gorętsze uczucia do takiego chrześcijańskiego eleganta, a w dodatku Ameryka nina.

– Moje ciało opanowało pożądanie, aby oddać ci się za darmo!

– wyszeptwała.

– Za darmo, powiadasz? – powtórzyłem, gdy prowadziła mnie w głąb podwórka, z którego się wyłoniła.

– No – odparła spuściwszy skromnie wzrok – jest pewna opłata za obsługę i podatek od rozrywki.

– Siostrze – podjąłem, nie przestając szczerzyć do niej zębów

– czuję, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

– To dobrze – stwierdziła, a zmarszczki w kącikach jej oczu zdradziły, że oddaje mi uśmiech.

– Skończymy z tymi głupimi szczegółami handlowymi?

– Nie mam nic przeciwko temu – zgodziłem się. – Jestem oczywiście splukany, ale...

– Ach, niech to diabli! – burknęła, tupiąc małą stopką ze złości.

– Jeszcze jeden!

– Ale mam dla ciebie inną propozycję – dokończyłem.

– Daj spokój – odparła. – Czemu nie wrócisz do zwałania ich z nóg w Peorii, Poughkeepsie, czy innej dziurze, gdzie i nędzarzom trafia się...

– Gdzie słyszałaś o tych miejscach? – przerwałem jej.

– A jak ci się zdaje? – rzuciła, zrywając welon z twarzy.

– Niech ja skonam, jesteś białą kobietą! – wykrzyknąłem. – Co u licha robisz w zaułkach Kairu?

– Jestem artystką.

– To widać – przyznałem z podziwem.

– Pracuję w nocnym klubie.  
– No to dlaczego..? – zacząłem.  
– W mieście są tylko dwa nocne kluby – wyjaśniła. – Występuję w każdym przez tydzień i w ten sposób zarobiłam do tej pory jedną dziesiątą sumy, której potrzebuję na powrót do domu. A teraz...  
– dodała, zasłaniając ponownie twarz welonem – jeśli wybaczysz, muszę wracać do pracy.  
– Na pewno nie chcesz, żebym uwolnił cię od tego wszystkiego?  
– spytałem.  
– To znaczy?  
– Już ci mówiłem: mam dla ciebie propozycję.  
– Posłuchaj, mój panie – odpowiedziała z rękami na biodrach. – Może i nie jestem luksusową dziwką, ale przecież sam przyznałeś, że nie masz centa przy duszy. Jak zamierzasz mi zapłacić?  
– Jedną trzecią – uśmiechnąłem się.  
– Jedną trzecią czego?  
– Jedną trzecią udziałów, rzecz jasna.  
– O jakich udziałach mówisz?  
– O udziałach w naszej małej spółce – odparłem. – Zastanów się nad tym. To miła, bezpieczna praca pod dachem i można zarobić na życie.  
– Szykujesz jakąś aferę? – rzuciła nagle z oznaką profesjonalnej ciekawości.  
– Nie znam takiego słowa – odparłem. – Czuję jednak, że jeśli dobrze zrozumiałem, będę żałował otwarcia mojego serca przed tobą. Panno... ach, nie dosłyszałem nazwiska?  
– Rosepetal. Rosepetal Schultz. Tylko bez kpin.  
– Nawet nie przyszło mi to na myśl – odparłem. – Ja jestem przewielebny doktor Lucyfer Jones, pastor z bazyliki Świętego Łukasza.  
– Naprawdę? – spytała z powątpiewaniem.  
– Oczywiście – zapewniłem.  
– Nie jesteś aby jakimś religijnym świrem, który przebierze... mnie za mniszkę, a potem zacnie składać lubieżne propozycje? – spytała przezornie.  
– Skądże znowu! – odpowiedziałem stanowczo. – Traktuję to wyłącznie jako rzemiosło. Chodźmy do siedziby naszej korporacji w Alei Faraonów, gdzie przedstawię cię naszemu cichemu wspólnikowi.  
– Mamy cichego wspólnika? – spytała Rosepetal.  
– W tej chwili jeszcze nie – przyznałem. – Ale do wieczora już nim będzie.  
Poszliśmy przed siebie, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Gdy niebawem znaleźliśmy się w sklepie, Piętaszek akurat wrócił z zakupów.  
– O, cześć! – powiedział i twarz mu się rozjaśniła.  
– Piętaszku, poznaj Rosepetal, naszą nową współpracowniczkę – powiedziałem do niego.  
– Nie wiem, jaką propozycję ma dla ciebie Lucyfer, ale gorąco ją popieram! – krzyknął z zachwytem i odwrócił się do mnie. – Co mam zrobić z tymi wszystkimi zakupami?  
– Zaczynaj malować szyldy – odparłem.  
– Jakie szyldy?  
– No, które dadzą znać wszystkim bez wyjątku, że mumia... Rosepetal, podpowiedz mi imię jakiegoś faraona.  
– Może Tutenchamon? – zaproponowała.  
– Nie. To już wykorzystano. Znajdź inne.  
– Znam jeszcze tylko Amenofisa III – stwierdziła. – Choć musieli być też Amenofis I i Amenofis

II.

Odwrociłem się do Piętaszka.

– Namaluj szyldy, że mumia Amenofisa III będzie wystawiona dziś wieczorem od szóstej do północy po... Mhm, po trzy szylingi od osoby.

– Będę musiał kupić pędzel – powiedział Piętaszek.

– No to leć. I postaw sobie duży obiad. Zapisz go na rachunek firmy. Aha, Piętaszku...

Zatrzymał się w drzwiach.

– Tak?

– Nie piłbym za dużo kawy na twoim miejscu – oznajmiłem.

– Lucyferze, nie liczysz chyba na to, że pozwolę ci się zawinać w bandaż niczym mumia?

– Odegnaj tę myśl – odparłem dla uspokojenia.

Obrzucił mnie przeciągłym i uważnym spojrzeniem, następnie wyszedł.

– Skoro nie on ma zostać mumią, to kto? – spytała panna Schultz.

– Kto twierdzi, że nie on?

– Przecież sam pan powiedział... – zaczęła.

– Kazałem mu o tym nie myśleć – odparłem. – A przy okazji udzieliłem dobrej rady: to by go tylko zmartwiło. Teraz przepraszam na godzinkę. Muszę zrobić małe zakupy. Czemu się tutaj nie rozgościsz i nie posprzątasz trochę?

W ciągu następnej godziny kupiłem odrapaną, drewnianą trumnę oraz rolkę złotej folii papierowej i kazałem to odesłać do naszej siedziby. Wziąłem jeszcze kilka drobiazgów dla Rosepetal, po czym wróciłem do magazynu. Piętaszek skończył już malować napisy i zabierał się do powlekania sarkofagu złotą folią. Kazałem Rosepetal pomóc mi rozwiesić szyldy, po czym rozsiedliśmy się wygodnie w oczekiwaniu na wieczór. Nie mając nic lepszego do roboty, wydałem ostatniego funta na trzy butelki niedrogiej, choć uderzeniowej wódki i dopilnowałem, aby większość trafiła do obszernego i spragnionego przełyku Piętaszka.

Kiedy jego sposób bycia stał się wystarczająco mumiowaty, co było określeniem nader łagodnym, zważywszy, że był sztywny jak bela, przeniósłem go do drugiego pokoju i owinąłem bandażami. Ręce i nogi potraktowałem oddzielnie, aby miał wygodniej, i zostawiłem jedynie trio małych otworków na dziurki w nosie i oczy. Nie dostrzegając dłuższy czas zmian w stanie Piętaszka, zagoniłem Rosepetal do roboty i umieściliśmy go we dwoje w trumnie, czekającej pionowo pod ścianą. Jakoś zdołaliśmy go tam upchnąć, po czym odsunęliśmy sarkofag od frontowego okna, aby przechodnie nie mogli rzucać darmowych spojrzeń.

– Dziękuję! – wysapałem. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

– To wszystko? – spytała podejrzliwie. – Tylko tyle miałam do zrobienia za jedną trzecią zysku?

– Prawie wszystko – odparłem. – Reszta to pestka.

– Reszta? – rzuciła natychmiast. – Jaka reszta?

– Proszę – oznajmiłem, wyciągając małe zawiniątko, które trzymałem w kieszeni od powrotu z miasta. – Możesz wyjść na zaplecze i przebrać się?

– Co to jest?

– Twój kostium.

– Co za kostium?

– Posłuchaj – powiedziałem spokojnie. – Piętaszek przyciągnie do miasta wszystkich amatorów mumii, ale bądźmy szczerzy – jak wielu może ich być? Twoim zadaniem jest zachęcić tych, dla których oglądanie mumii nie jest pociągające.

Zerknęła w głąb torby.

– Przecież tu nic nie ma! – wykrzyknęła. – Jakiś naszyjnik i mikroskopijna koronka!

– Jak to, nic? – rzuciłem ostro. – Musisz wiedzieć, że sam naszyjnik kosztował mnie cztery szylingi.

– Ależ Lucyferze, ja nie mogę w tym chodzić! To nieprzyzwoite!

– Jedna trzecia.

– Nigdy! Nie mogłabym...

– Co wieczór przeciągnie tędy jakieś siedem, osiem tysięcy ludzi. Po trzy szylingi od łebka.

– Daj pan spokój!

– Zarobimy po szylingu od każdego mężczyzny, kobiety i dziecka, jacy przekroczą próg tego lokalu.

Złapała torbę i podreptała na zaplecze.

– Mimo wszystko uważam, że jesteś pan nędznym, pospolitym kanciarzem! – zawołała przez ramię.

Wyjrzałem za okno, sprawdziłem słońce i obliczyłem, że była za kwadrans szósta, toteż ustawiłem przy wejściu blat z tekturową kasą, przysunąłem krzesło i sposobielem się do otwarcia zatrasku przy drzwiach.

– Czy jest tam ktoś z panem? – zawołała Rosepetal.

– Jestem zupełnie sam.

– Na pewno?

– Ponad wszelką wątpliwość.

Weszła bojaźliwie; cudowne wcielenie egipskiej księżniczki o wydatnym biuście, wąskiej talii i gorącej krwi. Z rękami skromnie skrzyżowanymi na piersiach obrzucała wzrokiem pokój, upewniając się, że jej nie okłamałem i faktycznie jestem sam.

– Czuję się w tym jak idiotka – stwierdziła.

– Bzdury! – odparłem z przejęciem. – Pokonasz Piętaszka pięćdziesiąt do jednego.

– Kupował pan tę koronkę w pośpiechu, prawda?

– Nie męczyłem się godzinami nad tym, którą wybrać, jeśli o to ci chodzi – odparłem, wytrzeszczając oczy z zachwyty nad sposobem, w jaki wdychała powietrze, a jednocześnie trochę nerwowo się kręciła.

– Właśnie o to. Wie pan Lucyferze, jeśli nawet królowe i księżniczki starożytnego Egiptu chodziły w koronce, w co osobiście wątpię, to nie sądzę, aby na ich metkach było logo Bustera Browna i jego psa Tyge!

Rozłożyła szeroko ręce, ujawniając cały problem.

– No więc powiemy, że to młody król Tut i jego ulubiony pies

– rzuciłem błyskawicznie. – Kto się pozna?

– Wystarczy, że paraduję dla pana z gołymi piersiami, gołą pupą i jeszcze jedną gołą częścią ciała na wabia! – syknęła. – Nie zamierzam być na dodatek obiektem drwin!

– Dalej tak oddychaj i napinaj mięśnie, a daję głowę, że nikt nie będzie z ciebie drwił – odparłem z przejęciem. – A teraz stań w oknie i zacznij przyciągać uwagę. Czas na inaugurację.

– Nie mógł pan kupić koronki bodaj z Teddy Rooseveltem?

– spytała, zajmując swoje miejsce, i zaczęła płasać dla przechodniów.

– A gdzie peruka? Egipskie królowe nosiły peruki.

– Nie żuły również gumy – zauważyłem, gestem ręki każąc jej opróżnić usta. – Teraz skoncentrujmy się na interesach.

Tak też uczyniliśmy i natychmiast interesy skoncentrowały się na Rosepetal i Piętaszku – głównie na Rosepetal. Przed siódmą zebraliśmy bez mała pięćset szylingów, a Rosepetal była tak zmęczona od tańca brzucha, że całkiem zapomniała o wstydzie. Jej ciało połyskiwało od potu, ale postanowiłem nie dawać dziewczynie ręcznika, bo wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że namaściła się rozmaitymi staroegipskimi olejkami, napojami miłosnymi i podobnym chłamem. Wspominałem nawet o tym w mojej przemowie.

Kontynuowaliśmy nasze małe przedstawienie kilka godzin. Rose – | petal wiła się i kręciła, ja wmawiałem klientom, jakie to zdumiewające zjawiska oglądają, Piętaszek zaś udawał mumię, jakby robił to od urodzenia. W istocie, zastanawiałem się poważnie nad sprzedaż – j niem licencji, kiedy podszedł do mnie mały, wychudły Anglik z wykwintnie przystrzyżonym wąsikiem. Zdjął kapelusz i odchrząknął znacząco.

Przerwałem skomplikowane wyjaśnienia Tańca Majestatycznej Kapitulacji w połowie występu naszej gwiazdy i odwróciłem się do nieznanego.

– Tak, bracie? – powiedziałem, rozpluwając się w najszerszym z moich uśmiechów. – Czym mogę służyć?

– Nie chciałbym przerywać waszego programu – odezwał się przepaszającym tonem – ani tykać nosa w cudze sprawy, ale...

– Trzaskaj dziobem, bracie – wtrąciłem. – Możesz przerwać królowej Kleopatrze, zdąży nadać swoim płasom harmonijny układ, zanim znowu skierujemy na nią nasze oczy.

– Otóż, przyglądałem się mumii Amenofisa III – oznajmił Anglik. – I stało się coś bardzo dziwnego.

– Tak? Co, mianowicie?

– Puściła do mnie oko.

Wśród publiczności krzyknęła jakaś kobieta.

– Mnie też to wydawało się dziwne – przyznał Anglik, odwracając do niej głowę.

– Musiało się wam przywidzieć – odparłem spokojnie. – Mumie nie mrugają. A gdyby nawet, to taka dziarska męska mumia dużo prędzej puściłaby oko do niej. – Wskazałem kciukiem na Rosepetal.

Nagle Piętaszek zakaszłał i trzy kobiety osunęły się na podłogę.

– Mój Boże! On się budzi do życia! – krzyknął jakiś Egipcjanin.

Piętaszek potrząsnął głową, usiłując zerwać taśmę z ust, i spojrzał na mnie mętym wzrokiem.

– Frmmks, fblimm! – wycedził przez bandaż.

– Przemawia starożytnym językiem! – zawołała kobieta.

Na wszelki wypadek Egipcjanie w tłumie zaczęli mamrotać szybkie modlitwy do Amona-Re. Następnie Piętaszek delikatnym ruchem przyłożył rękę do twarzy i w tym momencie wyciągnięto dwa pistolety.

– Ludzie, po co marnować kule! – krzyknąłem natychmiast. – On j u ż jest martwy!

Na te słowa dwie trzecie naszych klientów rzuciło się do wyjścia. Reszta leżała cicho i spokojnie na podłodze, tam gdzie zemdląca.

Piętaszek musiał wylizywać się z wielkiego kaca, bo wstawał po prostu w swoim sarkofagu, jęcząc i delikatnie rozcierając sobie oczy. W końcu zobaczył mnie, zrobił krok do przodu z drewnianej skrzyni i potknął się o kilka ciał, upadając jak długi na głowę z tak głośnym hukiem, że przypominało to wystrzał z karabinu. Rosepetal podbiegła do niego, uklękła na podłodze i położyła sobie jego głowę na kolanach, gładząc ją delikatnie. Chwyciłem nóż i przeciąłem mu taśmę na ustach, aby ułatwić oddychanie. Resztę przylepca zostawiłem bez zmian, aby mógł wrócić do swoich zajęć, kiedy wepchniemy go z powrotem do skrzyni.

Otwarcie oczu zajęło Piętaszkowi mniej więcej dziesięć minut. Przez kolejne pięć nie mógł oderwać wzroku od piersi Rosepetal, po czym odwrócił głowę do mnie, zamrugał kilka razy i z ogromnym wysiłkiem dźwignął się na nogi.

– Jak się czujesz? – zapytałem, podawszy mu kubek wódki.

– Gotowy na powrót do grobu?

Wyrwał mi kubek i przebił mnie wzrokiem – w każdym razie tak jak potrafi przebijać mumia.

– Kim jesteś, że masz śmiałość odzywać się do Amenofisa?

– burknął. – Leżałem w mojej krypcie przez tysiące lat. Nie powrócę do niej!

– Jeśli sądzisz, że takie zachowanie uratuje cię od grania roli mumii, Piętaszku, to grubo się mylisz! – warknąłem. – A teraz włącz do trumny, nim któryś z zaśmiecających podłogę ludzi wróci do przytomności.

Chwyciłem rękę Piętaszka, aby go odprowadzić, lecz bez większego wysiłku rzucił mną o ścianę.

– Zuchwały śmiertelniku! – ryknął. – Osobę Amenofisa otacza najwyższa cześć! – Wyciągnął obandażowaną rękę do Rosepetal.

– Zbliź się, moja księżniczko.

– Lucyferze, zrób coś! – wyszeptała, kiedy podszedł do niej.

– Zrobię, a jakże! – wychrypiałem, następnie wstałem i otrzepałem się z kurzu. – Wyleję z pracy sukinsyna!

– Spójrz na jego głowę! – oznajmiła, cofając się przed nim.

– Jest cała we krwi. Może faktycznie uważa się za Amenofisa!

Piętaszek pochwycił Rosepetal i przerzucił ją sobie przez ramię.

– Lucyferze! – zapiszczała.

Zwróciłem uwagę, że paniczny lęk nie przeszkodził dziewczynie zgarnąć pieniędzy i schować ich za koronki, kiedy wiła się na plecach Piętaszka. Drań wyniósł ją za próg w mrok ulicy, nie pozostawiało mi więc nic innego, jak iść za nimi, utrzymując jednak odpowiednią odległość. Stanowiliśmy interesujący widok: szwendający się Piętaszek z półnągą księżniczką na ramieniu, odstraszać wszystkich swoim wrzaskiem i ja – idący jak cień ich śladem i starający się znaleźć sposób na zatrzymanie ich, jeśli nie na stałe, to chociaż na tyle, aby odzyskać forszę.

Piętaszek pokonał dwa szybkie zakręty i na chwilę straciłem ich z oczu, przyspieszyłem więc kroku. Za drugim rogiem wpadłem na policjanta.

– O, przepraszam, panie władzo – powiedziałem.

– Nic nie szkodzi – odparł.

– Piękna noc, nieprawdaż?

– Mogłoby być nieco chłodniej – zauważył w zadumie.

– A propos, wiem, że to może zabrzmieć trochę dziwnie, ale czy nie przechodziła tędy na wpół zwariowana mumia z nagą dziewczyną na ramieniu?

– W samej rzeczy, przechodziła – odpowiedział. – To było nadzwyczaj śmieszne.

– Mhm, mógłbym wiele o nich powiedzieć, lecz na pewno nie to, że są śmieszni. Czy dziewczyna wzywała pomocy?

– Istotnie – odparł ze śmiechem. – I to bardzo przekonująco.

– To czemu pan jej nie udzielił?

– Sądziłem, że reklamują jakąś nową restaurację, nocny klub albo coś w tym rodzaju.

– Niestety.

– Może nowe kino?



- Nie.
- Powiedz mi wreszcie, człowieku, bo płonę z ciekawości.
- Wiem, że to zabrzmie trochę dziwnie, ale byli dokładnie tym, na kogo wyglądali.
- Wy, chrześcijańscy duchowni, macie cudowne poczucie humoru! – parsknął rubasznie. – A teraz gadaj pan prawdę: to była nowa turecka łaźnia?

Przyznałem mu rację, życzyłem dobrej nocy i udałem się na poszukiwania w pojedynkę. Musiałem przejść jakieś osiem kilometrów ulicami i ciemnymi zaułkami Kairu, nim zobaczyłem w końcu tę zabandażowaną postać. Siedział zrozpaczony na chodniku, trzymając głowę w dłoniach. Podszedłem ostrożnie, jako że nie był dla mnie zbyt życzliwy od czasu uderzenia się w czoło. Kiedy byłem kilka kroków od niego, podniósł wzrok, ale nie próbował wstać.

- No i co? – spytałem.
- Czego chcesz, śmiertelniku? – mruknął posepnie.
- Gdzie dziewczyna?
- Zniknęła.
- Co to znaczy, zniknęła, do ciężkiej cholery? – wybuchłem.
- Zabrała wszystkie nasze pieniądze!
- Pieniądze? – powtórzył z nieprzytomną miną. – Co to są pieniądze?
- Pieniądze to nasza własność, którą gwizdnęła! – zawyłem.
- No, gdzie jest Rosepetal, do diabła?
- Jest całkiem sama... gibkie, młode ciało wydane na pastwę żywiołów.
- Gibkie, młode ciało doskonale sobie poradzi! – warknąłem.
- W którą stronę uciekła?

Czknął.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie mogę znaleźć utuczonego cielaka albo coś w tym rodzaju, co? – spytał błagalnie. – Normalnie nie prosiłbym zwykłego śmiertelnika o przysługę, ale od trzech tysięcy lat nie miałem nic w ustach i czuję...

– Najpierw dziewczyna, potem jedzenie...

– Zaczęła mnie okładać po głowie, a gdy postawiłem ją na chwilę, uciekła tamtą uliczką.

– Wskazał wąski zaułek między budynkami.

– No to lecę za nią – odparłem, ruszając z miejsca.

– Zaczekaj! – krzyknął. – Nie zostawisz mnie tutaj, co? Tyle . rzeczy się zmieniło przez trzy tysiące lat. Pamiętam jak przez mgłę, że siedziałem przy ognisku, jadłem mięso antylopy i uganiałem się za nubijskimi ślicznotkami. Bardzo trudno mi się przystosować do współczesnego Egiptu.

Zrobił tak nieszczęśliwą minę, że w końcu zgodziłem się go zabrać. Udaliśmy się w pogoń za utraconą miłością Piętaszka i za moimi pieniędzmi. Stopniowo zaułek przeszedł w boczną uliczkę, następnie w główną arterię, ale pozostawała ona równie pusta, gdyż zapewne na widok Piętaszka ludzie przypominali sobie raptem, że ważne sprawy wzywają ich gdzie indziej.

Wreszcie stanęliśmy przed jakimś domem rozjarzonym niczym choinka na Boże Narodzenie. Zapukaliśmy do drzwi, z braku reakcji poszliśmy dookoła i trafiliśmy w sam środek zabawy ogrodowej. Spostrzegłem, że Piętaszek może się okazać wrogiem publicznym numer jeden, bo ledwie wyszedł zza węgła, ludzie rzucili się do ucieczki. Zostali jedynie dwaj brodacze dzentelmeni, którzy z miejsca zaczęli się spierać, czy niespodziewany gość pochodzi z Dziewiątej, czy też Jedenastej Dynastii. Kiedy Piętaszek przedstawił się uprzejmie jako Amenofis III, zrugali go i kazali mu nie wtykać nosa w sprawy, na których się nie zna.

~7\J- VIIJ\.\s IWUliiviv

– Ależ ja nazywam się Amenofis! – zaprotestował.

– Nie pleć głupstw – roześmiał się mniejszy. – To by cię datowało w zbyt głębokiej przeszłości. Bandaże na twoich nogach świadczą, że nazywałeś się prędzej Userkaf albo Sahura.

– Nie – upierał się Piętaszek. – Tyle spraw mi się miesza, ale za jedno mogę dać głowę

– nazywam się Amenofis III.

– Amenofis III? A jakże! – zadrwił większy. – I nie wiesz, że Amenofis to jedynie angielska forma imienia Amenhotep?

– Przecież mówię – wtrącił natychmiast Piętaszek. – Jestem Amenhotep III. Za Amenofisa podałem się wyłącznie dlatego, aby wam ułatwić.

– Twierdzisz więc, że Kolosy zbudowano na twoją cześć?

– burknął mniejszy. – Twierdzisz, że tobie przypisuje się wzniesie nie świątyni Amona-Re w Karnaku?

– Skąd mogę wiedzieć, co mi się przypisuje? – spytał Piętaszek.

– Byłem wtedy gdzie indziej.

– Brednie! – parsknął większy. – Słyszysz? Brednie! Jesteś z Dziewiątej Dynastii, i koniec!

– Z Jedenastej! – sprzeciwił się mniejszy. – Spójrz na te oczodoły!

– To na pewno skutek upływu czasu – odparł jego kompan.

– Ostatecznie liczy sobie co najmniej cztery tysiące lat.

– Trzy – oświadczył rozdrażniony Piętaszek.

– Nie wtrącaj się! – zgrzytnęli jednocześnie.

– Wybaczcie, panowie – odezwałem się, wychodząc naprzód.

– Zechcecie przerwać na chwilę?

– Pan jest razem z tą mumią? – zapytał podejrzliwie mniejszy.

– Poniekąd.

– Należy do Dziewiątej, czy do Jedenastej Dynastii?

– Bracie, ja nigdy nie dyskutuję o polityce, religii i o egipskich dynastiach – odparłem stanowczo.

– Mój Boże! – zdziwił się większy. – O czym można jeszcze dyskutować?

– No, przede wszystkim o białych, gołych kobietach.

– Facet ma rację – skinął głową mniejszy. – O tym faktycznie można dyskutować.

– Nie widzieliście przypadkiem jakiejś dzisiejszej nocy? – dopytywałem się.

– Czego?

– Białej, gołej kobiety.

– Niestety – odparł wyższy.

– O, cholera! – mruknął Piętaszek.

– Strasznie mi przykro – ciągnął wyższy – ale tego rodzaju istot nie spotyka się na koktajlach u egiptologów.

– Tym gorzej – westchnął mniejszy. – Ale czemu pan pyta?

– Chyba zapodziała nam się jedna – odparłem.

– Nie wiedziałem, że mogą się one gdzieś zapodziać – zauważył czujnie wyższy.

– Była moją ukochaną – wyjęczał Piętaszek.

– Aha! – bąknął mniejszy. – To zapewne Thi, córka Kallimma-Sina.

– Pod warunkiem, że zaakceptujesz jego głodne kawałki, że jest Amenhotepem – orzekł wyższy.

– W przeciwnym razie nazywała się Nitaqert.

– Nitaqert! – wrzasnął drugi egiptolog. – Wykluczone! Nie ta dynastia, nie ta żona i nie ten kolor

skóry!

No cóż, temperament rozmówców ujawnił się w całej pełni, toteż wycofaliśmy się z Piętaszkiem na ulicę i kontynuowaliśmy nasze poszukiwania. Piętaszek był prawie tak samo szczęśliwy, jak usychające z miłości mumie, gdyż poznał wreszcie imię swojej zaginionej miłości. Ja zaś z każdą chwilą wpadałem w coraz większą rozpacz, bo im dłużej trwały poszukiwania Rosepetal, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo, że znalazła jakiś przydzwiek

– a skoro nie mogliśmy odnaleźć na ulicach Kairu gołej kobiety, szanse odnalezienia ubranej w jakiś strój nie wydawały się zbyt wielkie.

– Myśl, Piętaszku! – przemówiłem za trzecim nawrotem głównymi alejami miasta. – Dokąd mogła się udać?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Spróbuj jeszcze raz nazwać mnie Amenhotepem, a ściągniesz na siebie całą moc mego boskiego gniewu.

W tym momencie doznałem olśnienia: będąc w skórze Rosepetal

– w przenośni, rozumiecie chyba – i mając tyle nieuczciwie zdobytej forsy, chciałbym przede wszystkim opuścić kraj. Należało sądzić, że biała kobieta oczekuje najbliższego statku w miejscu, gdzie robią to wszyscy biali, to znaczy w hotelu Shepharda.

Podzieliłem się tą głęboką myślą z Piętaszkiem. Nie miał nic lepszego do zaproponowania, toteż postanowił mi towarzyszyć. Kiedy słońce powoli zaczęło wschodzić, przybyliśmy do hotelu Shepharda, głównej bazy wypadowej niezliczonych rzesz bogatych turystów. Podeszliśmy do recepcji.

– Nie chcę pana niepotrzebnie straszyć – oznajmił hotelowy – ale czy jest pan świadom faktu, że chodzi za nim sporych rozmiarów mumia?

– Owszem – odparłem. – Chciałbym zerknąć na listę gości.

– Nie przeszkadza to panu?

– Co?

– Mumia.

– Ani trochę. Jeśli zacznie mi przeszkadzać, każę jej czekać na ulicy.

– To nie będzie konieczne – powiedział ustępliwie. – Po tylu latach stania za kontuarem mumia jest dla człowieka rzeczą dość banalną, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Zapewniłem go, że doskonale wiem, i przystąpiłem do lektury.

– Nie mogę znaleźć nazwiska, którego szukam – powiedziałem na koniec. – Choć lalunia, o której mowa, może również podróżować incognito. Czy ktoś się zameldował przez ostatnie dwie albo trzy godziny?

– Ma pan na myśli tę młodą damę, która sprawiała wrażenie, że ubierała się w szalonym pośpiechu?

– Tak, właśnie ją! – zawołałem.

– Muszę przyznać, że damulka ma osobliwie wyobrażenie o zachowywaniu incognito – zauważył.

– Chciałbym jej sprawić niespodziankę – powiedziałem z uśmiechem bystrego faceta. – W którym pokoju zamieszkała?

– Niestety, ujawnianie numerów pokoi gości jest sprzeczne z zasadami prowadzenia hotelu – odparł sztywno.

– Szkoda – westchnąłem i odsunawszy się na bok, zrobiłem miejsce dla Piętaszka, który chwycił recepcjonistę za szyję. – Zdaje się, że duszenie hotelowych nie łamie żadnych konkretnych reguł zachowania mumii.

– Dwieście siedem! – wykrztusił.

Piętaszek zwolnił uchwyt, facet osunął się na podłogę za kontuarem, my zaś rzuciliśmy się na schody. Chwilę później staliśmy przed drzwiami do pokoju dwieście siedem. Zapukałem dwa razy i usłyszałem znajomy głos, pytający kto tam.

– Hydraulik – odparłem.

Rosepetal otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka.

– Kogo ja widzę, Lucyfer! – wykrzyknęła zaskoczona. – Co za miła niespodzianka!

Miała na sobie elegancki brązowy żakiet i dobrane kolorystycznie pantofle; jedno i drugie wyglądało dość kosztownie. Na ich widok przejechałem się po jej rodzinie.

– Ile dałaś za te łachy, do ciężkiej cholery? – zapytałem.

– Nie tak dużo – odparła, cofając się i wsuwając pomiędzy nas mały stolik. – Zostało mi jeszcze na walizkę i bilet na wyjazd z tego głupiego kraju.

– Wydałaś wszystko? – zawyłem. – Wszystkie pieniądze?

– No, wiesz przecież, uciekam dla ratowania życia. Nie mam zamiaru tkwić tutaj, kiedy...

– Urwała z wrzaskiem, ponieważ do pokoju wkroczył Piętaszek. – O, mój Boże! – pisnęła. – On wrócił!

– Moja ukochana Thu! – zaintonował, wyciągając ramiona i zbliżając się do niej powoli.

– Wezmę cię za żonę i będziemy razem władać moim królestwem, przemieniać chaos w ład i porządek i płodzić liczne grono następców tronu.

– On się wciąż uważa za Amenofisa! – jęknęła.

– O nie, moja miłości – odparł. – Teraz wiem, że jestem Amenhotepem.

– Nazywasz się Piętaszek! – rozplakała się. – Zostaw mnie w spokoju, bo spóźnię się na statek!

– Ależ moja ukochana Thi! – krzyknął zmieszany. – Czy to możliwe, że upływ stuleci zaćmił twoją pamięć? Jestem faraonem całego Egiptu!

– Nie jesteś nawet Egipcjaninem! – pisnęła rozpaczliwie. – Jesteś... jesteś Nubijczykiem!

– To niemożliwe! – zaśmiał się.

– Tak uważasz? – spytała i podeszła do niego, uchylając głowę przed jego ręką. – Zaraz opamiętasz się raz na zawsze!

Ukryłem się za plecami Piętaszka, gotów do ucieczki za drzwi, w razie gdyby dostał szau. Rosepetal złapała za koniec bandażu, które zwisały luźno w jego talii i zaczęła je rozwiązywać. Bardzo prędko twarz dziewczyny nabrała dziwnego wyrazu i nim usunęła bandaż między głową a biodrami Piętaszka, zamilkła całkowicie. Zastygła, wytrzeszczając oczy na to, co zdążyła odsłonić.

– Amenhotep, kochanie – zaszlochała śpiewnie. – Czy kiedykolwiek mi wybaczysz, że zwątpiłam w ciebie?

– Już ci wybaczyłem – oznajmił łaskawie. – A czy nadal jesteś moją ukochaną Thi?

Zmierzyła go wzrokiem po raz ostatni i gwałtownie pokiwała głową.

Sięgnął i otoczył ją ramieniem.

– Lucyferze – powiedziała. – Na toaletce znajdziesz mój bilet. Możesz go wziąć i wyjechać.

– Ani myślę! – odparłem.

– Lucyferze – ciągnęła słodkim, choć stanowczym głosem – jeśli za dziesięć sekund będziesz jeszcze przebywał w tym pokoju, poproszę Amenhotepa, faraona całego Egiptu, aby zadał ci śmierć, tak powolną i bolesną, jak to tylko możliwe.

Niecałe osiem sekund później byłem za progiem, a kiedy dotarłem do schodów, usłyszałem, jak od pokoju dwieście siedem zatrzaśnięto z hukiem drzwi.

Nigdy więcej nie spotkałem panny Schultz ani Piętaszka, jakkolwiek skreśliła do mnie parę

słów, gdy założyłem wreszcie moją bazylikę. Spieszyła mnie zapewnić, że urazy minęły i Amenhotep ma szereg zalet, na które opłacało się czekać marne trzy tysiące lat.

Ja zaś wylądowałem w Maroku, gdyż na bilet dalej biedna Rosepetal nie mogła sobie pozwolić, i po najzwyczajszych dwóch tygodniach trzymałem w ręce najrzadszy i najcenniejszy skarb na świecie.

Niedługo przekonacie się jednak, że nie było to takie łatwe ani przyjemne, jak mogłoby się wydawać.

# Rozdział 6

## EDYCJA POMNIKOWA

W dawnych czasach Casablanka nie cieszyła się zbytnią popularnością wśród turystów i urlopowiczów. Kiedy rzuciliśmy cumy, byłem jedynym pasażerem, który zszedł po trapie na molo. Było tak gorąco, brudno i parszywie, że w jednej chwili zdołałem odgadnąć, dlaczego Casablanka nie umywa się do Rivieri, Pikes Peak i innych kurortów o światowej sławie.

Na przystani czekał jakiś zdenerwowany człowieczek. Krążył tam i z powrotem wzdłuż nabrzeża, doprowadzając się stopniowo do wściekłości. Posłałem mu życzliwy uśmiech i przyspieszyłem kroku, po chwili jednak nieznajomy dogonił mnie i chwycił moją rękę.

– Przepraszam, monsieur – wyszeptał pokornie – Czy płynęła może statkiem piękna, młoda dama, która również chciała zejść na ląd w Casablance?

– Żadna, o której bym wiedział – odparłem.

– To straszne! – wykrzyknął.

Podzielałem jego uczucia, tym bardziej że przydałoby mi się trochę towarzystwa w czasie rejsu, lecz uśmiechnąłem się tylko i ruszyłem dalej.

Nie zrobiłem nawet pół kroku, kiedy facet pojawił się znowu obok mnie.

– Nazywała się mademoiselle Rosepetal Schultz. Na pewno nie widział pan jej na pokładzie?

– Rosepetal? – spytałem. – Dlaczego od razu nie wymieniłeś jej imienia, bracie?

– A więc widział ją pan na statku mimo wszystko? – spytał z wyraźną ulgą.

– Nie. Tak naprawdę to wykorzystałem jej bilet, aby się tu dostać.

– To okropne! – wyjęczał. – Wczoraj wieczorem dostałem od niej depezę, że przyplywa dziś po południu.

– Wynikła nagła sprawa – oznajmiłem zgodnie z prawdą.

– Takie rzeczy się zdarzają.

– Ale dlaczego muszą się zdarzać właśnie mnie?

– Spróbuj przekartkować parę rozdziałów z Księgi Dawida

– powiedziałem dla uspokojenia. – Zazwyczaj koją moje nerwy, gdy dostanę jakąś złą wiadomość.

Uniósł pytająco brwi.

– Dobrze zna się pan na Biblii? – zapytał.

– Wielce czcigodny, wielebny doktor Lucyfer Jones, do usług

– przedstawiłem się, podając mu rękę.

– Czy słusznie przypuszczam, że nie ma się pan gdzie zatrzymać? – spytał.

– Przeżywam trudne chwile, bracie – potwierdziłem. – Ale nigdy nie tracę wiary w Miłosiernego Pana, który nie pozwoli mi zginąć. Co masz na myśli?

– Pokój z wyżywieniem i pięćdziesiąt franków tygodniowo

– oświadczył.

– Załatwione, bracie! – wykrzyknąłem. – A propos, ile to będzie w normalnej walucie?

No cóż, wyszło jakieś dziesięć dolarów, co majątkiem nie było, chyba że gospodarka sięgnęła dna, a skoro moja osobista gospodarka właśnie tam się znajdowała, postanowiłem przyjąć propozycję, do czasu, nie trafi mi się coś lepszego.

Mój chlebodawca nazywał się Andre Peugeot. Jak żyję, nie widziałem człowieka, który by tak

gestykulował i miał tyle nerwowych tików. Zdradził mi tylko tyle, że prowadzi interesy w lokalu o nazwie Bousbir i kompletnie osłupiał na wieść, że nigdy o nim nie słyszałem.

– Przybywszy na miejsce osłupiałem, że coś takiego jak Bousbir umknęło mej uwadze, ponieważ był to największy burdel na całym szerokim świecie, tak przynajmniej twierdził Andre. Ja w każdym razie nie widziałem większego, a zajmował mniej więcej dwa razy tyle przestrzeni co Banque de Casablanka, który wznosił się po drugiej stronie ulicy.

Weszliśmy w labirynt przedsionków i korytarzy pokrytych pluszowymi dywanami i aksamitną tapetą. Nigdy w życiu nie widziałem również tylu pięknych, nagich kobiet naraz. Wreszcie dotarliśmy do małej izby z jednym łóżkiem oraz zlewem i ustępem w rogu.

– Pański pokój – oznajmił Andre.

– Bracie Andre – podjąłem – na początek ustalmy kilka spraw. Jestem człowiekiem dość tolerancyjnym jako duchowny...

– Zdążyłem zauważyć – przerwał mi oschle.

– Niemniej, do cholery – podjąłem – Pismo Święte, kodeks karny i niektóre oficjalne ciała rządowe szczególnie krzywym okiem patrzą na pewne rzeczy, odnoszące się raczej do twojej męskiej klienteli, których nie mógłbym czynić nawet za pieniądze. Zwłaszcza za parszywe pięćdziesiąt franków tygodniowo.

– Doskonale to rozumiem. Wynająłem pana dla jego wyjątkowych zalet jako sługi bożego.

– Zaiste, mógłbyś którąś tutaj wykorzystać – zauważyłem.

– Faktycznie – przyznał. – Od pewnego czasu jest to jedna z naszych najpilniejszych potrzeb.

– Cóż, bracie Andre – westchnąłem. – Chętnie będę niósł pociechę duchową twoim dziewczętom w taki sposób, by możliwie najbardziej przyczynić się do podniesienia ich poziomu.

– Doceniam pańską ofertę, ale obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał. To nie moje dziewczęta potrzebują pańskiego duchowego doświadczenia. Chodzi o moich klientów.

– O twoich klientów? – powtórzyłem. – Nie mogą po prostu chodzić do kościoła?

– Sprzedajemy tutaj wiele rzeczy, przyjacielu – odparł Andre. – Być może jednak naszym najcenniejszym towarem jest fantazja. Już pan rozumie?

– Nie bardzo.

– Część naszych skromnych igrzysk potrzebuje – jakby to powiedzieć? – doradztwa technicznego.

– Bracie Andre, zaczyna mi coś świtać – oznajmiłem, szczerząc się od ucha do ucha.

– Potrafi pan to zrobić?

– To jak łowienie ryb w beczce – zapewniłem. – Ostatecznie prosisz mnie o zespolenie moich dwóch ulubionych powołań. Zostaw wszystko mnie i Miłosiernemu Panu, a zapewniam cię, że dojdziemy do porozumienia.

Co też czyniliśmy, przynajmniej w ciągu kilku dni. Lecz tydzień później klienci, a nawet dziewczęta, zaczęły odczuwać przesyt i żądać nowego materiału. Zacząłem spędzać popołudnia na bazarach, szukając natchnienia, które nijak miało się do kardynałów i zakonnic, czarnych mszy i maniakałnych rabinów, tajemniczych chińskich świąt płodności czy innej podobnie bulwarowej twórczości, której byłem reżyserem i mistrzem.

W czasie jednej z takich wędrówek po rynku ujrzałem białego mężczyznę, który wyglądał dość znajomo. Stał tyłem do mnie w odległości dwudziestu kroków i oglądał cytrusy na straganie, nie mogłem się jednak pozbyć myśli, że skądś znam tego człowieka. Stałem tak, udając zainteresowanie wyrobami garncarskimi, dopóki nie zapłacił za daktyle, które bez przerwy chrupał, i w końcu zdołałem zobaczyć jego twarz.

Był to Erich von Horst!

Nie chciałem wywoływać burdy ulicznej, tym bardziej że nie mówiłem ani po francusku, ani po arabsku, a miałem uczucie, że nikt dookoła nie zna innego języka. Kontynuowałem oglądanie fajansów, dopóki nie opuścił bazaru. Zachowując słuszny dystans, ruszyłem jego śladem. Pół godziny później zniknął w drzwiach starego, zrujnowanego hoteliku.

Odczekałem może pięć minut i nacisnąłem klamkę. Nie było recepcjonisty na służbie, toteż sięgnąłem za ladę, wyjąłem księgę meldunkową i zacząłem ją przeglądać. Nie było nazwiska von Horsta, ani nawet kapitana Petera Ciarke'a, ale to nie miało znaczenia: jedynym mieszkańcem był niejaki pan Fritz Wallensack. Podreptałem na paluszkach do jego pokoju, pchnąłem drzwi na oścież i wkroczyłem do środka.

– Von Horst! – ryknąłem. – Jesteś mi pan dłużny dwa tysiące czterdzieści funtów szterlingów!

– Och, doktor Jones – odparł, podnosząc wzrok znad łóżka, na którym leżał z głową opartą o przegniłą ścianę. – Miło mi znowu pana widzieć. Od dawna przebywa pan w Casablance?

– Nie wciskaj mi pan kitu, von Horst! – warknąłem. – Żądam moich pieniędzy!

– Nie wątpię – zarechotał.

– No więc?

Gdybym miał pańskie pieniądze, bądź czyjekolwiek inne rzecz jasna, to czy pańskim zdaniem mieszkałbym w takim hotelu? – zapytał spokojnie. – Możesz pan spokojnie przeszukać pokój, dając głowę, że znajdziesz najwyżej brudną bieliznę i parę dziurawych skarpetek.

– A co z moją forszą?

– Roztrwoiłem – oznajmił z uśmiechem. – Na moim miejscu miałby pan przyjemność z każdego pensa.

– Nie byłem, cholera, na pańskim miejscu!

– Trudno. Obawiałem się niestety, że podejdziesz pan do tego w taki sposób – westchnął.

– Kiedy zamierzasz pan mi je zwrócić? Zdajesz pan sobie oczywiście sprawę, że będę jego nieodłącznym towarzyszem aż do chwili, gdy wybije ta szczęśliwa godzina?

– Wyjaśnię tylko kilka nieprzyjemnych kwestii i natychmiast z radością panu zapłacę, łącznie z procentami.

– Jakich kwestii?

– Drogi kolego, nie sądzisz chyba, że przebywam w Casablance dla przyjemności?

– Więc co pan robi? – zapytałem podejrzliwie.

– Kręcę się tutaj od dwóch miesięcy i pracuję nad największym interesem mojego życia – odparł ściszym głosem. – Niestety, miejscowa policja zna moją tożsamość i śledzi każdy mój ruch. Tkwię zatem tutaj i powoli schodzę na psy w tym parszywym hotelu, będąc tak blisko zdobycia majątku, który pozwoliłby mi przejść na zasłużony odpoczynek. Najgorsze, że ta przeklęta operacja ma ograniczony limit czasowy! Prędzej czy później jednak muszą osłabić czujność, a wtedy... – urwał w pół słowa.

– Ile można na tym zarobić? – spytałem z największą obojętnością, na jaką pod wpływem chwilowego impulsu mogłem się zdobyć.

– Co najmniej pięćdziesiąt tysięcy funtów – odparł bez wahania.

– Aż tyle?

Skinął głową, a potem dłuższą chwilę patrzył na mnie z dziwnym wyrazem oczu.

– Ciekawe, czy... – zaczął półszepem, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Czy co?

– Wiesz – mruknął, bardziej do siebie aniżeli do mnie – to może się udać.



– Co się może udać?

– Jones – rzucił nagle – machnij pan na to, co mu jestem winien. Nie chciałby pan zarobić prawdziwych pieniędzy?

– Sądzę, że mógłbym się do tego zmusić – przyznałem.

– Znakomicie. Ale nie wolno nam tracić czasu. Będzie pan gotów do opuszczenia kraju w przeciągu dwóch lub trzech godzin?

– Nic mnie tutaj nie zatrzymuje.

– No dobrze, Jones – bąknął poważnym tonem. – Obawiam się, że będziemy musieli sobie ufać, choć nie cierpię takich pomysłów. Nie ma jednak sposobu, aby uniknąć podzielenia się z panem szczegółami planu. Pozostaje mi tylko zapewnić pana, że tego rodzaju wiedza bez mnie nie przyniesie żadnego pożytku.

– Trzaskaj pan dziobem.

– O trzy krótkie przecznice stąd znajduje się misja chrześcijańska prowadzona przez dwie starszawe siostry z Niemiec i ich bratanka w średnim wieku. W budynku misji stoi ambona. Na półce wewnątrz ambony leży Biblia. – Urwał dla większego efektu. – Jones, ten egzemplarz to specjalna edycja pomnikowa Biblii z epoki Jakuba II!

– Co w niej takiego szczególnego?

– Wydrukowano wszystkiego sześć kopii. Siostry nie mają o tym pojęcia, więc kradzież nie będzie przedstawiać większych trudności. Tylko że na granicy zrobią mi rewizję osobistą, a skoro nie mają mnie za człowieka religijnego, prędzej czy później jakiś żandarm wyśle kilka telegramów do różnych organizacji religijnych lub antykwariatów i nic z tego nie będzie. – Wyszczерzył zęby. – Ale nikt nie będzie podejrzewał sługi Bożego, który nosi przy sobie Biblię. Może ją pan wywieźć pod nosem celnika!

– Nie mam nic przeciwko temu, bracie von Horst – stwierdziłem.

– Myśli pan na pewno, że mając już tę Biblię w swoich rękach, nic go nie powstrzyma od sprzedania i zgarnięcia całego zysku dla siebie?

– Taka myśl wcale nie strzeliła mi do głowy! – zaprotestowałem gwałtownie, jednocześnie trzymając po kryjomu oba kciuki.

– No dobrze. Na wszelki wypadek powiem panu, że za czterdzieści osiem godzin wysyłam depezę do rządu Maroka z informacją o specjalnej edycji pomnikowej Biblii jakobińskiej, mocno wyolb rzymiając jej wartość. Bez zwłoki wyznaczą za nią nagrodę kilka razy większą niż sama wartość książki i dziewięciu bukinistów na dziesięć ciu będzie wolało raczej wydać pana za nagrodą, niż kupić od niego białego kruka.

– W takim razie, gdzie ją upłynnimy?

– Dokładnie za siedem dni w Algierze zjawi się pewien amerykański kolekcjoner – odparł von Horst. – Wie, że będzie kupował kradzione rzeczy i nie zleknie się ryzyka, jeśli dzięki niemu będzie mógł wejść w posiadanie Biblii. Nie znasz pan jego nazwiska, a on nie zna pańskiego. Kupi tylko ode mnie. Umowa stoi?

Skinąłem głową i dobiliśmy targu uściskiem dłoni.

– Znakomicie – podjął. – Spotkamy się dziesięć minut po zachodzie słońca.

– Tutaj? – spytałem.

– Nie. To miejsce będzie pod obserwacją. – Spuścił głowę dla skupienia myśli i po chwili podniósł wzrok. – Wie pan, gdzie jest Bousbir?

– Na pewno znajdę – odparłem z całą powagą.

– Pierwsze foyer na prawo, dziesięć minut po zachodzie słońca.

Wróciłem do Bousbiru, udzieliłem paru dziewczętom ostatnich korepetycji i czekałem na zachód słońca. Von Horst zjawił się punktualnie. Ciężko dyszał, jakby dłuższą chwilę biegł z maksymalną prędkością i cisnął mi do rąk drogocenne Pismo Święte.

– Jest Biblia! – wysapał. – Nie chowaj jej pan za pazuchę, tylko wynieś na ulicę i zachowuj się tak, jakby to była zwykła książka. W nogi, ja się zajmę odwracaniem uwagi żandarmów.

– Świetnie – odparłem, wcisnąwszy egzemplarz pod pachę. – Gdzie i kiedy się spotkamy?

– Obok portu w Algierze jest tawerna zwana Nagrodą Rybaka. Dziś mamy dziewiątego sierpnia. Musimy się tam spotkać szesnastego punktualnie kwadrans po pierwszej w południe. Przychodząc za wcześnie, można przyciągnąć za dużo uwagi, a jeśli zjawi się pan bodaj pięć minut za późno, nasz klient może stracić cierpliwość i odejść. Ma pan dokładny zegarek?

– Już nie, od czasu małego pokerka w Johannesburgu – przyznałem.

Wyciągnął z kieszeni zdezelowaną złotą cebulę i podał mi.

– Weź pan mój – powiedział. – I postaraj się go nie przegrać.

– Coś tutaj zwisa z łańcuszka – zauważyłem.

– Królicza łapka – wyjaśnił. – Przynosi szczęście.

– Cóż, mam nadzieję, że mnie przyniesie więcej niż temu królikowi – powiedziałem. – Chyba powinienem już iść.

Wyrzwał na korytarz, skinął głową, dając mi znak, że droga wolna.

Kilka minut później szedłem główną drogą wylotową z miasta, kierując się w stronę Algierii.

Ledwie dotarłem na peryferie Casablanki, gdy usłyszałem za plecami serię strzałów, syren policyjnych i Bóg wie czego jeszcze. Nikt mi się jednak nie naprzykrzał, więc pomaszerowałem dalej. Zatrzymałem się w mieście Fez tylko na chwilę, by kupić drugą Biblię, wyglądającą identycznie jak edycja pomnikowa z epoki Jakuba I, i wieczorem dziesiątego znalazłem się nad granicą. Marokańskie i algierskie służby graniczne oraz urzędnicy celni przeszukali mnie od stóp do głów i na wszystkie strony, a potem zmarnowałem dobre trzy czwarte godziny, wysłuchując opowieści o jakimś zębie lwa, lamparta czy o czymś podobnym, równie bezsensownym. W końcu pozwolili mi przekroczyć granicę i w kimono uderzyłem już w Algierii.

Zajechałem do Oranu przygodnym wozem zaprzężonym w wołu i spędziłem znaczną część dnia, odkrywając cudowne widoki tego egzotycznego miasta, które nie różniło się aż tak bardzo od Casablanki, ale nie umywało się do Bousbiru. Tuż przed porą zamknięcia wpadłem do miejscowej biblioteki, wyszukałem pokrytą najgrubszą warstwą kurzu i najrzadziej używaną półkę, wepchnąłem pomnikową edycję Biblii jakobińskiej między ścianę, a wystawę gniotów i ruszyłem w dalszą drogę.

Nazajutrz rano odmówiłem krótką energiczną modlitwę, do tego stopnia rozweselając plemię Berberów, że nakarmiło mnie i pozwoliło jechać konno ze sobą aż do rogatek Algieru, gdzie też rozbijało namioty. Nie chcąc pokazywać się za wcześnie, spędziłem najbliższe godziny w obozie Berberów i uczyłem gospodarzy cokolwiek hazardowej formy podstaw analizy statystycznej liczby dwadzieścia jeden. Kiedy wreszcie pomachałem im na do widzenia, miałem przy sobie kilka pamiątek ze szczerego złota i farbowanych papierków.

Oznaczonego dnia przed wybiciem dwunastej przybyłem w okolice nabrzeża. Rychło zlokalizowałem Nagrodę Rybaka, rozpadającą się spelunkę z klientelą zdecydowanie potrzebującą nawrócenia. Co kilka minut rzucałem okiem na zegarek von Horsta i odpierałem fizycznie atak fali ulicznych handlarzy, oferujących kobiety, mężczyzn, dzieci, narkotyki i wszelką inną postać dającego się sprzedać towaru.

Wreszcie, punktualnie czternaście po pierwszej, wkroczyłem do knajpy i zająłem miejsce przy pustym stoliku w głębi sali. Von Horst przybył jakąś minutę później i usiadł obok mnie.

- Miał pan dobrą podróż? – spytał.
- Żadnych problemów – odparłem. – Gdzie pański nabywca?
- Powinien być lada chwila. Wpłacił już poważną zaliczkę mojemu wspólnikowi.

Zamówiliśmy dwa piwa i czekaliśmy w milczeniu. Kiedy minęło pół do drugiej i nikt więcej nie przekroczył progu knajpy, von Horst podszedł do baru i odbył szybką rozmowę telefoniczną. Wrócił do stolika z bardzo niezadowoloną miną.

- Louis Blaine został aresztowany – oznajmił.
- Nasz kupiec?

Pokiwał głową.

- Głupi sukinsyn upił się wczoraj wieczorem i przywalił prefektowi policji.
- Co teraz? – spytałem, czując, że mnie powoli diabli biorą.
- Poczekamy – orzekł. – Za dwa tygodnie powinien wyjść na wolność. Spróbujemy zaaranżować następne spotkanie. Tymczasem będziemy się utrzymywać z jego zaliczki. Ma pan książkę przy sobie?

No cóż, jak możecie sobie wyobrazić, nie spieszyłem się z tym, by umożliwić von Horstowi spędzenie czternastu dni i nocy na przyglądaniu się Biblii, którą akurat przyciskałem do serca, toteż odbyliśmy z Najwyższym szybką konferencję dla znalezienia wyjścia z sytuacji-

- Nie chcę czekać – oświadczyłem na koniec. – Zna pan te prowincjonalne państwa. Mogą go trzymać za kratkami całe lata.

– Naprawdę nie ma innego wyjścia – odparł von Horst. – Nie żartowałem w sprawie listu do marokańskiego rządu. Książka jest za bardzo trefna, aby próbować sprzedać ją gdzie indziej.

– To niesprawiedliwe, żebym musiał tkwić w tej dziurze, bo pański kupiec poszedł i narobił głupstw – poskarżyłem się. – Ostatecznie wypełniłem moją część umowy.

– Nie wiem doprawdy, czego pan ode mnie żąda – odparł z irytacją. – Zapłaciłbym panu, gdybym mógł, ale nie mam ani centa.

– A zaliczka? Dużo panu wpłacił?

– Pięć tysięcy funtów – odpowiedział niechętnie.

– Ponad dwa razy tyle, ile mi pan ukradł w Dar es-Salaam – stwierdziłem. – Proszę mi je dać i będziemy kwita. Mam dość siedzenia tutaj.

– Załatwione! – wykrzyknął z entuzjazmem. – Poproszę o Biblię.

– Najpierw pieniądze.

Wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni kopertę i podał mi.

Otworzyłem, przejechałem palcem po zwitku banknotów, skinąłem głową i wetknąłem je za koszulę.

– Proszę – oznajmiłem, wyciągnąwszy zza pazuchy księgę i podałem mu ją. Wstrzymałem oddech, gdy rzucił na nią okiem, ale w barze było zbyt ciemno, by mógł stwierdzić, że to nie jest pomnikowa edycja Biblii jakobińskiej.

– Pan zwariował, Jones – oświadczył, kładąc Pismo Święte na stoliku obok szklanki. – Za dwa tygodnie, najwyżej trzy, facet wyjdzie na wolność i mógłby pan zgarnąć dwadzieścia pięć tysięcy.

– Miłościwy Pan krzywo patrzy na chciwość – odparłem nabożnie.

– Ach, o mały włos byłbym zapomniał – podjął. – Może mi pan pożyczyć małą sumkę, aby mi starczyło do... Mhm, do wypłaty?

– Czemu nie? – odparłem z uśmiechem, dając mu trochę berberyjskich pieniędzy. – Schowaj pan resztę.

– Dzięki – westchnął. – To przyjemność robić z panem interesy, doktorze Jones.

– Nawzajem – odparłem. Wstałem i podałem mu rękę.

– A propos – bąknął. – Czy taki wielki bogacz zechciałby mi oddać zegarek?

Roześmiałem się, podałem mu cebulę i opuściłem knajpę.

Po wyjściu za drzwi machnąłem się do najbliższej kasy, kupiłem bilet na pierwszy statek z Algieru, który odpływał za dziesięć minut. Opłaciłem go pieniędzmi od Berberów, nie chcąc świecić pięcioma tysiącami funtów od von Horsta, i przez nikogo nie zauważony wbiegłem na trap.

Ledwie wypłynęliśmy na pełne morze, zagadnąłem chłopca okrętowego i wyszło na jaw, że trafiłem na pokład *Dying Quail*, która brała kurs na Kapsztad przez Cieśninę Gibraltarską. Nie był to mój wymarzony port przeznaczenia, ale pięć tysięcy funtów w kieszeni poprawiało mi humor. Poza forszą byłem jeszcze właścicielem pomnikowej edycji Biblii jakobińskiej. Zamierzałem wrócić po nią za rok albo dwa, kiedy żandarmi będą już zajęci innymi sprawami.

Spędziwszy parę minut na spacerze wokół statku i przekonywaniu pasażerów, że jestem absolutnie spokojny i nie mam niczego do ukrycia, wróciłem do swojej kajuty, zatrzasnąłem drzwi i sięgnąłem po kopertę. Kiedy wyjąłem pieniądze, poukładałem je w gustowne kupki i zacząłem się napawać ich widokiem, na podłogę sfrunęła złożona kartka papieru.

Podniosłem ją, rozwinąłem i przeczytałem, co następuje:

*Drogi Doktorze Jones!*

*Na pewno odgadł pan już do tej pory, że to nie była żadna Biblia jakobińska, nie mówiąc już o edycji pomnikowej. Przepraszam za wystrychnięcie pana na dudka, ale skoro bez wątpienia zamelinował ją pan gdzieś i podłożył na jej miejsce inne, równie bezwartościowe Pismo Święte, muszę wyznać, że nie czuję się winny, tak jak powinienem.*

*Cała afera wzięła swój początek wtedy, gdy zobaczyłem pana w Casablance. Znajdowałem się pod nadzorem policyjnym – przynajmniej to jest prawdą – i szukałem współnika, który mógłby wywieźć coś z kraju dla mnie. Nie należy pan do najbardziej spostrzegawczych ludzi na świecie; zmarnowałem chyba pięć popołudni na tym niewiarygodnie nudnym bazarze, nim wreszcie zdołał mnie pan rozpoznać. I nawet wtedy parokrotnie o mały włos nie straciłem pana z oczu, gdy szedł pan za mną do hotelu.*

*Skoro doczytał pan do tego miejsca, niewątpliwie zdążył się już pan zorientować, że nigdy nie było żadnego Louisa Blaine'a. Jest to naturalnie jedno z moich firmowych nazwisk i niniejszym przekazuję je panu do swobodnego dysponowania. Użycie go było jednak absolutnie niezbędnym dla powodzenia mojej operacji, gdyż inaczej nie widziałby pan powodu zjawić się punktualnie piętnaście po pierwszej, ja zaś nie miałbym powodu dawać panu mojego zegarka. W króliczej łapce ukryty jest Lwi Ząb, największy i najcenniejszy diament w Afryce. Dziękuję za dostarczenie go w idealnym stanie.*

*Jeśli czyta pan te słowa po raz pierwszy, muszę zakładać, że nie zdążył pan jeszcze wydać żadnego z owych pięciu tysięcy funtów, które pozwoliłem mu od siebie wyludzić. Jeśli musi pan je wydać, radzę zrobić to z maksymalną ostrożnością. Nadruk jest wyjątkowo niskiej jakości i banknoty warte są jeszcze mniej niż Biblia, jeśli w ogóle mają jakąkolwiek wartość.*

*Pański uniżony sługa Erich von Horst*

Mniej więcej dziesięć sekund po zmięciu kartki pierwszy raz w życiu uległem gwałtownemu atakowi choroby morskiej.

# Rozdział 7

## BUNT

*Ljying Quail* nie miała niczego takiego jak lista pasażerów, ale z drugiej strony nie za bardzo przypominała statek, więc wszystko pasowało idealnie. Słyszałem, że romans na statku potrafi być wydarzeniem głęboko zapadającym w pamięć, lecz jedyną osobą, jaką udało mi się znaleźć na pokładzie nocą, był osiemdziesięcioletni dermatolog z Korei, który spędzał cztery dni w tygodniu na przekonywaniu mnie, że wbrew powszechnej opinii Ziemia jest płaska, a przynajmniej zbudowana wzdłuż krzywizn łagodnie pochylonego dachu.

Jedzenie było w porządku, jeśli się lubi tuńczyki, lecz wprost straszne, jeśli nie. Ja ich nie lubiłem i wątpię, czy po trzech lub czterech dniach rejsu smakowały jeszcze komukolwiek.

Na statku płynęła także para Anglików w starszym wieku, którzy kupili niedawno plantację kawy w rejonie Transwalu. Nie mogłem się temu nadziwić, gdyż większość znanych mi i pijących kawę Afrykańczyków importowała ją z Brazylii. Poza tym płynęła z nami chuda jak szczapa, jasnowłosa Szwedka, która opuszczała kabinę tylko po to, by zjeść tuńczyka i natychmiast zwrócić go za burtę. Ponadto była tam jeszcze trójka dziewcząt z Niemiec, wszystkie krągłe, jędrne i zbyt ciasno opakowane, które nie mówiły żadnym cywilizowanym językiem i poświęcały czas na pstrykanie zdjęć, choć fale przy Wybrzeżu Kości Słoniowej nie różniły się specjalnie od fal w sąsiedztwie Liberii. Byli jeszcze dwaj mieszkańcy Indii Wschodnich. Ci zaś, lubili co rano zrzucać przyodziewek i siedzieć cały boży dzień w promieniach palącego słońca z nogami skrzyżowanymi w bolesny sposób, zabraniali wszystkim jeść hamburgery i tuż po zachodzie wracali do siebie. Mieliśmy czasowo bezrobotnego aktora z Kanady, recytującego bez przerwy mniej znane monologi z *Troilusa i Kresydy*, a także paragwajskiego pisarza, który swe aktualne rumieńce zawdzięczał butelce szkockiej. Mieliśmy w końcu oszałamiającej urody tancerkę brzucha z Grecji. Ta z kolei błagała nas o przebaczenie za to, że rozprasza uwagę i wyjaśniła, że ona musi brać kąpiele słoneczne na golasa, ponieważ dziesiątki tysięcy jej wielbicieli nie życzą sobie żadnych białych miejsc od kostiumu na jej skórze. Obserwowanie, jak ciało pokrywa się równomierną opalenizną, było równie szybko toczącym się spektaklem, jak widok schnącej farby na płocie, jeśli jednak spojrzeć na to z innego punktu widzenia, to nasze przedstawienie miało znacznie więcej zalet. Było też jedyną przyczyną mojej dekoncentracji w pierwszym tygodniu podróży.

Kapitan i załoga tylko formalnie byli Brytyjczykami, lecz nie wydaje mi się, by choć połowa z nich przebywała kiedykolwiek bliżej niż tysiąc kilometrów od Londynu czy Liverpoolu. Pozostali byli śniadymi, nie mytymi marynarzami, którzy klęli po słowiańsku i przeważnie patrzyli spode łba na pasażerów. Ci zaś albo ich ignorowali, albo prawili im kazania na temat strasznych skutków jedzenia wołowiny. Sam kapitan był jowialnym, łysiejącym grubasem z rudymi wąsami, nosił białe szorty a jego umiłowanie porządku kazało mu opowiadać ten sam dowcip trzydzieści, czterdzieści razy, dopóki nie znalazł właściwego rytmu i wysokości głosu.

Ósmego dnia od wypłynięcia z Algieru kapitan, którego nazwisko brzmiało Roberts, zakomunikował o swojej chorobie oraz wyczerpaniu rozmowami z załogą. Dodał, że chętnie przyjmie wyzwanie pasażera na pojedynek w taką czy inną grę hazardową. Cóż, Hindusi nie zdołaliby rozkrzyżować nóg, nawet gdyby chcieli, tancerkę brzucha pochłaniała absorpcja słońca, literat był zanadto pijany i młode Niemki nie mogły go zrozumieć, a większość pozostałych pasażerów zajmowała się czym innym. Wynika więc z tego jasno, że kilka chwil później kapitan

Roberts i ja siedzieliśmy przy stoliku naprzeciw siebie, *mano a mano*, szykując się do małych zawodów z wykorzystaniem stosu kolorowych obrazków z tektury.

Miłościwy Pan musiał odwrócić uwagę w inną stronę – upewniał się chyba, czy tancerka brzucha łapie opaleniznę wszędzie tam, gdzie zamierzała – ponieważ nie czułem Jego oddechu na swoim karku. Przegrałem niemal trzy tysiące funtów, a jedynym przejawem zbawczej łaski było to, że same pieniądze nie były więcej warte od talii kart.

Kapitan Roberts zdawał się jednak nie dostrzegać różnicy na banknotach, czy też uznał ją za normalne odchylenie, ponieważ spokojnie zgarnął forszę do kieszeni, oświadczywszy pasażerom i załodze, że żyje odtąd w pokoju ze światem oraz zamierza otworzyć na kolację skrzynkę trunku drugiej jakości za niewielką opłatą, najwyżej po cenie kosztu.

Chyba nie skłamię, jeśli stwierdzę, że z radością zasiedliśmy do wieczornej konsumpcji. Wszyscy tego popijali kapitański trunek, tym bardziej że inaczej nie dawało się przełknąć tuńczyka. Po osuszeniu ostatniej butelczyny, gdy tancerka brzucha wyniosła się nagle z aktorem, trzy młode Niemki zaczęły bratać się z załogą, pisarz i koreański dermatolog wszczęli bójkę o to, czy świat jest płaski, czy tylko lekko pochylony, reszta z nas pomachała sobie na odchodne i rozeszła się do rozmaitych sypialni.

Kilka godzin później jakiś wrzask, a po nim głośny plusk obudziły mnie tak gwałtownie, że aż podskoczyłem. Tylko parę sekund zajęło mi wciągnięcie łachów i wyszedłem na pokład, gdzie znalazłem dwóch członków brytyjskiej załogi zapatrzonych w morskie fale.

– Dobry wieczór, bracia – zagałem. – Czy któryś z was słyszał może przed chwilą jakieś dziwne odgłosy?

– Wprost trudno to wyrazić, jak bardzo niczego nie słyszeliśmy

– bąknął jeden.

– Ratunku! – wrzasnął czyjś głos z najwyraźniej sporej odległości.

– Znowu się rozlega! – zauważyłem. – Na pewno nie słyszeliście niczego osobliwego?

– To tylko kapitan Roberts woła o pomoc, proszę księdza

– odparł uspokajająco drugi. – Nic dziwnego, skorośmy go wyrzucili za burtę i pozostawili w kilwaterze.

– Czy jest jakiś konkretny powód tego czynu, w którym doprawdy trudno dopatrzeć się choćby odrobiny chrześcijańskiego miłosierdzia?

– Wystarczający! – warknął pierwszy. – Po kolacji spotkaliśmy się na małym pokerku i kapitan splekał się do ostatka.

– No i co?

– Ten łotr zapłacił nam fałszywymi pieniędzmi!

– No nie! – wykrzyknąłem. – A wyglądał na takiego miłego, sympatycznego gościa, kiedy grałem z nim po południu.

– Przegrał pan, czy wygrał?

– Och, wygrałem parę tysięcy funtów – oznajmiłem, wyciągając z kieszeni ostatni zwitek banknotów od von Horsta. – Proszę, czy one są dobre?

– Może do zapalania papierosów – stwierdził jeden z obrzydzeniem. – Na pewno nie do kupowania. Przykro mi, proszę pana.

– Niech to szlag! – zakląłem szpetnie. – A wydawał się takim porządnym chrześcijaninem, jeśli wiecie, co mam na myśli. Trochę szkoda, żeby miał się utopić.

– Ach, kapitan nie utonie, proszę księdza.

– Nie? – zdziwiłem się. – Do licha, jak to nie utonie?

– Rzuciliśmy mu parę kamizelek ratunkowych, na dodatek jesteście tylko milę od brzegu.

Dopłynięcie na plażę bez problemów.

– Ale chyba nie wróci na pokład? – spytałem.

– Nie, proszę pana.

– Dobrze ci tak, łajdaku! – krzyknąłem, potrząsając pięścią nad burtą. – To cię nauczy oszukiwać sługę Bożego!

– Miło nam gościć tak znakomitego sługę Bożego – westchnął któryś. – Ciekawe, czy mógłby pan pomóc w rozwiązaniu pewnego dylematu moralnego, jaki nas nurtuje?

– Ma się rozumieć, dobry człowieku – odparłem. – Cóż was trapi?

– Choć nie uważamy się za strasznych buntowników – zaczął – niektóre sądy wojskowe i część władz morskich mogą błędnie tłumaczyć sobie nasze postępowanie.

– I chcesz, abym zeznawał na waszą korzyść, czy tak?

– Ach, nie – wtrącił drugi marynarz. – Nawet nie śmielibyśmy marzyć o wykorzystaniu pana w taki sposób.

– To co konkretnie miałbym zrobić?

– No cóż, wielmożny panie – podjął pierwszy – kiepskie nasze widoki, bardzo kiepskie, gdyby się okazało, że rzuciliśmy starego kapitana Roberta za burtę, aby odebrać mu kontrolę nad statkiem i przejąć władzę, jakkolwiek ona była.

– Tak, widzę, w których punktach mogłoby to utrudnić nieco waszą obronę – przyznałem.

– Dlatego chcemy wiedzieć, czy byłby pan tak dobry i zechciał objąć ster kapitana, póki nie zawiniemy do Kapsztadu?

– Ja? – wykrzyknąłem.

– Spokojna głowa, szefie – odparł. – Poprowadzimy łajbę za pana, zajmiemy się nawigacją, karmieniem pasażerów – pod warunkiem, że lubią tuńczyka. Pokład będzie zawsze wyszorowany do poły-

HU- lvj,,Lnv i\voiiii\

sku, przypilnujemy, żeby wszystko grało. Ale dzięki panu, służę Bożemu i nie tylko, nie dobiorą się nam do skóry, gdy kapitan Roberts wróci w końcu na łono cywilizacji i pozwie nas do sądu.

– Kto wie, czy w ogóle do tego dojdzie – dodał drugi. – W taką ciemną i bezksiężycową noc stary nie będzie miał pewności, kto go faktycznie zepchnął z pokładu. Może też umrzeć na zapalenie płuc, zginąć w paszczy rekina albo paść ofiarą innych podobnych tragedii, które mogą mu się przytrafić.

– Smutne – westchnął, kiwnąwszy głową pierwszy marynarz.

– Racja.

– Zgadzam się! – wyrzekłem w końcu. – Wprawdzie jestem kapitanem mojej własnej duszy w trakcie jej długiej i rozdzierającej serce wędrówki przez życie, nie byłem jeszcze kapitanem statku. Może się czegoś nauczę.

– Poza tym – mruknął pierwszy – kapitan wreszcie naje się mięsa.

– Zdążyłem zauważyć tę drobnostkę – odparłem z uśmiechem.

– No dobra, skoro muszę wam obu jakoś podziękować, to możecie służyć jako moi zastępcy. Jak się nazywacie?

– Proszę mi mówić Ishmael – powiedział pierwszy. – Ishmael Bledsoe.

– A ja jestem Luthor Christian – przedstawił się drugi.

– Doskonale. Zwracajcie się do mnie per kapitanie Jones.

– Z przyjemnością, kapitanie Jones – odparł Ishmael. – Lecz wśród załogi niejeden – element awanturyczny, rozumie pan – będzie się stawiać.

– Postawimy ich na kilka dni pod masztem – odparłem. – To powinno rozwiać wszelkie wątpliwości.

– Ośmielam się zauważyć, że nasz statek nie ma masztu, panie kapitanie – stwierdził Luthor przeproszającym tonem.

– Niektórzy mogą nawet zażądać wyjaśnień, jakim prawem wrzuciliśmy do morza kapitana Roberta. Ci ludzie nie mają pojęcia o honorze osobistym i obowiązku płacenia długów legalnymi środkami płatniczymi, ani o innych tego rodzaju wysublimowanych kwestiach filozoficznych.

– To żaden problem – oświadczyłem po chwilowym namyśle.

– Panie Christian?

– Tak, kapitanie?

– Dajcie sygnał do opuszczenia statku – rozkazałem.

– Pan tu dowodzi – wzruszył ramionami i oddalił się na mostek. Po chwili głośny, ochryply głos syreny zbudził wszystkich ludzi na pokładzie.

– Upewnijcie się, czy każdy ma na sobie kamizelkę ratunkową – poleciłem Ishmaelowi. – Aha, zgodnie z naszym osobistym kodeksem honorowym my trzej idziemy na dno wraz ze statkiem.

Ishmael przystanął kolejno u wylotów szeregu białych rurek i dziesięć minut później wszyscy prócz Ishmaela, Luthora i mnie baraszkowali w wodzie.

Złapałem megafon i podniosłem go do ust.

– Dobry wieczór! – wykrzyknąłem. – Mówi wasz nowy kapitan, Lucyfer Jones. Wiedźcie, że już dawno nie byłem świadkiem równie znakomitych ćwiczeń w opuszczaniu statku.

Zaczekałem, aż opadnie trochę fala oburzenia, po czym kontynuowałem.

– Niestety, kapitan Roberts uznał za konieczne zrezygnować z dowodzenia statkiem. Jego ostatnią wolą było przejście przeze mnie komendy i dołożenie wszelkich starań, aby *Dying Quail* dopłynęła bezpiecznie do portu przeznaczenia. Czuję, że jako sługa Boży jestem niewątpliwie najbardziej predestynowany spośród nas do zajmowania się problemami, które mogą wynikać. Ci z was, którzy podzielają tę opinię, mogą wrócić na pokład. Reszta nie powinna machać rękoma zbyt gwałtownie, albowiem powoduje to wzburzenie wody, które przyciąga rekiny.

Opatrzność nad nami czuwała, gdyż w tym momencie zjawiała się para ludojadów i niecałe trzy minuty później wszyscy z powrotem wdrapali się na pokład, mnie zaś uznano za jednego jedyne legalnego kapitana dzięki łaskawości Boga i Jego mieszkańców morskich otchłani.

No cóż, ku memu wielkiemu zdziwieniu przez najbliższe dni sprawy toczyły się dosyć gładko. Wyglądało na to, że nikogo nie obchodzi osoba kapitana, jak długo płynął do portu przeznaczenia, a kiedy dowiedzieli się o sposobie, w jakim kapitan Roberts regulował dług honorowe, wzniesli owację na cześć Ishmaela i Luthora.

Nigerię i Kamerun minęliśmy bez niefortunnych incydentów, po czym któregoś ranka, wstawszy nieco wcześniej, udałem się około południa na pokład i doznałem największego w moim życiu szoku. Na ogół płynęliśmy milę od brzegu dla uniknięcia raf koralowych i innych utrapień sternika, teraz jednak z lewej strony, w odległości sześćdziesięciu kroków ciągnął się gęsty las, a jakby tego było za mało, o pół mili morskiej na prawo widniała inna puszcza. Bakbort i sterburta, tak to chyba nazywają.

– Panie Christian! – zawyłem.

– Tak? – spytał, zjawiwszy się po kilku chwilach.

– Panie Christian, albo ocean skurczył się jak diabli, albo statek rozszerzył się jak diabli. Muszę



dojść do wniosku, że zeszedliśmy z kursu.

– Zauważył pan to, kapitanie – mruknął wymijająco Luthor.

– Oczywiście, że zauważyłem! – ryknąłem. – Takie drobnostki, jak zgubienie Atlantyku niełatwo umykają mej uwadze. No, gdzie jesteśmy, do cholery?

– Można by sądzić, że to oczywiste, panie kapitanie – odparł.

– Jesteśmy na rzece Kongo.

– Co my tu robimy, u diabła? – nalegałem.

– Część załogi zagroziła siedzącym strajkiem, jeśli będą musieli nadal jeść tuńczyka – odparł Luthor. – Głównie Słowianie i kilku szlachetnie urodzonych Anglików.

– I to wszystko? – zdziwiłem się. – Dajcie im chłostę i wracajmy na kurs.

– Wyjął mi pan to z ust, kapitanie. Ale mamy drobny kłopot.

– Niech was głowa nie boli o przepisy, dobry człowieku

– odparłem. – Słowo kapitana jest prawem na pokładzie statku.

– To jasne – przyznał Luther.

– No! Więc o co chodzi?

– Ich jest o wiele więcej niż nas, a przy tym są więksi.

– To zaiste jest problem – potwierdziłem.

– Poza tym nikt z jedzących od początku tuńczyka nie ma sił do takiego wyczerpującego zajęcia jak chłostanie ludzi, jeśli nawet załoga będzie przyglądać się temu z założonymi rękoma.

– W takim razie, panie Christian, dochodzę do stanowczego wniosku, że należy poszukać jakiejś rzeki i skierować na nią statek.

– Już to zrobiliśmy, kapitanie – zauważył.

– To dobrze! – ucieszyłem się. – Do dzieła, wyposażcie grupę Słowian w niezbędny sprzęt i wyślijcie ich na brzeg w poszukiwaniu mięsa.

– Już to robią, kapitanie.

Nie mogłem wymyślić innych rozkazów do wykonania, toteż odprawiłem go i poświęciłem kilka minut na przyjrzenie się otoczeniu. Skręciliśmy w prawo i zauważyłem, że brzeg był cały porośnięty drzewami i winoroślą. Sprawiał wrażenie gorącego i pełnego robactwa; nie zazdrościłem biedakom, którzy musieli udać się tam na polowanie. Wszystko wyglądało zielono i wilgotno, co pasowało w jakiś sposób do barwy i powierzchni skóry mniej więcej setki krokodyli, które baraszkowały w wodzie, rzucając w kierunku statku wygłodniałe spojrzenia. Od czasu do czasu podpływały trochę za blisko hipopotama, który z lekka przypominał mi Holendra – z tym wyjątkiem, że zwierzę nie nosiło poplamionego, białego garnituru. Wtedy hipek przegryzał najbliższego jaszczura na pół. Znajomi i krewni nieszczęśnika najwyraźniej nie zaprzęтали sobie tym głowy, zauważyłem jednak, że ilekroć któryś ginął, pozostałe jak gdyby przesuwały się w dół rzeki.

Tak czy inaczej, chwilę później poczułem lekkie zmęczenie od wpatrywania się w te wszystkie gady i konie rzeczne, toteż wyciągnąłem wędkę kapitana Robertsa i postanowiłem złapać kilka pstrągów, czy cokolwiek, co tam pływa w Kongo. Niestety, na haczyk łapały mi się wyłącznie krokodyle, toteż musiałem zrezygnować i wróciłem do kajuty, aby poczekać na powrót drużyny myśliwskiej. Wrócili późnym popołudniem, pędząc jak szaleni.

Na odgłos strzałów karabinowych wypadłem jak burza na zewnątrz. Marynarze z *Dying Quail* gnali do statku z maksymalną szybkością, jaką można wyciągnąć z łodzi ratunkowej, a w szalonym pościgu za nimi sunęło kilkanaście kajaków wojennych, obsadzonych czarnymi dzikusami, wywijającymi włóczniami i strzelającymi z łuku w ślad za uciekającymi.

Ishmael wbiegł na mostek i strzelił obcasami.

– Czekamy na rozkazy, kapitanie! – oznajmił.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji – odparłem. – Możecie powiedzieć, czy w końcu złapali trochę mięsa?

– Z takiej odległości nie widać nic.

– No trudno, chyba mamy obowiązek zapewnić im ochronę – stwierdziłem. – Dajcie salwę burtową do kajaków.

– Obawiam się, że to niemożliwe, kapitanie – westchnął Ishmael.

– Po co mam być kapitanem, skoro nie mogę oddać salwy we wroga, ilekroć przyjdzie mi ochota? – zachnąłem się, pochylając głowę przed rojem strzał.

– Po pierwsze, mamy niewłaściwe ustawienie na oddanie salwy z burty.

° – Lucyfer ...

– No to wykonajcie zwrot! – poleciłem.

– A przed wszystkim – ciągnął niewzruszenie – nie mamy armat.

– Co ty wygadujesz?

– To statek pasażerski, a nie niszczyciel – stwierdził, uskakując przed kolejnym gradem strzał.

– Na pokładzie mieliśmy raptem cztery strzelby i wszystkie zabrała grupa myśliwska.

– Więc czym dysponujemy, u diabła? – zapytałem, cofając się przed kolorową włócznią, która omal nie skróciła mnie o głowę.

– W kuchni jest nieprzyjemnie wyglądający nóż rzeźnicki. Słyszałem aktora, który chełpił się umiejętnością walki wręcz.

– I to ma być nasze obronno-zaczepne uzbrojenie?

Pokiwał głową.

– A więc zaczekamy na powrót marynarzy i spływamy stąd do wszystkich diabłów!

Pół minuty później drużyna myśliwska znalazła się na pokładzie i Ishmael dał rozkaz zawrócenia statku o sto osiemdziesiąt stopni i ruszenia całą parą. Krajowcy wzmogli intensywność ataku i zaczęli wydawać bardzo niegrzeczne dźwięki na widok statku, umykającego na pełne morze.

– Kapitanie, mielizna na kursie! – wykrzyknął Luthor.

Ishmael stanął za sterem, w którym tkwiło kilkanaście strzał, i zaczął obracać kołem.

– Kapitanie, mielizna ze sterburty! – wołał Luthor.

Ishmael kucnął przed jedną czy dwiema dzidami i sterował dalej.

Nagle rozległ się głośny chrzęst.

– Kapitanie, wpadliśmy na mieliznę! – oznajmił Luthor.

– Obawiam się, że nie jesteśmy przygotowani na odprawienie stołowników – orzekłem.

Ishmael próbował sterować statkiem, ale niebawem stwierdził, że koło nie chce się poruszyć.

– Przecież jesteśmy statkiem wycieczkowym, kapitanie – oświadczył ze smutkiem. – Może rzucić im trochę paciorków albo zaproponować tancerkę brzucha...

– Miliony na obronę, ani centa na haracz! – ryknąłem.

Głównie chodziło mi o to, że paciorki nie przyniosły większego pożytku w przypadku kilku ostatnich plemion, a jeśli chodzi o tancerkę brzucha, to miałem wobec niej inne plany.

– Znakomicie powiedziane, kapitanie! – krzyknął Ishmael. – Słowa, za które można oddać życie!

– Kto tu mówi o umieraniu? – spytałem. – Czy mamy na pokładzie chociaż raketnicę, żebyśmy ich lepiej widzieli?

Podszedł do najbliższej szafki i wyjął raketnicę. Wziąłem ją od niego i wystrzeliłem, iluminując niebo czerwono-złotymi smugami światła. Nagle dzicy zaczęli wrzeszczeć z przerażenia i po chwili padli na kolana w swoich łódkach. Zapewne pobili rekord w zachowaniu równowagi,

nawet gdyby w ujściu Kongo nie czaiło się kilkaset głodnych krokodyli.

– Zdaje się, że rakiety świetlne przekonały ich, że jesteśmy czymś w rodzaju bogów, kapitanie – zauważył Ishmael.

– My? – oburzyłem się. – Nie przypominam sobie, żeby ktoś jeszcze wypalił z raketnicy.

– Zdaje się, że rakiety świetlne przekonały ich, że jest pan czymś w rodzaju boga, kapitanie – poprawił się.

– Macie chyba jakieś bosaki? – westchnąłem. – Może byście z Luthorem wykombinowali sposób zepchnięcia nas z tej przeklętej mielizny, dopóki oddają mi boską cześć?

Zabrali się we dwóch do roboty, a po jakiejś godzinie huśtawki i kołysania usłyszałem kolejny chrzęst, po czym znowu nagle cięliśmy wodną toń. Aplauz ze strony pasażerów i załogi utonął w aplauzie ze strony dzikich, którzy zaczęli wiosłować w naszym kilwaterze. Byli ciągle za nami, kiedy wypłynęliśmy na ocean, biorąc kurs na południe. Od czasu do czasu któryś brał rybę na harpun i rzucał ją na pokład naszego statku, aby złożyć nam skromny hołd. Na ogół jednak zadowalali się oddawaniem boskiej czci z większej odległości.

Ekipie myśliwskiej nie udało się zdobyć świeżego mięsa. Okazało się, że pierwszym strzałem zranili w rękę jakiegoś tubylca, wywołując dziką awanturę. W każdym razie nie miało to większego znaczenia, ponieważ byli tak bardzo pogryzieni przez robactwo, że na pewno nie przełknęliby ani kawałka pieczystego przed wejściem do Kapsztadu.

Rozlepiłem nowy Regulamin Statku tej treści, że odtąd kąpiele słoneczne będą dozwolone tylko na prywatnym pokładzie kapitana. Niestety, tancerka brzucha doszła do wniosku, że nie potrzebuje ciemniejszej opalenizny i na progu mojej kabiny musiałem potykać się o dwóch Hindusów póki dwa dni później nie anulowałem zarządzenia.

Bez większych problemów płynęliśmy aż do południowej granicy

Portugalskiej Afryki Zachodniej, kiedy to koreański dermatolog pożyczył strzelbę i przywiązał się do steru, wyjaśniając, że choć osobiście nie ma nic przeciwko nam, niemniej musi zawrócić statek, nim wypadniemy poza krawędź świata.

Dałem znak Ishmaelowi i Luthorowi, aby zostawili mnie z nim sam na sam na mostku. Pogawędziliśmy trochę o tym i o owym, urządzając miłą popijawę dla zabicia czasu. W końcu przekonałem doktora, że krawędź świata znajduje się gdzieś w pobliżu Brukseli i właściwie płyniemy pod górę, w bezpiecznym kierunku. Do końca podróży był jedynym szczęśliwym Koreańczykiem i prawie nikomu nie wchodził w paradę poza pijanym literatem. Ten z kolei dawał głowę, że krawędź świata leży bardziej w kierunku San Francisco.

Pewnego dnia, gdy byliśmy niecałe kilkaset mil od Kapsztadu, dzikusy, które wciąż za nami wiosłowały, rzucając nam sporadycznie na pokład rybę lub nawet węgorza, zaczęły krzyczeć, ile sił w płucach.

– Co jest grane? – spytałem, wychodząc z kabiny, gdzie rozważałem sposoby przekonania tancerki brzucha, że jej opalenizna zaczyna jaśnieć.

– Wieloryby na sterburcie, kapitanie – oznajmił Luthor.

Rzuciłem okiem i faktycznie, jakieś dwadzieścia bestii sunęło w kierunku statku, baraszkując, chlapiąc, piszcząc i strzelając wysoko gejzerami wody z nozdrzy, wyglądając poza tym bardzo groźnie.

– Czy takie sytuacje zdarzają się często, panie Christian?

– spytałem i rozejrzałem się za najbliższą kamizelką ratunkową.

– Cóż, to zależy, panie kapitanie Jones.

– Od czego?

– Od tego, czy stoimy w porcie, czy nie.

– Na wypadek, gdybyście tego nie zauważyli, jesteśmy na pełnym morzu – warknąłem.

– No właśnie – przyznał.

– Co robicie, kiedy atakują statek?

– Ja osobiście zaciskam powieki i modłę się, żeby odpłynęły

– wtrącił Luthor z rozbijającą szczerością.

– Przypuszczam, że pociski ze strzelb tylko by je rozwścieczyły?

– zagadnąłem.

– Doprawdy, nie mam pojęcia – odparł Luthor. – Naturalnie, może pan oddać na próbę kilka strzałów. Osobiście zamierzam iść pod pokład i uciąć sobie krótką drzemkę.

Puścił się biegiem na dół, nim zdążyłem wydać mu rozkaz pozostania na wachcie.

Wieloryby zbliżyły się na odległość dwustu metrów. Nasi wierni tubylcy gwałtownie zawrócili i zaczęli wiosłować z powrotem do ujścia Kongo, jakieś dwa tysiące mil morskich na północ. Wieloryby zignorowały ich i podpłynęły jeszcze bliżej statku.

– Wyglądają na głodne – zauważył Ishmael, który wyrósł jak spod ziemi obok mnie.

– Widzieliście kiedyś wieloryba, który wyglądał inaczej? – zapytałem z czystej ciekawości.

– Raz – przyznał. – Był martwy, rzecz jasna.

– To jasne – westchnąłem.

Jeden wieloryb podpłynął na odległość dwadziestu metrów i rzuciłem w niego sekstantem. Odbił mu się od nosa, nie powodując żadnych ran widocznych gołym okiem.

– Czy one jedzą ludzi? – spytałem.

– Sądzę, że jedzą to, na co mają ochotę – odparł Ishmael, przysuwając się bliżej mnie, jakby dla pokrzepienia na duchu.

– Chodziło mi o to, że może popłyną gdzie indziej i zostawią nas w spokoju? – spytałem z nadzieją.

– Może.

– A może – podjąłem, doznając nagłej iluminacji – są tutaj, aby zebrać u stołu?

– O czym pan mówi, kapitanie Jones?

– Zejdźcie do kuchni i przynieście no kilka tuńczyków – rzuciłem ponagłajaco. – Damy im trochę resztek, to może zostawią nas w spokoju.

Ishmael wzruszył ramionami, ruszył pędem po stopniach i kilka minut później wrócił na górę z dwiema baryłkami tuńczyków, każda pod jedną pachą. Oczekaliśmy, aż dwa wieloryby znalazły się na odległość wyciągniętej ręki i rzuciliśmy im tuńczyki w rozdziawione paszcze.

Potem cofnęliśmy się, aby stwierdzić, że nasze przypuszczenia były słuszne – i w tym momencie zdarzyła się najdziwniejsza rzecz na świecie. Oczy wielorybów rozszerzyły się i utonęły we łzach, jeden zaczął kaszleć i wymiotować, drugi zaś przekręcił się brzuchem do góry. Najważniejsze jednak w tym wszystkim było to, że ich zachowanie potwierdziło dokładnie moje zdanie na temat tuńczyka.

Pozostałe wieloryby zerknęły na swoich towarzyszy i gdy tylko Ishmael sięgnął po drugą porcję podwieczorku, odpłynęły w siną dal.

Później niewiele się już wydarzyło, przynajmniej jeśli chodzi o wieloryby i dzikusów. Dowiedziałem się od Ishmaela, że Słowianie szykują się do opanowania statku, jeśli nie zaczniemy odżywiać ich świeżym mięsem. Uznałem jednak, że będąc tylko kilka dni od portu, nie ma sensu zatrzymywać się i szukać źródła mięsa, zwłaszcza że nasza wycieczka dobiegała już końca.

W jakiś czas później, gdy dzielił nas tylko jeden dzień od Przylądka, podeszła do mnie tancerka

brzucha i zapytała, czy występując w podwójnym charakterze kapitana *Dying Quail* i duchownego mogę udzielać ślubów na pokładzie statku.

Zrobiło się lekkie zamieszanie, albowiem zacząłem tłumaczyć, iż mogę udzielać lekcji skonsumowania małżeństwa dla najlepszych, w końcu jednak doszliśmy do porozumienia i wieczorem po kolacji po zgodnych oświadczeniach obu stron ogłosiłem tancerkę i aktora mężem i żoną.

– Znakomita robota, szefie – stwierdził Luthor, zatrzymując się po ceremonii przy kapitańskim stoliku.

– Ach, naprawdę wyśmienita, proszę pana – potwierdził Ishmael, przyłączając się do niego.

– Cóż, wielkie dzięki, bracia – odparłem. – Zawsze miło przyczyniać się do rozkwitu młodej miłości.

– Liczyliśmy właśnie na takie pańskie podejście.

– Boję się, że nie nadążam – powiedziałem.

– Być może pan nie zauważył, ale młoda miłość rozkwita wszędzie na tym sakramenckim statku.

– Jeszcze jeden ślub? Postaw ich przede mną, a raz dwa połączę narzeczonych węzłem małżeńskim!

– Ten będzie trochę niezgodny z przepisami – szepnął mi do ucha Ishmael, pochylając się nade mną.

Potwierdziłem drobne odstępstwo od normalności, ale gdy przystąpiliśmy do targów na serio, okazało się, że pięćdziesiąt funtów starczy aż nadto do uspokojenia mego sumienia oraz do wyeliminowania śladów nieprawidłowości. I w godzinę po pierwszej ceremonii wydałem trójkę dziewcząt z Niemiec za Ishmaela, Luthora i trójkę ich kumpli ze statku.

Marynarz na bocianim gnieździe zawołał, że w polu widzenia pojawił się Przylądek, a mimo to kolejna para doszła do wniosku, że jeśli kiedykolwiek mieliby się pobrać, tutaj spotkają się z mniejszym niż gdzie indziej sprzeciwem społecznym. Następne pięćdziesiąt funtów zmieniło właściciela i kilka chwil później ożeniłem Kim II Sanga, koreańskiego dermatologa, z Eduardo Duarte, paragwajskim literatem.

Zyskawszy pewność, że w najbliższym czasie nie zanosi się na nowe małżeństwa, wyciągnąłem Ishmaela i Luthora z nader zatłoczonej alkowy weselnej. Luthor miał podbite oko, a Ishmaelowi brakowało jednego zęba.

– Co się u diabła stało? – zapytałem.

– Odbyliśmy pierwszą sprzeczkę kochanków – wyjaśnił Ish-mael, wypluwając trochę krwi za burzę.

– Powinien pan zobaczyć pozostałą szóstkę! – wtrącił Luthor.

– Może później – odparłem. – Wezwałem was tutaj w nieco poważniejszej sprawie.

– A mianowicie, kapitanie? – spytał Luthor.

– Czy Słowianie nadal chcą zawładnąć statkiem?

– O niczym innym nie marzą – zauważył Ishmael.

– Świetnie. Dajcie mi parę minut na wyniesienie moich rzeczy z kabiny kapitana Roberta i możecie powiedzieć przyjemniczkom, że statek należy do nich.

Kiedy nazajutrz rano przybiliśmy do nabrzeża, oczekiwał nas komitet powitalny dowodzony osobiście przez kapitana Roberta. Najwyraźniej wyłowiona go z oceanu załoga jakiegoś frachtowca i nie zawracając sobie głowy eksploracją Kongo i okolic wyprzedziła nas o dobry dzień na trasie do Kapsztadu.

Słowianie, którzy wnieśli tymczasem cały swój kram do kwatery kapitana, trafili do więzienia

jako buntownicy, oczekujący na wyrok admiralicji. Ishmael Bledsoe i Luthor Christian otrzymali pochwałę z wpisaniem do akt za przyprowadzenie *Dying Quail* do portu tylko o dzień później, ponadto zostali oczyszczeni od wszelkich zarzutów nie powiązanych bezpośrednio z ich małżeństwem. Kiedy ostatnio ich widziałem, wymykali się chyłkiem w strony nieznane innym członkom świeżo utworzonej rodziny, ponieważ na scenie pojawił się słowiański tłumacz.

Co do mnie, mając w kieszeni sto brzęczących funtów szterlingów i wypełniwszy moją morską misję, jeszcze raz wyruszyłem na poszukiwanie majątku, który wreszcie pozwoliłby mi wznieść bazylikę Świętego Łukasza.

# Rozdział 8

## SPRAWA SERCOWA

Dla byłego kapitana *Dying Quail* Kapsztad nie okazał się nader obiecującym miastem na osiedlenie się, zwłaszcza kiedy Roberts odgadł, dlaczego wyrzucono go za burtę i z pistoletem w dłoni zaczął mnie szukać. Tak więc któreś pięknej nocy o drugiej nad ranem wzięłem nogi za pas i skierowałem się na wschodnie wybrzeże. Pieniędzy starczyło mi na dotarcie do samego Durbanu, gdzie znajdował się tor wyścigowy dla mułów, gdyż konie były zbyt drogie w tamtych stronach. Wybrałem możliwie wyglądającego rumaka, obstawiłem i patrzyłem, jak wchodzi na ostatni wiraż, prowadząc o dwie długości, kiedy nagle z buszu wyskoczyło stado lwów i zaatakowało hipodrom.

Dżokeje, i tak na ogół szybsi od swoich wierzchowców, skoczyli na ziemię i puciekali w bezpieczne miejsce, ale żaden muł nie zdołał pokonać nawet ostatniej prostej. W kasie usłyszałem, że był to dopust Boży i nie zwrócą mi pieniędzy, choć ja, przedstawiciel boga, zwracałem uwagę, że był to raczej dopust lwi. Przekonawszy się, że możemy tak debatować cały dzień, nie znajdując rozwiązania, wyjąłem resztę pieniędzy i postawiłem wszystko na dużego lwa z czarną grzywą, który akurat dojadał Świętego Andrzeja. Oficjele uznali obstawianie lwów za sprzeczne z ich polityką, a poza tym nie mogli mi dać więcej niż trzy do pięciu na tego z czarną grzywą.

Przeprowadziliśmy na stronie nadzwyczaj szybką kalkulację i w końcu stanęło na tym, że założyli się dziewięć do dziesięciu przeciw mojemu faworytowi, nie obstawiając porządku ani miejsca w pierwszej trójce. Ledwie się uściłem, lew wstał, ziewnął, przeciągnął się i zniknął na powrót w krzakach.

– Dyskwalifikacja! Pogwałcenie przepisów! – krzyknął gospodarz toru. – Wykluczenie i przesunięcie na ostatnie miejsce.

– Dlaczego nie zdyskwalifikowaliście go za pożarcie Świętego Andrzeja? – spytałem.

– Drogi panie, on nawet nie był zgłoszony do gonitwy – odparł protekcyjnym tonem gospodarz. – Poza tym, biegł za Świętym prosto i uczciwie.

– Obawiam się, że nie rozumiem, o czym mówisz, bracie

– stwierdziłem.

– W przepisach nie ma ani słowa o wzajemnym pożeraniu się uczestników – ciągnął tamten.

– Stoi za to wyraźnie, że opuszczenie toru kończy się dyskwalifikacją.

– Czy mam przez to rozumieć, bracie, że nie zamierzasz mi oddać pieniędzy za żaden z moich zakładów?

Twierdząco pokiwał głową.

– Kto tu jest szefem? – zapytałem stanowczo. – Chcę się widzieć z właścicielem.

– Właścicielką jest pani Emily Perrison – odparł gospodarz.

– Ale nie znajdzie jej pan tutaj. Nienawidzi hazardu.

– To po co jej, u diabła, tor wyścigowy?

– Z tego samego powodu, dzięki któremu posiada wszystko inne w mieście – odziedziczyła po mężu.

– Wdowa, powiadacie. Młoda?

– Dość stara, aby mogła być pańską matką – odparł gospodarz.

– I szalona, że głowa odpada. Większość pieniędzy rozdaje misjom religijnym na północy.

– Gdzie konkretnie?

- Przecież powiedziałem – na północy.
- Cały przeklęty świat leży na północy – zauważyłem.
- Nie wiem: Etiopia, Czad, Sudan. Gdzieś tam.
- Jak mogę znaleźć tę panią Perrison?
- Nie znam jej adresu – westchnął. – Ale jeśli uda się pan prosto na północ i wschód, niepodobna, aby pan nie trafił.

Bez namysłu pożegnałem się z torem wyścigowym oraz moją setką funtów. Pozostałe kilka szylingów w kieszeni wydałem na golenie i natłuszczenie włosów, po czym ruszyłem na północ. Gospodarz toru miał rację, że niepodobna nie trafić na to miejsce, gdyż niebawem mijałem szybko po sobie następujące: Towary Sypkie Perrisona, Sklep Ogólny Perrisona, Rzeźnię i Restaurację Perrisona i *Gazetę Codzienną* Perrisona. Kiedy wszedłem na długą drogę, wiodącą do zabudowań Perrisona, zaczynało zmierzchać, a nim stanąłem przed ogromnym, drewnianym domem mieszkalnym, było już zupełnie ciemno.

Poświęciłem parę chwil na przylizanie czupryny, strzepnięcie kurzu z odzienia i upewnienie się, czy Pismo Święte wystaje mi należycie spod pachy. Następnie zapukałem do drzwi. Otworzył je otyły młodzieniec z twarzą ponuraka i małymi świńskimi oczkami.

- O co chodzi? – zakwilił.
- Cześć – powiedziałem uprzejmie. – Czy zastałem Emily Perrison?
- Kto pyta? – mruknął, drapiąc się po przyszczu.
- Co znaczy, kto pyta? – zdziwiłem się. – Ja pytam.
- Kim pan jest? – pytał dalej, pocierając mały, serdelkowaty nos.
- Doktor Lucyfer Jones – odparłem, wysilając się na życzliwy uśmiech.
- Mamusia nie potrzebuje doktora – mruknął ponuro.
- Nie jestem tego rodzaju doktorem. Może sprowadzisz mamusię i pozwolisz jej samej zdecydować?

Chrząknął, zatrzasnął mi drzwi przed nosem i pozostawił samego na zimnie. Minęła minuta, potem druga, aż wreszcie drzwi odemknęły się z powrotem i miałem przed sobą panią Emily Perrison.

W życiu nie widziałem tak różowej kobiety. Nosiła włosy upięte w kok, a twarz i ciało sprawiały wrażenie, jakby ktoś próbował zrównoważyć mały balon położony na dużym. Miała niebieskie oczy, szeroki nos i cały garnitur lśniących, białych zębów. Wyglądała tak, jakby nigdy nie spacerowała, nie mogąc przebierać nóżkami.

Wyciągnęła pomarszczoną rękę i uściśniła moją dłoń.

– Doktor Jones?

– Prawy, wielebny doktor Lucyfer Jones – oznajmiłem, pochylając się i całując ją w rękę. Smakowała chlebowym ciastem i przypomniała mi, że od rana nie miałem nic w ustach. – Wracam z pani misji w Etiopii ze sprawozdaniem o całości dobrych uczynków, jakie robimy dzięki pieniądзом, którymi pani tak szczerze nas obdarowujesz.

– Ależ ja nie udzielałam żadnych dotacji dla Etiopii – odparła z lekkim zdziwieniem.

– Cóż, poinformowano mnie, że jestem w Etiopii, ale to mógł być Czad.

– Faktycznie, poczyniłam kilkanaście dotacji na rzecz misji w Czadzie – stwierdziła.

– Toteż wdzięczność nasza nie ma granic – rzuciłem natychmiast. – Serce pani roztopiłoby się na widok tych wszystkich małych, pogańskich dzieci, chodzących do kościoła i śpiewających psalmy w niedzielne przedpołudnie.

Twarz pani Emily Perrison rozpromieniła się na te słowa, po czym wdowa zaprosiła mnie do



salonu. Stało w nim mnóstwo przesadnie wymoszczonych krzeseł z epoki królowej Wiktorii oraz masa kozetek pokrytych maleńkimi serwetkami. Na ścianie wisiała cała chmara obrazów, przedstawiających głównie kwiaty, jabłka i podobny chłam, ale nie umywały się one do aktu Nellie Willoughby, górującego nad barem w Stanley Hotel.

– A propos, kim był ten człowiek, który wcześniej otwierał mi drzwi? – spytałem.

– Mój syn Horacy – odparła przeproszającym tonem.

– Wyjątkowo czarujący młodzieniec – zauważyłem błyskawicznie.

– Ach, doktorze Jones – westchnęła niespokojnie. – Słyszałam, jak mówiono o Horacym wiele dobrych rzeczy, ale po raz pierwszy ktoś użył słowa czarujący.

– Chłopakowi potrzeba tylko twardej ręki bogobojnego ojczyma, choćby takiego jak ja i będzie chodził jak w zegarku.

– To miłe, że pan się zgadza.

– Z kim, i w jakiej sprawie?

– Ze mną, w sprawie mego syna. Pozwalam się ostatnio odwiedzać pewnemu mężczyźnie.

Głównie dlatego, że również moim zdaniem Horacy potrzebuje ojca.

Nie takie rozwiązanie było najbardziej na rękę, ale uśmiechnąłem się tylko i wyznałem, że bardzo chciałbym spotkać tego szczęściarza przed powrotem do buszu na parę szybkich rundek z Szatanem.

Stwierdziła, że los się do mnie uśmiechnął, albowiem oczekuje właśnie swego gościa na kolacji. Następnie poczęstowała mnie herbatą i jęła wypytywać o tubylców w Czadzie. Opowiedziałem jej różne rzeczy, jakie wydawały mi się prawdopodobne, upiększając tu i tam ceremoniałami płodności i podobnymi obrządkami. Wyjaśniłem, że od niej i tylko od niej zależy położenie kresu owym grzesznym praktykom.

Nagle wyciągnęła rękę, by chwycić moją dłoń, po czym przycisnęła ją do swojej piersi. Była ona imponująca nawet w spoczynku, lecz w tym momencie zapulsowała ze wszystkich sił.

– Na pewno strasznie trudno było tak kulturalnemu człowiekowi obcować z takimi dzikusami.

– Ktoś musi to robić – odparłem wielkodusznie. – Cóż byłby ze mnie za chrześcijanin, gdybym nie zgodził się nieco pocierpieć, a nawet złapać kilka chorób tropikalnych, byle tylko móc głosić Słowo Boże? Mimo iż przez te wszystkie straszne lata odczuwałem brak towarzystwa dobrej chrześcijanki, i tak nie mogłem pozwolić sobie na utrzymanie żony, ani w ogóle na założenie rodziny. Wszystkie pieniądze oddawałem koloniom dla trędowatych.

– Drogie biedactwo! – westchnęła. – Jest pan bez środków do życia!

Pokiwałem głową.

– Mimo to wcale się nie skarżę, proszę pani – rzuciłem natychmiast. – Posiadam bogactwa duchowe, a tych skarbów nie oddałbym nikomu, za żadne pieniądze.

– Gdzie zamierzał pan spędzić dzisiejszą noc?

– Za rzeźnią widziałem wygodną ławkę – odparłem. – Na pewno po jednym, najwyżej po dwóch tygodniach, przywyknę do zapachu.

– Nie chcę o tym słyszeć! – wykrzyknęła. – Zamieszka pan tutaj, w domu, jako nasz gość, dopóki nie będzie pan znowu gotowy do kontynuacji dzieła Bożego.

– Ależ, proszę pani – zaprotestowałem. – To się nie godzi. Poza tym, ciągle mam koszmary, odkąd powiesili mnie i kazali się wyrzec Jezusa. Po cóż te okropne wrzaski miałyby budzić panią w nocy? Wiem wprawdzie, że czuje się pani zobowiązana, gdyż doświadczyłem tylu cierpień i niedostatków dla pani ulubionych instytucji dobroczynnych, ale...

– Pan zostaje, i już! – orzekła stanowczo.

Wytłumaczyłem, że to niemoralne, ale jestem zbyt słaby i wyczerpany, by dalej dyskutować, więc będę zmuszony przystać na jej propozycję. Już sięgała ręką, by pochwycić moją twarz i przytulić ją do piersi obok mojej dłoni, ja zaś odetchnąłem głęboko z nadzieją, że w domu nie ma zbyt wielu dodatkowych pokoi na pokaz lub z innego powodu, kiedy ktoś zapukał mocno do frontowych drzwi.

Wstała lekko zarumieniona, wyglądając różowiej niż kiedykolwiek, i podeszła do wyjścia. Po chwili wróciła ze znajomą mi osobą, od stóp do głów odzianą na czarno: koszula, krawat, kamizelka, garnitur, skarpetki, buty, kapelusz, pasek, a i zapewne bielizna były tego koloru.

– Doktorze Jones – podjęła. – Chciałabym przedstawić pana mojemu gościowi, Theodore'owi Dobbinsowi, byłemu majorowi wojsk Jego Królewskiej Mości.

Nie byłem wcale pewien, który z nas był bardziej zaskoczony, jednak to on opanował się pierwszy i wyciągnął do mnie rękę.

– Drogi doktorze – bąknął – jak to miło znowu pana widzieć.

– Panowie się znacie? – spytała.

– Mamy za sobą trochę wspólnej działalności misjonarskiej

– odparłem. – Krótko mówiąc, chyba wolno mi stwierdzić, że wzajemnym wysiłkiem zdołaliśmy uratować od uzależnienia nar kotykowego kilka tysięcy biednych, zagubionych duszyczek.

– Chwała Bogu! – krzyknęła, wyraźnie podniesiona na duchu.

– Minęło tyle czasu, doktorze Jones – podjął major, sadowiac się na jednym z brzydszych krzeseł. – Nie spodziewałem się, że znowu kiedyś spotkam pana.

– Jakież ten świat jest mały – orzekła.

– Słowo zatłoczony lepiej do niego pasuje – zauważyłem.

– No dobrze, zostawiam panów samych, abyście mogli powspominać dawne czasy, a sama zajmę się kolacją – powiedziała i podreptała do kuchni.

– Co pan tu robi? – syknął Dobbins, jak tylko pani Emily zniknęła z pola słyszenia.

– Głoszę Słowo Pana – odparłem. – A ty, bracie?

– Niewątpliwie będzie panu trudno to zrozumieć, ale znajduję się tutaj z powodu poważnej sprawy sercowej.

– Wybrałbym inne słowo w miejsce trudno, bracie Dobbins. Ile jest warta?

– Skąd przypuszczenie, że cokolwiek wiem o jej sytuacji finansowej? – odparł z oburzeniem.

– Zapewniam pana, przyjacielu, że tego rodzaju pytanie nigdy nie przyszło mi do głowy.

– Aż tyle?

– Drogi doktorze Jones – oznajmił, siadając naprzeciw mnie.

– Uważam, że najlepiej byłoby wyłożyć karty na stół. Po pańskim nieszczęśliwym spotkaniu z Erichem von Horstem w Dar es-Salaam, dobro niektórych interesów zmusiło mnie do nader rychłego przenie sienia bazy operacyjnej do Afryki Południowej.

– Wystawiono kolejny list gończy za panem?

– Powiedzmy, że moja interpretacja niektórych ustaleń prawnych różniła się pod wieloma względami od interpretacji władz – odparł. – Mniejsza o to, doszedłem do wniosku, że brak mi kapitałów na dalszy handel nietrwałym towarem, który stanowił podstawowe źródło mojego utrzymania przez ostatnie dziesięć lat. Słowem, sytuacja wydawała się beznadziejna, gdy nagle dowiedziałem się od współnika o dobrej pani Perrison i natychmiast znowu przenieśliśmy swoją bazę, tym razem do Durbanu. Przyznam, że wdowa faktycznie posiada liczne dobra, choć niewątpliwie dużo mniejsze, niż można by oczekiwać albo podejrzewać. Zalecam się do niej pracowicie od dwóch

miesiący i mam przeczucie, że otwiera się wreszcie przede mną szansa na ustalenie miejsca i czasu naszego ślubu.

– Po co zostawiać wszystko Horacemu? – zauważyłem czujnie.

– Wiedziałem, że doceni pan moją pozycję – powiedział z uśmiechem.

– Nie tylko ją doceniam, majorze – odparłem. – Ja jej panu zazdroszczę.

– Przejdźmy zatem do sedna sprawy. Ile konkretnie trzeba, by wyleczyć pana z zazdrości.

– Nie chciałbym sprawiać wrażenia człowieka pazernego, obawiam się jednak, że więcej, niż jest pan skłonny zapłacić.

– Dwa tysiące funtów – zaproponował.

– Daj pan spokój, majorze – odparłem. – Widziałem po drodze te wszystkie magazyny.

– Każdy ma obciążoną hipotekę, a restauracja nie świadczy o rzeźni. Dwa tysiące to wspaniałomyślna oferta, doktorze Jones.

– Nie wątpię. Oczywiście, dwa tysiące to wspaniałomyślna oferta, ale dziesięć tysięcy byłaby pięć razy bardziej wspaniałomyślna.

– To po prostu nie wchodzi w rachubę. Podzielmy się równo: dwa i pół tysiąca funtów.

Potrząsnąłem głową.

– No trudno, majorze, wychodzi na to, że będziemy rywalami do ręki biednej wdowy. Niech zwycięży lepszy, o ile nie jest Anglikiem z ceną za swoją głowę.

W tym momencie Emily wróciła z informacją, że kolacja jest na stole. Poszliśmy za nią do pokoju stołowego, umeblowanego podobnie jak salon dużą ilością brzydkich wiktoriańskich sprzętów. Tym razem był to kredens na porcelanę oraz prostokątny stół dobrze dobrany do czterech przysadzistych krzeseł. Na jednym siedział Horacy, dłubiący z namaszczeniem palcem w nosie, ja i major zajęliśmy miejsca na przeciwległych krańcach stołu. Po chwili przysiadła się do nas Emily.

– Na pewno mieliście sobie panowie dużo do powiedzenia

– powiedziała.

– Więcej, niż można by sądzić – odparłem, posyłając majorowi lekki uśmieszek.

– Długo się znacie?

– Ach, od niepamiętnych czasów, proszę pani – stwierdziłem.

– Major oczywiście pamięta je znacznie lepiej niż ja, młody i pełen życia bogoboyny chrześcijanin w kwiecie wieku.

– Drogi doktorze Jones, niech pan w końcu poskromi uczucie zażenowania z powodu swego odwrócenia się od świata i braku doświadczenia życiowego – oświadczył major. – Ostatecznie niedojrzałość to nie powód do wstydu. Wyrośnie pan z tego na pewno nie później niż Horacy.

W tym momencie syn Emily wstał od stołu i majestatycznym krokiem opuścił jadalnię.

– Czy moje słowa mogły go obrazić? – spytał major nie bez uczucia zadowolenia.

– To bardzo wrażliwy chłopiec – odparła Emily.

– Od pierwszej chwili nie miałem co do tego wątpliwości

– wtrąciłem.

– Wciąż próbuje się odnaleźć – wyznała.

– A próbował szukać w kuchni? – spytałem. – Chciałem powiedzieć, że gdybym to ja próbował znaleźć Horacego, zacząłbym od kuchni.

– Proszę wybaczyć przyjacielowi – oznajmił major. – Głjęwę daję, że nie chce uchodzić za prostaka, muszę jednak podkreślić, że człowiekowi z takim brakiem wrażliwości nie sposób powierzyć wychowania dziecka.

– Sam fakt, że przez ponad dziesięć lat zaśmiecasz pan Afrykę bachorami, nie daje ci monopolu

na ojcowską mądrość – odgryzłem się. – Mógłbym wychowywać Horacego nie gorzej niż inni, zwłaszcza jeśli tym innym miałby być pan. Już na samą myśl można pęknać ze śmiechu.

– Obawiam się, że nie rozumiem o czym panowie mówią

– odezwała się wdowa.

– Panno Emily – podjąłem. – Jestem zmuszony natychmiast się oświadczyć. Straciłem serce w blasku pani urody i niczego tak nie pragnę, jak zostać pani mężem i dobrym ojcem dla Horacego, uczyć go męskiej sztuki samoobrony i zabierać na mecze rugby w niedzielne popołudnia.

– To takie niespodziewane! – wykrzyknęła, oblewając się rumieńcem. – Ale co z majorem?

– Niech jedzie do buszu głosić Słowo między poganami, tak jak ja to robiłem. Wyjdzie mu to na zdrowie.

– Potrzebuję czasu do zastanowienia – odparła.

– Moja droga, nalegam, abyś go nie słuchała – odezwał się major. – Pomyśl choćby o Horacym. Doktor Jones nawet w tej chwili jest zapewne poszukiwany przez policję tego czy innego miasta za pederastię.

– Kłamstwo! – krzyknąłem. – Nigdy w życiu nie udawałem lekarza od pieszczeli! Panno Emily, powiem wprost: jedynym przy tym stole człowiekiem, który kiedykolwiek siedział za kratkami, jest major Dobbins!

– Theodore, czy to prawda? – zapytała.

– To było zupełne głupstwo, moja droga – odparł.

– Co innego twierdziły trzy rozebrane kobiety i właściciel kurczaka – wtrąciłem.

Emily Perrison złapała gwałtownie oddech i ukryła twarz w dłoniach.

– Zaraz, zaraz, mój panie! Nie dam się tak oczerniać! – ryknął major. – Honor żąda satysfakcji!

Odezwało się we mnie wspomnienie dziewczyny o imieniu Honor Weinburger, którą znałem niegdyś w Stanach, ale nim zdążyłem podzielić się z nimi ową krotoczwilą, major był już na nogach, chodząc z kąta w kąt i bijąc prawą pięścią w otwartą, lewą dłoń.

– Spotkamy się o świcie! – wyrzekł na koniec. – Jones, wybieraj pan broń.

– Na przykład cisza na pięćset kroków? – zaproponowałem widząc, że nie żartuje. – Może pan zaczynać.

– Pistolety! – zawołał major. – Pistolety po odliczeniu do dziesięciu.

– Toż to głupota, majorze. W życiu nie strzelałem z pistoletu, a poza tym nie zawarł pan nigdy bliższej przyjaźni z człowiekiem, który umiałby zliczyć aż do dziesięciu.

– Oszust! – krzyknął. – Próbujesz pan obrócić wszystko w farsę, aby ukryć własne tchórzostwo!

– Pan zaś chcesz sprowokować pojedynek, bo nie masz żadnych szans przy takim jak ja młodym przystojniaku – odparłem. – Łaskawa pani, błagam o wybaczenie za mój brak skromności i walenia prawdy bez ogródek.

– Mogę coś powiedzieć? – spytała Emily. Miała coraz bardziej przygnębioną minę.

– Niestety, moja droga – odparł major. – To już jest *affaire d'honneur*.

– A jeśli nie zechcę poślubić zwycięzcy pojedyнку?

– To absolutnie nie wchodzi w rachubę! – warknął Dobbins.

– Muszę przyznać majorowi rację – wtrąciłem. – Jeśli faktycznie zdecyduję się ryzykować życie dla pani ręki, będę naturalnie oczekiwał całej reszty.

– To moja ręka – zauważyła.

– Ale nasz pojedynek – odparł major. – Kobiety po prostu nie rozumieją takich rzeczy.

– Hola, hola! – bąknęła gorączkowo.

– Pani, kocham cię szaloną i dozgonną miłością, której nikt i nic nie zdoła podważyć ani osłabić

– oznajmił major, przyciskając rękę do serca. – Toteż nie mogę z czystym sumieniem pozwolić temu łajdakowi, aby zawrócił ci w głowie i zniszczył twoją szansę na szczęście, nie mówiąc już o szkodliwym wpływie drania na młodego Horacego, którego nie mógłbym lubić bardziej, nawet gdyby był moim własnym synem.

Muszę przyznać, że dzieliłem z nim te uczucia do chłopaka. Z trudem mogłem wyobrazić sobie sytuację, w której musiałbym lubić go bardziej, zwłaszcza jeśli byłby moim własnym synem.

No cóż, panna Emily cokolwiek zmiękła po deklaracji majora o miłości i szczytnych zamiarach, co zmusiło mnie do złożenia podobnej. W końcu przyznała, że czasami sprawa honorowa istotnie nie kłóci się z honorem.

– Ale muszę cię o coś prosić, Theodore – westchnęła.

– Żądaj, czego chcesz, moja droga – odparł gładko.

– Moglibyście urządzić to w południe, a nie o świcie?

– Naturalnie. A dlaczego?

– Pomyślałam, że można by urządzić pojedynek na torze wyścigowym i zarobić dodatkowo na biletach. Misjom w Czadzie i Sudanie przydałyby się te pieniądze, a ponadto cała sprawa nabierze więcej sensu, jeśli posłuży zbożnemu celowi.

– Ach, jakież rzadki skarb poślubi jeden z nas – uśmiechnął się Dobbins.

– To prawda – przyklasnąłem. – I jakąż uroczą kobietę na dodatek – westchnąłem.

Major odchrząknął kilka razy, po czym wstał.

– Wybaczcie, chciałbym już wrócić do swoich pokoi – oświadczył.

– Przecież dopiero ósma – zaprotestowała Emily z lekką urazą w głosie.

– Faktycznie – potwierdził. – Lecz jutro czeka mnie ciężki dzień rzezi i rozlewu krwi, a najlepiej mi się to robi po dobrym, nocnym śnie. Może pójdzie pan ze mną, doktorze Jones? Wypijemy za nasze zdrowie i nie będzie pan rzucał cienia na naszą ukochaną, spędzając tutaj noc bez przyzwoitki.

– Chciałabym wyświadczyć panu tę przysługę, majorze, lecz ktoś powinien tu zostać i chronić nasz delikatny kwiatusek przed dzikimi bestiami z dżungli i resztą nocnych potworów. Ale proszę się nie martwić, że sam pan na to nie wpadł: podobna myśl może przyjść do głowy tylko piekielnie przystojnemu i oddanemu misjonarzowi.

Dłuższą chwilę przewiercał mnie wzrokiem, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł. Wróciwszy z Emily do jadalni, zastaliśmy Horacego przy stole nad czwartym kawałkiem placka.

– Będziecie walczyć o mamusię? – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Zaiste wychodzi na to, że Pan obrał dla mnie taką drogę postępowania – westchnąłem.

– Staniesz po mojej stronie, Horacy?

– To się okaże – bąknął, jednym haustem pochłaniając całą kwartę mleka. – Najpierw muszę zobaczyć typy.

– Horacy! – oburzyła się Emily.

– To tylko chłopięcy zapał – stwierdziłem, gmerając mu z czułością we włosach i rozgniatając przy okazji kilka pcheł. – Czarujące dziecko.

Wyszliśmy do salonu na parę łyków brandy, następnie odprowadzono mnie do sypialni. Zdaje się, że moja głowa twardo uderzyła w kimono, gdyż jedyną rzeczą, którą pamiętam później, było gwałtowne szarpanie mnie za rękę przez Horacego z wezwaniem do pośpiechu, bo inaczej spóźnię się na pojedynek.

– No dobrze, nie mogą zaczynać beze mnie – wymamrotałem, siadając na łóżku.

– Postawiłem na majora dwadzieścia szylingów, po dwa do jednego – oświadczył. – Stracę

forse, jeśli przegrasz wskutek niestawienia.

Za jego troskę posłałem go do wszystkich diabłów, ubrałem się najszybciej, jak umiałem, i zszedłem do kuchni. Emily smażyła jajecznicę.

– Nie ma czasu na jedzenie, mamusiu! – zawołał Horacy, po czym chwycił mnie za rękę i zaciągnął do wyjścia. – Jesteśmy spóźnieni.

– Ale... – zaczęła Emily.

– Jesteśmy spóźnieni! – powtórzył Horacy głosem bliskim hysterii.

Westchnęła, wzruszyła ramionami i udała się za nami do powozu, do którego wcześniej Horacy zaprzągnął parę koni. Gnaliśmy ulicami Durbanu, jakby nas ciągnęły Eksterminator z Pączkiem Róży. W niecałe dwadzieścia minut stanęliśmy na torze wyścigowym. Major Dobbins oczekiwał nas przy mecie w towarzystwie gospodarza toru.

– Mój drogi doktorze Jones – przemówił major, podając mi rękę, gdy do niego podeszliśmy. – Jak to dobrze znowu pana widzieć. Dużo myślałem o naszej sprawie i doszedłem do wniosku, że jest to nader prymitywny sposób rozwiązania naszego konfliktu.

– Ja też tak uważam – przyznałem.

– Rozważyłby pan inne propozycje? – spytał.

– Na przykład?

– Moglibyśmy przełożyć talię kart – oświadczył, wyjmując jedną z kieszeni.

– Hola, hola! – odezwała się wdowa. – Nie chcę bynajmniej zachęcać do rozlewu krwi, lecz Bóg mi świadkiem, że widzę pewne uzasadnienia dla rozstrzygnięć honorowych. Przekładanie talii kart o moją rękę nie należy do nich.

– Poza tym – wtrącił gospodarz – wzięliśmy od tysiąca widzów po szylingu ekstra. Będą rozruchy, jeśli odwołacie pojedynek.

– No trudno, przyjacielu – bąknął major. – Zdaje się, że nie mamy wyjścia. – Skinął ręką na torowego, który zbliżył się z mahoniową szkatułką, zawierającą dwa pistolety.

Pozwolili mi wybierać pierwszemu. Sprawiały wrażenie jednakowych, toteż złapałem pierwszy z brzegu. Najwyraźniej uczyniłem to z taką szybkością i zdecydowaniem, że wzięto mnie za doświadczoną zabijakę, ponieważ wśród tłumu rozszedł się głośny szmer. Major chwycił drugiego gnata i stanęliśmy plecami do siebie na linii mety.

– Na mój znak – ogłosił gospodarz toru – każdy z panów wykona dziesięć kroków, odwróci się i odda strzał. W gestii zarządu toru leżą ostateczne decyzje w sprawie wszelkich nieprawidłowości lub wykluczeń. Gotowi?

– Tak – odparł major.

– Nie bardzo – powiedziałem.

– Trudno, u licha – westchnął gospodarz. – Zaczynajcie.

Major musiał maszerować szybciej ode mnie, gdyż przed po stawieniem dziesiątego kroku usłyszałem dwa wystrzały.

– Falstart! – zawołał gospodarz.

– Co teraz? – Odwróciłem się.

Będziecie powtarzać, dopóki nie wykonacie tego prawidłowo. Tak więc zaczęliśmy od nowa. Tym razem odwróciliśmy się jednocześnie i stanęliśmy naprzeciw siebie. Usłyszałem całą serię strzałów, dochodzących od strony majora, zacisnąłem powieki, wymierzyłem i strzelałem do opróżnienia magazynku.

– Stop! – zawołał gospodarz.

– Co teraz? – spytał major.

– Zraniliście dziewięciu widzów i zabiliście muła – oznajmił z oburzeniem gospodarz. – Na pewno chcecie kontynuować, przyjaciele?

– Absolutnie – stwierdził major.

– Nie bardzo – powiedziałem.

– No trudno – westchnął gospodarz. – Stańcie plecami do siebie i zróbcie jedynie pięć kroków. Może to pomoże.

Nie chcę przedłużać tej historii, więc powiem tylko, że każdy z nas wypalił jeszcze pięciokrotnie i nic wielkiego się nie stało, poza tym że zastrzeliliśmy perliczkę, która zabłąkała się na tor wyścigowy. Tłum zaczął się brzydko zachowywać, ktoś nawet trafił kamieniem w głowę mojego rywala.

– Zgłaszam protest! – wykrzyknął i upadł na piasek.

– Co z nim? – spytałem, kuśtykając w pobliże.

– Nigdy jeszcze nie krwawiłem tak bardzo – wymamrotał.

– Ach, wstawaj pan! – warknął gospodarz. – Więcej krwi widziałem po ukąszeniu muchy.

Major podniósł się z wysiłkiem i zamachał na znak zwycięstwa w kierunku tłumu. W odpowiedzi rozległo się głośnie buczenie.

– Mogę coś zaproponować? – spytał gospodarz.

– Strzelaj pan – powiedziałem i Dobbins znowu runął na ziemię. – O co chodzi tym razem? – zapytałem, pomagając mu się podnieść.

– Mógłby pan ostrożniej dobierać słowa – zauważył ponuro.

– A moja propozycja? – spytał niecierpliwie gospodarz.

– Wal pan – odparłem.

– Skoro obaj nie jesteście mistrzami w strzelectwie, moglibyśmy szybciej zakończyć tę pechową sprawę honorową, walcząc na miecze.

– Kapitalna myśl! – zawołał z entuzjazmem major.

Po chwili przyniesiono dwie szable wojskowe. Musieli mi pokazać, jak mam trzymać moją, ale major pochwycił własną niczym starą przyjaciółką i zaczął wywijać w powietrzu, jak gdyby przecinał komary na pół.

– Gotowi? – spytał gospodarz.

– Bynajmniej – odparłem, próbując trzymać rękojeść bez wystawiania kciuka ponad gryf.

– No trudno, u diabła – westchnął gospodarz. – Zaczynajcie.

Major wyszczerzył się od ucha do ucha i oddał mi honory szablą.

Czułem, że za parę chwil Pan i ja spotkamy się oko w oko. Nagle major ruszył na mnie i usłyszałem coś, co przypominało wystrzał, lecz było nieco głośniejsze, i dochodziło zza pleców Dobbinsa.

– Auu! – ryknął i stanął nieruchomo jak posąg, co było dość trudne, gdyż rozciągnął się na całą długość – prawą rękę wyciągał do mnie, a lewą nogę włókł za sobą po ziemi.

– Co się panu stało? – zapytałem. Opuściłem szablę i z rękami na biodrach przyglądałem się majorowi.

– Musiał mi dysk wyskoczyć! – zgrzytnął. – Nie mogę się poruszyć.

No cóż, ogłosiliśmy z gospodarzem przerwę i próbowaliśmy wyprostować majora, ale ten na dobre utknął w owej pozycji. Po dziesięciu minutach daliśmy spokój i podeszliśmy do Emily Perrison.

– Panno Emily – oznajmiłem. – Nie sędzę, abym ze spokojnym sumieniem mógł zabić majora w

tych okolicznościach, zwłaszcza w obecności takiej ilości świadków.

– Rozumiem – odparła, gładząc moją dłoń. – Ujawnia się pańskie chrześcijańskie miłosierdzie.

– Cieszę się, że nikt nie poniósł śmierci – oznajmiłem.

– Ja też – uśmiechnęła się.

– Ja nie – mruknął ponuro Horacy.

– W takim razie – podjąłem – zechciej pani podać dzień i godzinę, ogłoszę wszem i wobec nasze zaślubiny.

– Zastanawiałam się nad tym poważnie przez ostatnie pięć minut, Lucyferze – powiedziała bez pośpiechu – i postanowiłam wyjść za mąż za majora Dobbinsa.

– Ależ dlaczego? – zdziwiłem się. – W każdej chwili mogę podejść i pokroić go na małe kawałeczki, jeśli tylko to stanęło na drodze do naszego szczęścia.

– Chodzi o coś więcej, Lucyferze. Jest pan dobrym, uczciwym i szczerym człowiekiem, porządnym chrześcijaninem, który nigdy nie zazna szczęścia skrępowany rodzinnymi więzami w takiej nudnej miejscinie jak Durban, mogąc nawracać ludożerców, trędowatych i podobnych nieszczęśników. Theodore zaś ma pewne słabości ducha, które czynią zbawienie jego duszy prawdziwym wyzwaniem dla mnie.

– Ależ panno Emily, potrafię mieć tyle samo wad co major!

– zaprotestowałem.

– Nie, nie chcę o tym słyszeć – odparła stanowczo. – Jest pan za dobry dla mnie, Lucyferze. To major chciał moich pieniędzy, podczas gdy pan pragnął jedynie służyć naszemu Bogu!

– Przypuśćmy, że ja też chcę paninych pieniędzy? – podjąłem.

– Czy to sprawi pani różnicę?

– Proszę nie pleść głupstw! – roześmiała się. – Jest pan zbyt czysty i prostoliniorny na takie brudne myśli.

– Czyżby? – bąknąłem strapiiony.

– Absolutnie. Teraz i pan, i major dostaniecie to, na czym wam zależy, ja zaś uszczęśliwię was obu.

– Ależ...

– Naprzód, chrześcijański rycerzu! – wykrzyknęła z dzikim, ewangelicznym błyskiem w oczach.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na Horacego i doszedłszy do wniosku, że w tym konkretnie wypadku nędza była lepsza od bogactwa, opuściłem Durban. Tamci zostali na torze wyścigowym, nie mogąc się zdecydować, czy zabrać majora do lekarza, czy też pomalować go farbą i pozostawić jako posąg na trawniku.

Tej nocy biwakowałem na północ od miasta i pogadałem sobie od serca z moim Cichym Wspólnikiem. Był łaskaw podkreślić, iż zarzucił Afrykę diamentami, a także innymi błyskotkami i skoro już tu jestem, dobrze byłoby zająć się ich pozyskiwaniem.

Nie mając nic przeciwko temu, skierowałem się w głąb lądu szukać szczęścia, postanowiwszy nie brać do ręki kamieni wartych mniej niż osiemnaście karatów.



## Rozdział 9

# ZAGINIONA RASA

M usicie wiedzieć, że diamenty znajduje się o wiele trudniej niż można by sądzić.

Spędziłem dobry tydzień na przetrząsaniu jaskiń, wąwozów, koryt rzecznych, dolin i opuszczonych kamieniołomów, nie znajdując ani jednego. Sprawdziłem nawet kilka egzotycznie wyglądających sadów na wypadek, gdyby coś mi się pokręciło w sprawie miejsc pochodzenia diamentów. W końcu musiałem przyznać, że pozyskiwanie drogich kamieni to nie taki złoty interes.

Jako że byłem kompletnie spłukany – choć od siedmiu dni nie spadła ani jedna kropla deszczu – po przybyciu do Germistonu, niezwykłego miasteczka parę kilometrów na wschód od Johannesburga, przyjąłem posadę rozdającego karty do fardo. Rzuciłem ją kilka dni później, lecz zdążyłem jakoś zarobić dość pieniędzy na kupno używanej pałatki.

Skromne dochody z kaznodziejstwa uzupełniałem zyskami z przyjacielskich partyjek w bingo, póki nie odkryłem, że karty do niego kosztują mnie więcej niż wygrane z tubylcami. Ponieważ jednak nie było dużego popytu na zęby knurów i podobne ozdoby, używane przez nich jako legalny środek płatniczy, w końcu postanowiłem czmychnąć następnego dnia do Nairobi i przekonać się, czy nie zdołałem skasować na Brytyjskim Wschodzie więcej pieniędzy, niż znajdowałem u dołu Afryki.

Kazałem pomagierom zgłosić się w południe po wypłatę za wierną służbę. Potem jednak przypomniałem sobie historię Hioba i zdecydowałem, że małe ubóstwo i drobne rozczarowanie tylko wzmocni ich siły duchowe, a tego przecież tak potrzebowali. Poszedłem więc spać z kurami, gotów opuścić miasto bladym świtem. Chrapałem w najlepsze w pokoju hotelowym, zajmując się własnymi sprawami i nie wadząc nikomu, kiedy zbudził mnie odgłos otwieranych drzwi.

Usiadłem na łóżku, przetarłem oczy i zobaczyłem najładniejszą panienkę, jaka kiedykolwiek stanęła na progu mej sypialni. Cała była ubrana w błękitne jedwabie i woalkę, które nie zasłaniały nawet połowy tego, co chciała zasłonić. Poza tym miała najdziwniejszy w świecie kapelusz, górujący nad czupryną żółtych włosów.

– Ma pan to? – zapytała szeptem, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi.

– Łaskawa pani – odparłem. – Tego mam aż nadto. Czemu zawdzięczam rzadką przyjemność tej nocnej wizyty?

– Opaska Malaloki – stwierdziła. – Gdzie ona się znajduje?

– Pewnie w Malaloki, gdziekolwiek to jest – odparłem. – Ale proszę dysponować każdym ciałem mego ciała i przekonać się na własne oczy. Przyzna pani, że to dość wspaniałomyślna oferta dla całkiem nieznanego osoby.

– Przecież pan ją musi mieć! – syknęła.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Zważywszy jednak na dziwną porę i okoliczności, nie widzę powodu, by taka drobnostka mogła stać między nami.

– Pan się nazywa Lucyfer Jones, tak czy nie?

– Prawy, czcigodny Lucyfer Jones, do usług. Na pewno nie chce mnie pani zrewidować?

– To nie powód do żartów – oznajmiła surowym głosem.

– Ani do włamywania się i wchodzenia bez pukania – zauważyłem – choć Pan zaiste uczy nas wybaczenia win naszym braciom. Mhm.. faktycznie. Nie pozostawił dokładniejszych wskazówek odnośnie win naszych sióstr, lecz na pewno moglibyśmy dojść do porozumienia, jeśli połączymy nasze serca i umysły.

Podeszła do komody i zaczęła wyciągać jedną szufladę po drugiej, przetrząsając koszule, bieliznę, talie kart, haczyki do wędki i temu podobne rzeczy, na ogół trzymane tam przez panów. Skończywszy z garderobą podeszła do zdezelowanego biurka, stojącego w drugim rogu i skontrolowała je równie dokładnie.

– Pytam po raz ostatni. Gdzie jest opaska?

– Nie wiem. Z drugiej strony cieszę się niewymownie, że to było ostatnie pytanie. O czym teraz pogawędzimy?

Obrzuciła mnie spojrzeniem, westchnęła, otworzyła drzwi i nim zdążyłem policzyć do trzech, dwóch zwalistych mężczyzn białej rasy, odzianych w lamparcie skóry, wpadło do pokoju i pomachało mi przed nosem włóczniami. Obaj mieli identyczne nakrycia głowy jak dziewczyna: coś pierzastego plus dwa małe klejnoty z przodu, dyndające im na czołach. Na osiłkach jednak nie wyglądało to aż tak uroczo, może wskutek tego, że dźgali mnie w żebra czubkami swojej broni.\*

– Muszę mieć tę opaskę, panie Jones – powiedziała dziewczyna.

– Doktorze Jones – poprawiłem ślicznotkę, wciągając brzuch możliwie jak najgłębiej pod ciągłym naporem włóczni.

– Nie radzę popełnić błędu, doktorze Jones – oznajmiła. – Już dwoje ludzi straciło życie dzisiejszego wieczora.

– Mam nadzieję, że to nie było nic zaraźliwego – odparłem z największym współczuciem, na jakie się zdobyłem, choć z dużo mniejszym od tego, które mógłbym wyrazić w bardziej sprzyjających okolicznościach.

– Umarli z powodu opaski Malaloki – wyjaśniła miękko głosem.

– Co to takiego – jakiś chwyt zapaśniczy?

– Starożytny i święty ornament z Malaloki. Może go nosić tylko jeden z naszych bogów.

– Niestety, z przykrością muszę rozczarować takie śliczne dziewczę jak pani – odparłem.

– Mimo swej postury i gromowładnego spojrzenia, nie jestem bogiem.

– Dwa miesiące temu jeden z poddanych, podły zdrajca, ukradł nam Opaskę Malaloki – ciągnęła beznamiętnie. – Tropiliśmy ją do samego Germistonu i tutaj straciliśmy ją z oczu – aż do dzisiaj. Złodziej prehandlował ją na żywność i inne doczesne rzeczy. Sklepiarz sprzedał ją jakiemuś Burowi, a Bur podarował ją czarnemu słudze, który przegrał ją z panem w bingo. Teraz opaska jest u pana i żądamy natychmiastowego zwrotu, bo inaczej straci pan życie.

– Ależ ja nie widziałem żadnej opaski! – zawołałem czując, że ostrza włóczni zaczynają przebijać mi ciało. – Ani złota, ani srebra, ani żadnego mosiądzu!

– Zaczekajcie! – rozkazała, władczym gestem unosząc dłoń nad głowę i dwaj faceci z bronią gotową do klucia nagle się cof-

nęli o ćwierć kroku. – Możliwe, że nie zna pan jeszcze kształtu i budowy przedmiotu, o którym mówię. Opaska Malaloki nie posiada wartości handlowej, składa się natomiast z muszelek połączonych w tajemniczy wzór, którego moc i doniosłość jest wprost przytłaczająca.

– Więc dlaczego od razu nie wspomniała pani o tym? – spytałem. – Przyjąłem jakąś małą bransoletkę do noszenia wokół kostki z nanizanych na sznurek muszelek.

– Opaska! – krzyknęła, okazując wreszcie trochę uczuć, jednak zdecydowanie innych, niż można by spodziewać się po kobiecie w przeźroczytym, błękitnym dezabilu.

– Ja uważam, że jest bezwartościowa, pani natomiast – że bezcenna – zauważyłem. – Proponuję podzielić się różnicą: oddam ją za kilka klejnotów z nakrycia pani głowy, chyba że również mają jakieś znaczenie religijne.

– Doktorze Jones – odparła. – Weźmiemy opaskę w zamian za pańskie życie. To się powinno

panu opłacać.

– Biorąc pod uwagę alternatywę, mogłem na tym wyjść trochę gorzej.

– Gdzie jest opaska?

– Mam całą torbę szpargałów, za przeproszeniem, w namiocie pod miastem. Dajcie mi parę chwil na przebranie, a zaprowadzę was na miejsce.

Co też uczyniłem, choć musieliśmy przedstawiać zabawny widok, maszerując wąskimi ulicami Germistonu o trzeciej nad ranem. Nie widziałem większego sensu w powrocie do hotelu wyłącznie po to, by budzić portiera, wrzuciłem więc do kieszeni tylko talię kart i postanowiłem ruszać do Nairobi natychmiast po zakończeniu naszej transakcji.

Na miejscu okazało się, że nikt nie ma przy sobie zapalek. Musiałem się kręcić w kółko i szukać torby po omacku. Chwilę później usłyszałem pod butem jakiś chrzęst i zrozumiałem, że błyskotka się znalazła.

Dziewczyna weszła do namiotu i zaczęła opróżniać torbę. Po kilku chwilach wydała krzyk, który mógłby zbudzić umarłego, nie zajętego czymś innym w tym momencie.

– Co się stało, łaskawa pani? – spytałem z wrodzoną kurtuazją.

– Połamana! – zawołała, podnosząc do oczu garść rozbitych muszelek, wiszących razem na kilku rozerwanych sznurkach.

– Ojej, to szkoda – bąknąłem współczująco. – Może uda wam się złowić parę małży albo ostryg, czy innych ślimaków i przyszyć mocną nitką?

– Nie ma pan pojęcia, co to oznacza! – rozplakała się.

– Może nawet kilka homarów – dodałem po namyśle. – W Jo-hannesburgu mają niezłą restaurację z owocami morza i...

– Cisza! – powiedział jeden z jej goryli, dźgając mnie włócznią.

Stwierdziłem, że składanie im jakichkolwiek korzystnych propozycji nie ma sensu, skoro nie potrafili tego docenić. Stałem więc bezczynnie, podczas gdy tamci ucieli sobie konferencję na stronie. W końcu przestali i dziewczyna podeszła do mnie.

– Idzie pan z nami – oznajmiła.

– Mam zupełnie inne plany – odparłem i zacząłem jej opowiadać o bazylice Świętego Łukasza. Zdążyłem wypowiedzieć trzy zdania mojej historii, kiedy jeden z mężczyzn wrócił do dziurawienia mi kieszek włócznią.

– Idziemy – powtórzyła. – Pomówi pan z naszymi bogami i wyjaśni, w jaki sposób opaska się rozbiła, a wtedy może darują nam życie.

Jeszcze raz przyjrzałem się różnym klejnotom, które zaiste wydawały się bardzo zwyczajne, dla nich wprost bezwartościowe, i z miejsca podjąłem słuszną decyzję.

– Z radością z wami pójdę – oświadczyłem, szczerząc zęby. – Może o tym nie wiecie, ale tak się składa, że rozmowy z bogami należą do czynności, które wykonuję najlepiej jako osoba duchowna i w ogóle.

Opuściliśmy namiot i pomaszerowaliśmy na północ. Parę kilometrów za miastem dziewczyna zwróciła się do mnie ponownie.

– Doktorze Jones, chyba pan rozumie, że wszelkie próby ucieczki w drodze do Malaloki będą potraktowane z całą surowością.

– Daję słowo chrześcijanina, że podobna myśl nie przyszła mi do głowy – odparłem zgodnie z prawdą. Liczyłem naturalnie, że taka ustna umowa straci ważność po dotarciu na miejsce, w którym trzymali klejnoty.

No cóż, szliśmy, szliśmy i szliśmy, następnie pokonaliśmy jeszcze kawałek drogi. Stale miałem

wrażenie, że w każdej chwili ukaże się Kair albo Marakesz, dziewczyna zapewniała mnie jednak, że wciąż przebywamy w Południowej Afryce i najdalej na naszym szla-

ku leży Niasa. W życiu o niej nie słyszałem, ale wyobraziłem sobie jako ogromne pole trawy ze zgrają skaczących w kółko małych Niasiątek.

Po drodze dowiedziałem się, że dziewczyna miała na imię Melora i nauczyła się angielskiego od jakichś misjonarzy. Było to trochę dziwne, gdyż tak ona, jak i Piętaszek, czy reszta tego towarzystwa uczyła się angielskiego u misjonarzy, a jedynym znanym mi autentycznym misjonarzem w buszu byłem ja. Zaskoczyła mnie jeszcze bardziej stwierdziwszy, że jej ojczystym językiem nie był francuski ani portugalski czy niemiecki, tylko narzecze Malaloki. Wówczas pierwszy raz się dowiedziałem, że poza opaskami wynajdowali też narzecza.

Mniej więcej dziesiątego dnia podróży weszliśmy w granice Niasy. Krajobraz zaczął się zmieniać i niebawem busz zastąpiła łagodnie falująca puszcza, pełna łagodnie falujących nosorożców, lampartów i innych przerażających bestii wyglądających tak, jakby miały ochotę na przekąskę z chrześcijańskiego misjonarza i kawałek jasnowłosej Malaloki na deser. Obaj nasi atletyczni włócznicy zdołali jednak odstraszyć wszystkie zwierzęta. Niezły wyczyn, jak można bowiem przeładować włócznię, jeśli pierwszym rzutem chybi się celu? Pokonaliśmy las cali i zdrowi, nie licząc ukąszeń kleszczy, moskitów i much oraz inwazji bezczelnych marabutów tuż po samym obiedzie. W końcu stanęliśmy przed kraterem wielkiego wulkanu, który wznosił się pośrodku rozległej doliny.

Sądziłem, że obejdziemy go bokiem, ale Melora ruszyła prosto przed siebie i zaczęła się wspinać wąską ścieżką na zbocze. Chwyciłem dziewczynę za rękę tłumacząc, że choć szczyt wulkanu stanowi niewątpliwie znakomity punkt widokowy na Boga i Niebo, nie musi się dla mnie poświęcać, jako że przez kilka następnych lat doskonale będę Go czcił z daleka, a przynajmniej z poziomu gruntu. Poza tym ścieżka urywała się nagle kilkaset metrów wyżej.

Jako właścicielka zadartego noska przedstawiała zaiste niezły widok, gdy patrzyła na mnie z góry. Wreszcie wyrwała swoją rękę z mojej i podjęła dalszą wspinaczkę. Zawołałem do niej, że wracam do podnóża wulkanu i spotkamy się po drugiej stronie, ale zanim wyrzekłem te słowa, dwaj rośli faceci znowu zaczęli dziurawić mnie włóczniami. Nie miałem wyboru i musiałem iść w jej ślady.

Robiłem to przez jakieś sto metrów, kiedy nagle Melora uniosła się i przepadła. To znaczy, gdy tak szedłem ścieżką pod górę za pięknym, krągłym tyłeczkiem, który prawdę powiedziawszy, stanowił jedyny powód mojego marszu, w pewnej chwili dziewczyna ulotniła się razem z tym pięknym tyłeczkiem i całą resztą. Stałem, drapałem się po głowie i rozglądałem dookoła, ale nigdzie nie było śladu Melory, a przecież taka masa ciała nie mogła zniknąć błyskawicznie z powierzchni ziemi. Wtem poczułem na ramieniu czyjaś dłoń i ściągnięto mnie ze ścieżki do wąskiego, małego tunelu.

- Gdzie jesteśmy? – wyszeptałem.
- Niech pan idzie za mną – odparła.
- Za panią? Ja nawet pani nie widzę.
- Niech pan mnie złapie za rękę. Wyciągnąłem dłoń.
- Doktorze Jones, to nie jest moja ręka.

Przeprosiłem, a po kilku nieudanych próbach zdołałem jakoś chwycić ją za rękę. Zaraz potem zaczęliśmy wchodzić w głąb wilgotnego i krętego tunelu. Minęło dziesięć minut wchodzenia na ścianę i na Melorę – może trochę bardziej miękką niż ściana, ale za to mniej ustępliwą i wyrozumiałą – a potem wyszliśmy na szeroki skalny występ nad wioską, zajmującą porośnięty trawą krater

wygasłego wulkanu.

– Malaloki? – spytałem.

Kiwnęła głową.

Wśród krytych strzechą chat wiła się mała rzeczka, wypływając ze źródelka, które wyrzeźbiła w jednej ze ścian. Widziałem już większe kratery, choćby Ngorongoro w Tanganice, ale z drugiej strony Ngorongoro nie obfituje w klejnoty i blondynki, tak więc nie byłem rozczarowany widokiem, jaki się rozciągał wokół mnie.

Melora poczekała, aż dołączą do nas dwaj rośli faceci, a następnie poprowadziła nas do podnóża ściany kolejnym krętym szlakiem.

Jak spod ziemi wyrosła chmara białych kobiet, odzianych jeszcze skąpiej niż Melora, które zaczęły trajkotać w jakimś obcym języku. Ona odpowiadała im równie szybko i niezrozumiale, po czym ścisnęła mnie za rękę i powiodła za sobą przez wioskę. Stanęliśmy przed największą chatą, wzniesioną na centralnym placu. Malora wykonała głęboki ukłon i wycofała się.

Przed chatą stały dwa fotele z trawy, w każdym zasiadał niechlujnie wyglądający mężczyzna białej rasy ze zmierzwioną brodą. Jeden musiał liczyć prawie dwa dwadzieścia wzrostu, drugi najwyżej metr czterdzieści, gdyby założyć mu kapelusz. Obaj nosili spodnie khaki ucięte tuż nad kolanami i mieli na sobie masę naszyjników ze szmaragdów, szafirów, rubinów i innych kolorowych świecidełek.

– No, no, bracie, spójrz, kogo tu mamy – przemówił duży.

– W życiu nie widziałem takiego Malaloki – odezwał się mały.

– Jak się nazywasz, cudzoziemcze? – spytał duży.

– Przewielebny doktor Lucyfer Jones, do usług – przedstawiłem się, zginając kark w dworskim ukłonie. – Bardzo przepraszam, ale sądząc z waszego języka, nie wydajecie się panowie Malaloki.

– Pan też nie – odparł mały.

– A niby dlaczego? Pochodzę z Ameryki.

– My też – wyznał duży.

– Naturalnie – ciągnął mały – jesteśmy również bogami, ale w tych stronach jedno nie musi wykluczać drugiego.

– Poza tym – kontynuował duży – będąc Amerykanami i bogami, jesteśmy także braćmi. Ja się nazywam Frothingham Schmidt, on – Oglethorpe Schmidt, ale kto uważa się za naszych przyjaciół lub przynajmniej chciałby dożyć jutra, nazywa nas Długim Schmidtem i Krótkim Schmidtem.

– Ja jestem Krótki Schmidt – oznajmił mały.

– Cóż, bardzo się cieszę ze spotkania tutaj dwóch rodaków – powiedziałem. – Nie macie przypadkiem czegoś dla spragnionego wędrowcy, może odrobinę alkoholu, aby starczyło do zalania robaka?

– Najpierw poważniejsze sprawy – odparł Długi Schmidt. -- Od sześciu lat nie wyściubiamy nosa z naszego małego królestwa i mamy kilka ważnych pytań na temat reszty świata.

– Słusznie. Ucieszy was wiadomość, że wygraliśmy Wojnę o Położenie Kresu Wszelkim Wojnom.

– Kogo to obchodzi? – rzucił Krótki Schmidt. – Jesteśmy chłopakami z Pittsburgha, urodziliśmy się i wychowaliśmy w Pittsburghu. Na którym miejscu Piraci skończyli ubiegły sezon?

– Na trzecim lub czwartym, jeśli dobrze pamiętam – odparłem.

– Do diabła z tym Johnem McGrawem! – wybuchł Długi Schmidt. – Powiedz pan, doktorze Jones, kto wygrał derby Kentucky w 1917?

– Zdaje się, że Omar Khayyam – odparłem.

– Je-huu! – ucieszył się Krótki Schmidt, rzucając w powietrze naszyjnik. – Jeśli kiedyś wrócimy do knajpy Casey, stary Flathead Mahoney będzie mi wisiał dwa dziesiątaki!

– Proszę nie myśleć, że zapomnieliśmy o dobrych manierach, doktorze Jones – oznajmił Długi Schmidt. – Rzecz w tym, że inne sprawy nabrały dla nas ogromnego znaczenia. A teraz się razem napijemy. – Zaklaskał dwukrotnie i dwie młode, dojrzałe pannice wniosły kolejkę napojów owocowych z dodatkiem niewielkiej ilości czegoś jeszcze.

– A więc, doktorze Jones – podjął Krótki Schmidt, kiedy pociągnęliśmy parę głębszych łyków – co pana sprowadza do królestwa Malaloki?

– Przyjaźń, kurtuazja, żądza przygód, a przede wszystkim kobieta o imieniu Melora – odparłem.

– Ach, tak, Melora – bąknął Krótki Schmidt. – Urocza dziewczyna.

– Nasza żona – dodał Długi Schmidt.

– W każdym razie jedna z wielu – stwierdził Krótki Schmidt.

– Prawdę powiedziawszy, Jones, ta przekłeta wioska jest niemal po brzegi wypełniona kobietami, które stały się boginiami poprzez małżeństwo.

– Spokojnie, bracie – odparł Długi Schmidt. – Mamy do czynienia z osobą duchowną. Być może doktor Jones tego nie pochwała.

– Skądże znowu! – rzuciłem błyskawicznie. – Salomon miał kupę małżonek i nikt nigdy nie wyrzekł słowa krytyki przeciw niemu.

– Doktorze Jones – podjął z uśmiechem Krótki Schmidt. – Ma pan cechy pełnego życzliwości bliźniego.

– Uprzejmie dziękuję – odparłem. – Można zadać parę pytań?

– Słuchamy – powiedział Krótki Schmidt.

– Kim są Malaloki i jak to się stało, że jesteście tutaj bogami?

– To długa historia, doktorze Jones – stwierdził Długi Schmidt.

– Przybyliśmy z Krótkim do Afryki siedem lat temu w poszukiwaniu diamentów. Nie wydawało się to wówczas takie trudne, ale niech skonom, jeśli znaleźliśmy bodaj jeden.

– Kopalnie diamentów są dobrze ukryte w tych stronach – przyznałem.

– Kopalnie? – wykrzyknął Krótki Schmidt. – Niech to szlag! Myśleliśmy, że wyrastają w ostrzygach!

– To perły – wyjaśniłem. – Nie znaleźliście bodaj kilku pereł?

– W życiu nie znalazłem ostrzygi – odparł Krótki Schmidt.

– Parę razy o mały włos nie zjadł mnie krokodyl.

– Och! – mruknąłem. – Cóż, jeśli kiedyś znowu wybierzecie się na połów ostrzyg, więcej szczęścia będziecie mieli w oceanie.

– Chyba już nigdy nie zobaczymy oceanu – odparł posępnie Długi Schmidt. – Pozwoli pan, że wrócę do głównego nurtu naszej tragicznej historii, doktorze Jones. Dowie się pan, dlaczego jesteśmy tak zadowoleni z poznania pana.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem do niego, biorąc kolejnego drinka, którego przyniosło mi miejscowe dziewczę.

– Jak wspomniał Krótki, przybyliśmy tutaj po sławę i majątek, głównie po to drugie. W rzeczy samej, zdobyliśmy więcej sławy w kręgach tutejszej policji, niż mogliśmy znieść, dlatego też postanowiliśmy opuścić cywilizowane rejony Afryki i skierować się do interioru.

– Otworzyliśmy zakład kupiecki – wtrącił Krótki Schmidt. – Kupiliśmy aparat Browniego i trochę odczynników, po czym zrobiliśmy objazd Zulusów. Pstrykaliśmy zdjęcia i wymienialiśmy je na kozy. Kozy z kolei wymienialiśmy na sól, sól na bydło, a bydło sprzedawaliśmy na bazarze.

Trzymiesięczny objazd dał nam jakieś cztery tysiące dolarów netto.

– Więc co się stało?

– Powstała pewna różnica zdań między nami a plemieniem Lumbwa o to, czy wypicie kilku przyjacielskich drinków i wypalenie kilku fajek stanowi *bona fide* propozycję małżeństwa, i trzeba było rozstać się z gospodarzami szybciej niż byśmy chcieli.

^– Całkowicie rozumiałe – przyznałem.

– Jakbyś pan czytał w moich myślach – westchnął Długi Schmidt. – Szkoda, że Lumbwa patrzyli na to inaczej. Tak czy owak, wymknęliśmy się w środku nocy, a ponieważ nie grzeszymy znajomością buszu, zwłaszcza w porównaniu z plemieniem Lumbwa, biegliśmy dwie noce i dwa dni pod rząd tylko po to, aby się upewnić, że nikt nas nie goni.

– A trzeciego dnia rano – podjął Krótki Schmidt – wpadliśmy na ten krater. Byliśmy zmęczeni i czuliśmy się okropnie, gdy dla ratowania życia musieliśmy przebiec taki dystans, toteż uznaliśmy za słuszne wdrapać się na zbocze i zniknąć z pola widzenia, aby trochę odpocząć. Trafiliśmy do jakiegoś tunelu i godzinę później znaleźliśmy się tutaj, w otoczeniu zagubionego plemienia Malaloki.

– Oczywiście, nie są już tak bardzo zagubieni, skoro najpierw

10 – Lucyfer ...

my, a potem pan ich odkrył, mimo to nadal tacy pozostali. Wątpię, czy kiedykolwiek się stąd wydostaniemy.

– Zdecydujcie się – jesteście bogami czy więźniami?

– Mhm, prawdę mówiąc – stwierdził Krótki Schmidt – jedno od drugiego dzieli subtelna i wysoce formalna różnica prawnicza. Zdaje się, że ich legendy opiewają dwóch bogów, którzy dotarli tutaj w przebraniu białych ludzi.

– Więc nie macie chyba w swojej wiosce żadnych problemów? – westchnąłem.

– Ba! – parsknął Długi Schmidt.

– Kłopot w tym – ciągnął krótki – że mniej więcej pięćdziesiąt lat temu zawędrowali do krateru dwaj inni biali mężczyźni, po czym zapłodniwszy wszystkie kobiety i wybrawszy sobie najlepsze diamenty, spakowali manatki i po prostu się wynieśli.

– Tak więc Malaloki postanowili, że tak długo jak tu zostaniemy, musimy być bogami i wolno nam robić niemal wszystko – kontynuował Długi Schmidt. – Gdybyśmy jednak próbowali uciec, będzie to stanowiło dowód, że okazaliśmy się w sumie zwykłymi ludźmi. Po drugiej stronie krateru dwudziestu młodych osiłek tylko czeka, aby zrobić z nas poduszki do igieł.

– Zaiste, to może przedstawiać problem – bąknąłem.

– Dlatego wysłaliśmy po pana Melorę – podjął Krótki Schmidt.

– A propos – wtrąciłem. – Muszę wam powiedzieć, że to nie dziewczyna zniszczyła świętą opaskę. Sam ją przypadkowo rozdeptałem.

– Szczerze mówiąc, ona wcale nie jest święta – oznajmił Krótki Schmidt. – Słyszeliśmy, że jakiś młody palant zmierza do Germistonu po trochę nasion. Podrzuciliśmy mu opaskę do worka i powiedzieliśmy Melorze, że drań poszedł i gwizdnął święty amulet.

– Jak to?

– Melora nie należy do istot obdarzonych największym w świecie poczuciem humoru – orzekł Długi Schmidt. – Wiedzieliśmy, że poruszy niebo i ziemię, aby odzyskać tę opaskę. Liczyliśmy, że zakatrupi masę tubylców i przyciągnie za sobą kogoś aż tutaj, na przykład wojsko bądź coś równie liczego.

– Choć więc bardzo nam miło spotkać rodaka, zwłaszcza takiego, który w dzisiejszych czasach śledzi losy Piratów – podjął Krótki Schmidt – to muszę przyznać, że w sumie stanowi pan dla nas,

bez urazy, wielkie rozczarowanie.

– Nie ma sprawy – westchnąłem. – Kim są właściwie Malaloki?

– Z tego co wiemy – odparł Długi Schmidt – potomkami jakiejś rzymskiej forpoczty. Mieszkają w kraterze pewnie z piętnaście wieków. Ten czy ów wychodzi czasami na zewnątrz kupować różne rzeczy, których nie możemy dostać na miejscu, czy podszkolić się w angielskim, ale za każdym razem wracają. Przez jakiś czas wychwalaliśmy z Krótkim zewnętrzną świat pod niebiosami w nadziei, że wszyscy wyjdą po kolei, pomaszerują z powrotem do Rzymu i zostawią nas tutaj z klejnotami, ale na razie do tego nie doszło.

– Tak więc jesteśmy – zakończył – bogami Malaloki, panami życia i śmierci naszych poddanych, którzy muszą zaspokajać wszelkie nasze zachcianki, jak długo nie odchodzimy dalej niż na sześćset kroków od miejsca, w którym teraz siedzimy. Może już nigdy nie zobaczymy Piratów!

– Jesteście panami życia i śmierci, powiadacie?

– Jesteśmy bogami, tak czy nie?

– To czemu ich nie zabijecie i nie wyjdziecie stąd wolni niczym ptaki?

– Myśleliśmy o tym długo i zawzięcie – przyznał Krótki Schmidt. – Ale choć nie cofniemy się przed poważniejszym oszustwem i karcianym szulerstwem, wymordowanie całego zaginionego plemienia pozbawiłoby nas zapewne jedzenia.

– Moglibyśmy naturalnie pozabijać wszystkich mężczyzn – dodał Długi Schmidt. – Nie lubię ich spojrzeń, którymi nas obrzucają, ilekroć się żenimy, co faktycznie zdarza się diabelnie często, kiedy się nad tym zastanowić.

– No dobrze, bracia – podjąłem. – Widzę, żyjecie tutaj jak u Pana Boga za piecem, spełnieni i szczęśliwi. Załóżmy, że kiedyś się stąd wydostaniecie, co u licha będziecie robić?

– Uciekać do wszystkich diabłów – odparł stanowczo Krótki Schmidt.

– Miałem na myśli później.

– Spróbujemy zarobić trochę gotówki, ożenić się z dwiema porządnymi kobietami, ustatkować i nie zapomnieć o wykupieniu abonamentu na wszystkie mecze Piratów do końca życia. Czy stary Honus Wagner gra u nich jeszcze?

– Odszedł jakieś pięć czy sześć lat temu, o ile pamiętam – odparłem.

– Niech to szlag! – warknął Krótki Schmidt. – Nic dziwnego, że nie udało im się wygrać żadnego porządnego proporczyka.

– Do diabła z tym Johnem McGrawem i jego Gigantami!

– rozżłościł się Długi Schmidt.

Widziałem, że mają ochotę pogadać o baseballu przez kilka godzin, uznałem zatem, że nadeszła idealna pora, aby się z nimi rozstać.

– No dobrze, moi drodzy – powiedziałem. – To było fascynujące doświadczenie, osobiście poznać dwóch bogów z krwi i kości, odnaleźć zaginioną cywilizację i w ogóle, sądzę jednak, że nadszedł czas, abym wracał.

– Skąd myśl, że pan dokądkolwiek odejdzie? – spytał Długi Schmidt.

– Dlaczego miałibyście mnie zatrzymać? – zdziwiłem się.

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem o baseballu, i nikt mnie na razie nie obwołał bogiem.

– Najpierw pomoże nam pan wydostać się stąd – oświadczył Krótki Schmidt. – Jak uczciwość, to uczciwość.

– Bracia, nie widzę w tym śladu uczciwości – stwierdziłem, czując falę gorąca pod kołnierzykiem.

– Doktorze Jones, po co taka smutna mina? – bąknął Długi Schmidt. – Jeśli faktycznie znajdzie



pan jakiś sposób na wydostanie nas stąd, pozwolimy panu zabrać po drodze kilka klejnotów.

To oczywiście rzuciło całkiem nowe światło na sprawę.

Pozwoliłem jednej z żon braci odprowadzić się do małej chaty. Rozciągnąłem się w hamaku, dzieląc uwagę między dziewczynę a sytuację, w której się znalazłem. Większość nocy zajmowałem się na przemian jedną i drugą. O świcie znalazłem rozwiązanie.

Odszukałem Melorę. Była równie skłonna do żartów jak wcześniej, to znaczy wcale. Poinformowałem ją, że znam sposób przemiany ich bogów i małżonków w dwóch szczęśliwych domatorów.

– Naprawdę? – spytała, rozwierając szeroko oczy.

– Proszę mi wierzyć.

– Nie wiem, jak się panu odwdzięczę.

– Meloro, to zależy wyłącznie od pani – stwierdziłem.

– Co mam zrobić?

– Wziąć kilka rubinów lub szmaragdów z miejsca, w którym je trzymacie, a później wybrać się na małą wycieczkę handlową do Germistonu zamiast mnie.

Musiałem wyjaśniać me zamiary trzy albo cztery razy, zanim w końcu pojęła. Prócz tego przypomniałem jej o konieczności zabrania ze sobą dwóch żwawych młodzieńców, którzy mieli wtaszczyć do krateru mój nabytek.

Melora wyszła około południa. Niedługo potem wyjąłem Pismo Święte i postanowiłem sprawdzić, czy nie zdołam przynieść trochę prawdziwej religii tym białym poganom i zmusić ich do porzucenia fałszywych bogów na wypadek, gdyby pierwszy plan się nie powiódł.

No cóż, poświęciłem temu ponad dziesięć dni i nikt się jakoś nie nawrócił. Powspominaliśmy za to dawne czasy, śpiewając psalmy i starając się dorównać zachowaniem i osiągnięciami owym wszystkim świętym mężom, zwłaszcza pod względem błogosławionego stanu, jakiego przysporzyli.

Malaloki potrafili całkiem nieźle kucharzyć i byli pierwszymi potomkami Rzymian, którzy nie dusili wszystkiego w pomidorach i serze *mozzarella*. Bracia Schmidt nauczyli ich wytwarzać wino ze sfermentowanych owoców. Wykręcało usta, ale dodawało człowiekowi nielicznego wigoru, toteż między jedzeniem, piciem i przysparzaniem błogosławionego stanu zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak się palą do ucieczki.

Dwadzieścia dni później Melora wróciła w towarzystwie dwóch swoich kompanów, ciągnących za sobą stos paczek. Kazałem wrzucić majdan do mojej chaty, zanim bracia to zobaczą, i wziąłem się do pracy. Poskładawszy wszystko jak należy, sprawdziłem działanie, po czym zwołałem Długiego Schmidta i Krótkiego Schmidta.

– Co ma pan nam do pokazania, doktorze Jones? – zapytał Długi.

Położyłem między nimi słuchawki i puściłem w ruch korbę od prądnicy.

– *Piraci prowadzą dwa zero w siódmej, a John McGraw zdejmuje Heinie Groha, zastępuje go Frankie Frischem do biegaczy na pierwszej, i...*

Wyrwałem lampę z odbiornika i roztrzaskałem o podłogę chaty.

– Mój Boże! – jęknął Krótki Schmidt. – Coś pan zrobił?

– Nic wielkiego – odparłem uprzejmie. – Mam zakamuflowaną drugą.

– Gdzie? – wrzasnął Długi Schmidt z cierpieniem w głosie.

– No wiecie? Jeśli wam powiem, to już nie będzie zakamuflowana, prawda?

– Wsadź lampę! – wrzasnął Krótki Schmidt.

– To moje radio – odparłem. – Sam je złożyłem, podłączyłem do prądnicy i nawet rozciągnąłem dwieście metrów anteny na stoku wulkanu. Wsadzę ją, kiedy będę miał ochotę znowu posłuchać

radia. Na razie zamierzam uciąć sobie małą drzemkę.

– Oddasz życie! – ryknął Długi Schmidt, a na brodatą twarz polały mu się fale łez.

– To wam nie zwróci lampy – westchnąłem.

– Czego pan żąda w zamian? – zaszlochał Krótki, padając na kolana.

– Och, niczego wielkiego. Najwyżej wolności dla mnie i garści klejnotów, abym mógł przetrwać trudne chwile.

– To miała być pańska nagroda za wyciągnięcie nas stąd

– zauważył Długi Schmidt skruszonym tonem.

– Zastanówcie się przez chwilę nad swoją sytuacją! – rzuciłem.

– Macie tyle żon, że nie sposób się opędzić, macie intratne posady do końca życia bez noszenia ciężarów i macie Piratów z Pittsburgha kilka chat dalej. Macie więcej drogich kamieni, niż zdaniem niejednego człowieka w ogóle istnieje na świecie, piękną pogodę, trzy solidne posiłki dziennie. Naprawdę chcecie się stąd wynieść?

Zetknęli się głowami i przez moment mamrotali do siebie pod nosem. Następnie Krótki Schmidt poszedł do swojej chaty i po chwili wrócił z metalowym pudłem.

– Jedna garść – oświadczył. – Ani ziarenka więcej.

Sięgnąłem, nabierając pełną dłoń rubinów, szafirów oraz podobnych błyskotek i utknąłem wszystko po kieszeniach. Potem zaprowadziłem braciszków za moją chałupę do pewnego miejsca, które wcześniej oznakowałem, wykopałem palcami jakieś dziesięć albo dwadzieścia centymetrów ziemi i wręczyłem im lampę.

– Mogę coś dla panów zrobić po powrocie do cywilizacji?

– spytałem, szykując się do wymarszu i patrząc, jak majstrują przy radiu. – Nie chcecie, bym przekazał kilka wiadomości?

– Niech pan napisze do naszych kumpli w Pittsburghu, że jesteśmy cali i zdrowi – odparł Krótki Schmidt. – I może przekaz pan jakoś Piratom, że muszą częściej rzucać lewą ręką.

W tym momencie Giganci zwiększyli przewagę z ośmiu punktów do jedenastu i zrozumiałwszy, że nie ma sensu rozmawiać z braćmi więcej, skoro całą energię poświęcają na obrzucanie mięsem Johna McGrawa, pomachałem im na pożegnanie i odszedłem.

Melora, po raz pierwszy od naszego spotkania, uśmiechnęła się do mnie, wyprowadziła mnie ze wsi i służyła jako przewodniczka w tunelu. Nawet nie zareagowała krzykiem, gdy o mały włos znowu nie złapałem jej za rękę.

W końcu znaleźliśmy się na zewnątrz krateru. Z prawdziwą kurtuazją pocałowałem Melorę na pożegnanie i z majątkiem w kieszeniach wyruszyłem na łono cywilizacji. Dodawała mi skrzydeł radosna świadomość, że ja i Bóg staniemy się w końcu współwłaścicielami bazyliki Świętego Łukasza.

# Rozdział 10

## WŁADCA DŻUNGLI

Właszerując w kierunku północnym następne dwa tygodnie dyskutowałem z Panem Bogiem o tym, jaką część naszego skromnego majątku przeznaczyć na budowę samej bazyliki, a jaką zachować na nasze utrzymanie. Co więcej, przekonałem się, że posiadanie kieszeni wypełnionej klejnotami jest diabło różne od snów o nich. Jako człowiek zamożny, tak strasznie bałem się rozbójników i innych łotrów, napadających na porządnych obywateli, że starannie omijałem wszelkie miasta i placówki wojskowe. Raz nawet musiałem zatoczyć ogromne koło, które zamiast dać mi szansę napotkania safari, jakie ponoć odbywało się w tych stronach, zepchnęło mnie ze szlaku dobre sześćdziesiąt kilometrów.

No i przez to całe manewrowanie w końcu zablądziłem. Zacząłem wpadać z jednego lasu na drugi i wiedziałem już, że jestem w tarapatkach, ponieważ Brytyjski Wschód nie obfituje w lasy. Wkrótce zniknęły także wszelkie odstępki pomiędzy nimi, a później zaczęło bez przerwy padać i doszło do tego, że oddałbym chętnie boską dolę kamieni za płaszcz przeciwdeszczowy i mapę. Jakby tego było mało, stopniowo nabierałem przekonania, że obserwują mnie jakieś niewidzialne oczy, a bogate doświadczenie, zdobyte na Czarnym Łądzie, ostrzegło mnie, że jest to najgorszy rodzaj oczu, jakie mogą obserwować człowieka. Wreszcie któregoś dnia zobaczyłem w oddali ogromne męskie kształty. Przekonany, że trafiłem do krainy goryli, spędziłem wiele bezsennych godzin rozmyślając, czy goryle jedzą, czy też nie jedzą ludzi. Zacząłem nawet zdzierać korę z drzew i wydawać pomruki w nadziei, że potraktują mnie jak swego, lecz później doszedłem do wniosku, że jak na goryla wyglądam zbyt kobieco i nie chcę stawać do walki z roznamiętnionym gorylim, czy nawet szympansim samcem, gdyby doszło do najgorszego. Tak więc zacząłem na powrót maszerować jak Bóg przykazał atrakcyjnemu, bogobojnemu, białemu mężczyźnie, którym przecież jestem.

Parę kolejnych dni spędziłem w brudzie i błocie najniższego piętra lasu. Gdy byłem już prawie pewien, że zablądziłem na amen, świsnęła mi przed nosem strzała, wbijając się z głuchym hukiem w wielkie, stare drzewo, pod którym właśnie oklapłem. Podniosłem wzrok w samą porę, by ujrzeć wysokiego, opalonego na brąz męczyznę białej rasy, nie noszącego na sobie niczego poza sztyletem i przepaską na biodrach. Wyszedł zza krzaka, ściskając w prawej dłoni łuk i dwie strzały.

- Co pan robi w mojej dżungli? – zapytał niskim, surowym tonem.
- Szukam wyjścia, bracie – odparłem szczerze.
- A kim pan jest? – pytał dalej, świdrując mnie wzrokiem.
- Przewielebny, czcigodny doktor Lucyfer Jones, do usług
- przedstawiłem się, częstując go odświętnym uśmiechem. – Tanie prawienie kazań i zbawianie, zniżka na grupowe pogrzeby.
- To świetnie! – zawołał z przejęciem, po czym głęboko odetchnął z wyrazem ulgi na twarzy.
- Bałem się, że przysłali pana Barrow, Phillips i Smythe.
- Co to za jedni?
- Moi brytyjscy wierzyciele.
- Mogą tropić pana aż tutaj?
- Nie ma pan pojęcia, jak zaciekle potrafi być ich determinacja
- stwierdził. – Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem John Caldwell, lord Bloomstoke.
- Proszę się zdecydować.

– Nie rozumiem?

– Kim pan jest – Johnem Caldwellem, czy lordem Bloomstoke.

– Jednym i drugim. To drugie to tytuł. Niestety, utrzymanie go kosztuje dziś grubo więcej niż kiedyś i w końcu musiałem uciekać z kraju przed wierzycielami i zgrają ich adwokatów.

– Ale dlaczego tutaj? – zdziwiłem się. – Od tygodni spotykam jedynie robaki i pojedyncze małpy.

– Sądziłem, że kupuję nowoczesną plantację – przyznał się.

– Wyobraża pan sobie moje zdziwienie na widok piętnastu kilometrów kwadratowych puszczy tropikalnej Ituri.

– Od kogo pan ją kupił? – spytałem przez czystą ciekawość.

– Od pośrednika z absolutnie wiarygodnymi listami polecającymi – odparł Bloomstoke. – Jak on się właściwie nazywał? Ach, tak

– von Horst.

– Jakżeby inaczej – westchnąłem.

– Pan go zna?

– Poniekąd – bąknąłem, nie chcąc rozwodzić się nad tym dłużej.

– Jak długo jest pan już poza domem?

– Już cztery lata, jeśli się nie mylę.

– Kawał czasu na błąkanie się po buszu – zauważyłem. – Co pana trzyma przy zdrowych zmysłach?

– Och, często rozmawiam z towarzyszami.

– Z przyjaciółmi? – powtórzyłem. – Zakamuflował pan w okolicy paru kolegów?

– Niech pan patrzy – odparł ze śmiechem, a potem włożył palce do ust i wydał dziwny gwizd.

Chwilę później na polanę widoczną trzydzieści kroków dalej wypadła para goryli. Bloomstoke z miejsca zaczął przemawiać do nich jakimś gardłowym językiem, którego w życiu nie słyszałem, małpy zaś pokiwały głowami i zniknęły w lesie.

– Mam uwierzyć, że pana rozumieją? – zapytałem.

– Każde słowo – odpowiedział. – Studiowałem francuski w Oxfordzie. Prawie nie ma różnicy, może tylko małpy mają nieco bardziej mgliste pojęcie o futurum imperfectum, jeśli tylko nie odnosi się do szukania robaków.

– Pan się oczywiście ze mnie nabija?

Uśmiechnął się.

– Nic a nic – odparł. – Jeśli ma pan dla nich jakieś wiadomości, z radością przetłumaczę je dla pana. Musi pan jedynie uważać na idiomy. Gdybym miał przełożyć powiedzmy to zdanie o nabijaniu się z pana i zapomnę zejść o pół tonu przy podwójnym *arrgetch*, natychmiast wrócą nabić panu guza. Mimo tego rodzaju drobnych zawłości lingwistycznych odbywamy całkiem interesujące dysputy. Nie twierdzą oczywiście, że potrafią dyskutować o *Państwie* Platona z jakąkolwiek głębią myśli, ale z drugiej strony nie są w stanie w ogóle dyskutować o Sartrze i Kartezjuszu, co jeśli o mnie chodzi, można tylko zapisać im na plus.

– I mieszka pan wśród tych goryli?

– O, tak – stwierdził radośnie. – Dzięki swej fizycznej sprawności faktycznie dotarłem na sam szczyt ich drabiny społecznej.

Widzi pan, małpy walczą o wszelkie stanowiska przywódcze. W tym momencie – dodał nie bez pewnej dumy w głosie – jestem sekretarzem drugiego wiceprezydenta.

– Mhm, dałbym głowę, że mają króla – mruknąłem, kręcąc głową ze zdumienia.

– Ach, mieli, mieli, póki nie zaczęliśmy omawiać zagadnień właściwych monarchiom konstytucyjnym – odparł Bloomstoke. – Aktualnie mamy bardzo ograniczoną republikę, lecz nie spoczną, póki nie wprowadzimy prawdziwego socjalizmu.

– Cóż, bracie Bloomstoke – zauważyłem – zaiste wygląda na to, że dokonałeś wielkiego dzieła w ciągu marnych czterech lat.

– Dziękuję – odparł. – Ale jest jeszcze tyle do zrobienia! Mój Boże, zdaje pan sobie sprawę, że nie postawiliśmy nawet pierwszego kroku w kierunku realizacji systemu zbiorowej opieki medycznej?

– Rozumiem, że większość nagłych wypadków medycznych pochodzi stąd, że zostanie się zjedzonym przez lwa bądź panterę, i jako takie przekraczają ramy systemu zbiorowego?

– To prawda – przytaknął. – Ale nie można mieć biurokracji i nie dać jej niczego do roboty. Byłoby to czyste marnotrawstwo. Nie, doktorze Jones, jestem wdzięczny za miłe słowa, naprawdę, ale czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy!

– Zdaje się, że wykonał jej pan aż nadto – stwierdziłem uspokajająco.

Potrząsnął głową ze smutkiem.

– Nawet wojsko wydaje się działać nieskutecznie.

– Macie wojsko?

– Oczywiście. Nasza gospodarka leżała w ruinie. Nie widzieliśmy lepszego sposobu na jej ożywienie niż wybuch małej wojny.

– Z kim chcecie wojować – ze słoniami?

– Ta kwestia nie stanęła jeszcze na porządku dziennym. Kiedy gospodarka wejdzie na wysokie obroty i będziemy gotowi, znajdziemy nieprzyjaciela.

– Rozważaliście ewentualność, że możecie ugryźć więcej, niż zdołacie przełknąć? – spytałem łagodnie.

Czasami mam takie obawy – przyznał, wzdychając głęboko. – To znaczy, opowiadam im o Romeo i Julii, o Arturze i Guinevere, a one tylko by wchodziły w proste związki z innymi małpami. W porządku, mogę to zaakceptować, mówię poważnie, ale kiedy próbuję dyskutować o etatyzmie państwa opiekuńczego, one wolą obierać banany... – Głos mu się załamał, a przystojna twarz wykrzywiła się, jakby z wysiłkiem powstrzymywał męski szloch.

– Proszę na to spojrzeć z jaśniejszej strony – odparłem. – Cieszy się pan dobrym zdrowiem, nie siedzi w więzieniu za długi i nawet opanował pan ich język.

– Wiem. Nieraz ogarnia mnie jednak wielkie zniechęcenie. Wie pan, jak jest po gorylemu "księżyc"? *Koblooga!* Niech pan spróbuje napisać wiersz i usłyszeć te piekielne rymy do *koblooga!* Pod pewnym względem ten język jest jeszcze głupszy niż francuski.

– Przecież nikt panu nie każe wiązać się z nimi – wskazałem.

– Mimo wszystkich swoich wad są lepsi od ludzi – odparł gorączkowo. – Nie oszukują przy kartach, nie głosują na kapitalizm *laissez-faire* ani nie mieszają drinków...

– Ja tylko wskazuję alternatywę – rzuciłem natychmiast.

– Wiem. Ostatnio mam skłonność do zachowań emocjonalnych. Podejrzewam, że źródło ich sięga jeszcze moich kłopotów z Bar-rowem, Phillipsem i Smythe'em.

Miałem już wypowiedzieć jakąś pokrzepiającą uwagę, gdy raptem z kryjówki położonej dalej niż dwieście metrów wyszedł olbrzymi goryl płci męskiej, przyjrzał nam się dłuższą chwilę smętnym wzrokiem i odszedł w gąszcz.

– To George – powiedział Bloomstoke. – Na pewno próbuje taktownie dać mi do zrozumienia, że czas na zwołanie Rady Za rządzącej.

Zza drzewa nie dalej niż o trzy kroki na lewo wyszedł jeszcze jeden goryl i zbliżył się do mnie.

– To tylko George – oznajmił spokojnie Bloomstoke. – Przyszedł, aby zobaczyć, kim pan jest.

– Ale przed chwilą był o ćwierć kilometra stąd!

– Nie, to był inny.

– Obu nazywa pan George'ami?

– Wszystkie – odparł. – Pomaga to upowszechniać ideę, że państwo jest ważniejsze od jednostki.

George zbliżył głowę na niecałe pięć centymetrów od mojej i spojrzał mi prosto w oczy swoimi małymi, przekrwionymi ślepiami. Zęby miał trochę przegniłe, z gęby cuchnęło mu jeszcze gorzej niż Holendrowi, i choć bardzo chciałem odwrócić głowę, postanowiłem nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

W końcu George obrócił się w stronę lorda Bloomstoke i wykrztusił z siebie kilka dźwięków, na co lordowska wysokość zareagował wykrztuszeniem podobnych, a następnie zwrócił się do mnie.

– Pyta, czy jest pan Wigiem czy Torysem – powiedział.

– Muszę przyznać, że nie jest to zagadnienie, nad którym ślęcę godzinami.

Pogardłowali znowu między sobą, wreszcie George warknął do mnie z cicha na do widzenia i wrócił do swojej dżungli.

– Powiedziałem mu, że należy pan do anarchistów – oznajmił Bloomstoke. – Było to łatwiejsze niż tłumaczenie, dlaczego nie zdecydował się pan korzystać z pełni praw obywatelskich.

– Zostawiłem to ojczulkowi – wyjaśniłem. – Nie odpuścił żadnemu ze swych praw obywatelskich. Wcześniej i często stawiał dziesiątaka albo kieliszek czystego bourbona z Kentucky na tego konkurenta, który szybciej chwycił za rewolwer.

– Ciekawy pomysł – zauważył Bloomstoke. – Może będę musiał go wkrótce przedłożyć. Widzi pan, mamy wśród nas szeryfa i żandarma, i policję, ale pojęcie łamania prawa jest tutaj absolutnie nieznane, co fatalnie wpływa na morale urzędników państwowych.

Cóż, wszystko to było dla mnie zbyt skomplikowane, toteż szedłem w milczeniu obok lorda Bloomstoke, który nakreślał mi swoje imponujące plany. Mądrzył się tak chyba godzinę, kiedy nagle usłyszeliśmy daleki wystrzał z karabinu.

– Kolejna próba rozszerzenia terytorium! – wymamrotał z błyskiem w oku. – Trzeba z tym skończyć. Jak panu idzie szybkie pokonywanie leśnych arterii?

– Ma pan na myśli huśtanie się na lianach, jak nie przymierzając małpa?

Kiwnął głową.

– Bracie Bloomstoke, mam dość kłopotów, z tym aby utrzymać się na krętym szlaku w gęstwinie zarośli, a i tak pociesza mnie świadomość, że gdybym się poślizgnął i przewrócił, upadnę na ziemię szybciej niż po dwudziestu lub trzydziestu sekundach i zapewne nie odbiję się jak piłka. Pokonuj te arterie sam.

– Chętnie bym to zrobił, ale nie mogę zostawić pana samego wśród małp – odparł. – Nigdy jeszcze nie widziały anarchisty i trudno przewidzieć, jak się zachowają.

Z tymi słowami stulił dłonie przy ustach i wydał z siebie okrzyk, którego nie powstydzilby się żaden z Enochów Ali ben Ishaka, dopóki nie posiadli na stałe piskliwego głosu. Nie miałem pojęcia, co jest grane, póki dwie minuty później nie wypadł z hukiem spośród krzaków ogromny słoń. Miażdżąc drzewa na lewo i prawo, wszedł w ślizg kontrolowany i zatrzymał się przed lordem Bloomstoke.

– Goola, mój przyjacielu – pozdrowił bestię, wychodząc na przód i głaszcząc słońca po trąbie. Uznałem, że wszystkie te działania nabiorą więcej sensu, jeśli będzie się je obserwować zza grubego

pnia.

– Doktorze Jones, niech pan pozwoli – zawołał do mnie Bloomstoke.

– Goola zapewni nam transport.

– Skąd wiadomo, że ja nie zapewnię mu małej przekąski?

– spytałem, bo według mnie, Goola zdecydowanie wyglądał na przymierającego głodem, w przekonaniu tym utwierdzało mnie zresztą donośne burczenie w jego brzuchu.

– Goola zrobi to, co mu każe – odparł z naciskiem Bloomstoke.

– Proszę tu podejść i przekonać się samemu.

– Nie znam się na tym – westchnąłem zza mojego drzewa.

– Nie może zjeść tego, czego nie widzi.

– Słonie są jaroszami.

– Oraz krótkowzroczne – zauważyłem. – Może wyglądam dla niego jak gałąź z jakiegoś liściastego drzewa?

– Jeśli znowu będę musiał pana prosić – oznajmił surowym tonem – po prostu zostawię pana w lesie.

Natychmiast omówiłem obie ewentualności z Cichym Wspólnikiem i doszliśmy do zgodnego wniosku, że alternatywa pozostania w lesie była tylko o włos mniej przyjemna od dwóch okropnych możliwości, toteż wolno, pojedynczymi krokami, uwolniłem się spod opieki mojego drzewa i stanąłem naprzeciw słońa.

– Daj mu pan do powąchania wierzch swojej dłoni – powiedział Bloomstoke.

Wyciągnąłem rękę i Goola wziął porządnego niucha, o mało nie wyrwawszy mi przy okazji ręki ze stawu.

– Znakomicie! – ucieszył się Bloomstoke. – Teraz jesteśmy przyjaciółmi. Goola, podnieś nas na górę!

Słoń pogrzebał trzy razy w ziemi prawą przednią nogą.

– Nie, Goola – westchnął Bloomstoke. – Podnieś!

Goola klapnął ciężko na zad, wyciągając w górę głowę i przednie nogi.

– Podnoś, do diabła!

Goola przekręcił się na grzbiet i zamknął oczy.

– Idiota! – warknął Bloomstoke. Nie opuszczała mnie myśl, że powinniśmy rzucić mu rybę czy coś w tym rodzaju, ale mój kompan z furią ruszył przed siebie szybko wyciągając nogi. – Chodź pan, Jones. Idziemy pieszo!

Kiedy pokonaliśmy jakieś sto metrów, Goola zadął w trąbę sześć albo siedem razy, potem zaś stanął na głowie. Wzięliśmy ostry zakręt w lewo wokół ciernistego krzewu czepoty i od tej chwili na zawsze straciłem go z oczu, choć dawał się jeszcze słyszeć przez mniej więcej dziesięć minut.

Szliśmy starym szlakiem nosorożców w kierunku, z którego dochodziły strzały. Po upływie pół godziny Bloomstoke wyciągnął rękę, o mało nie miażdżąc mi jabłka Adama, a kiedy runąłem na ziemię, charcząc i nie mogąc zaczerpnąć powietrza, położył palec na ustach.

– Cisza – wyszeptał.

Już ja bym mu powiedział, co myślę o jego ciszy, ale byłem trochę zaabsorbowany duszeniem się na śmierć, więc tylko spiorunowałem drania wzrokiem i w cichości ducha nakłaniałem Pana, aby pozbawił go życia albo mowy, co woli.

Odzyskawszy oddech podniosłem się w samą porę, by zobaczyć, że Bloomstoke sady wielkimi krokami z lasu na polanę przed oblicze jakiegoś konusowatego mężczyzny białej rasy, ubranego w strój khaki.

- Coś pan za jeden, żeby wdzierać się do mojej dżungli?
- Jestem Łapacz Clyde Calhoun – odparł biały, nie okazując najmniejszego lęku ani zaskoczenia. – Pan natomiast jesteś albo najsilniejszym białym mężczyzną, bądź najcherlawszym gorylem, na jakim kiedykolwiek spoczął mój wzrok.
- Jakie interesy sprowadzają tu pana?
- Interesy? – roześmiał się Calhoun. – Nigdy w życiu nie czytał pan moich książek, nie oglądał moich filmów? Jestem Łapacz Clyde! Kolekcjonuję najbardziej niebezpieczne stworzenia na świecie – prócz rudowłosych o imieniu Thelma – i przywożę je żywe do mego cyrku albo oddaję ogrodom zoologicznym, kuchniom dla smakoszy, bądź innym zainteresowanym gronom.
- Jakich zwierząt pan szuka? – spytał Bloomstoke.
- Goryli. Liczyłem, że sprowadzę piętnaście albo dwadzieścia sztuk, zanim całkiem wyginą.
- Wyraźnie słyszałem huk wystrzałów – powiedział Bloomstoke.
- Nie wątpię – odparł Calhoun, pokazując nam karabin wojskowy lee-enfield 303.
- Przynajmniej ja bym nie miał wątpliwości na pańskim miejscu.
- Zdaje się, że wspominał pan o sprowadzaniu ich żywymi
- zauważył Bloomstoke oskarżycielskim tonem.
- Może powinienem to trochę przeredagować. Żyją te, które przywożę ze sobą. Chwytam starą Betsy, celuję między oczy i pociągam za spust. Jeśli jeszcze oddycha, krępuję i odstawiam na łono cywilizacji.
- Gdzie jest pański obóz? – pytał dalej Bloomstoke.
- Jakieś trzynaście kilometrów za mną. Nie sposób nie zauważyć. Mam trzystu tragarzy, tuzin naganiaczy, dwóch tłumaczy i czterdziestu trzech weterynarzy.
- Wyszedłem z lasu na polanę i stanąłem obok lorda Bloomstoke.
- A pan kim jesteś, u licha? – zdziwił się Calhoun.
- Przewielebny doktor Lucyfer Jones, do usług – przedstawiłem się.
- Umie pan odprawiać ceremonie pogrzebowe dla hipopotamów?
- Na razie nie próbowałem – wyznałem.
- No to będzie pan musiał wykonywać usługi komuś innemu, wielebny – stwierdził Calhoun.
- Na nic mi się pan nie przyda.
- Nie planuje pan powrotu do Nairobi w najbliższej przyszłości?
- spytałem.
- Zaraz jak tylko złapię moje goryle.
- Mógłbym się przyłączyć?
- Czemu nie? – bąknął. – Co pan u licha robi w Kongo?
- Jak zwykle robię wszystko, aby się zgubić – odparłem.
- A pan? – zwrócił się do lorda Bloomstoke. – Pan też wraca do Nairobi?
- To jest moja dżungla – odparł, krzyżując ramiona na masywnej klatce piersiowej. – Nie zostawię jej na pastwę losu, pan zaś nie będzie w niej polował.
- Do kogo pan mówi? – ryknął Calhoun. – Nazywam się Łapacz Clyde, na Boga, i będę polował, gdzie mi się podoba!
- Ta dżungla należy do mnie i nie pozwolę panu molestować moich goryli – oznajmił Bloomstoke.
- Uważa mnie pan za jakiegoś zboczeńca? Nie zamierzam ich molestować! Chcę je łapać!
- Nie – rzucił Bloomstoke. – A teraz, niech się pan wynosi z mojej dżungli.
- A właściwie jakim prawem ta dżungla należy do pana?



Bloomstoke błyskawicznym ruchem sięgnął za przepaskę i wyjął zwitek dokumentów, które wręczył Calhounowi.

– Psiakrew! – warknął Calhoun, przeczytawszy papiery. – Nie wiedziałem, że można sprzedać dżunglę.

– Ja też nie – powiedział Bloomstoke.

– Kto ją panu sprzedał? – spytał Calhoun.

– Pośrednik o nazwisku von Horst – odparł Bloomstoke.

– Jakżeby inaczej – zauważył Calhoun.

– Dlaczego wszyscy tak mówią? – zdziwił się Bloomstoke.

– Powiedziałbym panu, ale wiąże się z tym wiele przykrych wspomnień – odparł Calhoun. – Nie wydzierżawiłby mi pan kawałka swojej dżungli albo chociaż udzielił opcji na kupno?

– Pieniądze przydałyby mi się – przyznał Bloomstoke. – Musiałbym jednak przedstawić pańskie życzenie gromadzie i uzyskać jego aprobatę. Muszę dodać, że patrzę krzywym okiem na wszystko, co zalatuje kapitalizmem.

– Gromada? – spytał Calhoun. – Jaka gromada? Nie miałem pojęcia, że w tych stronach mieszkają jacyś tubylcy.

– Ta gromada jest nieco bardziej tubylcza niż inne – wtrąciłem.

– Nie – podjął Bloomstoke, potrząsając markotnie głową. – Nigdy nie skłonię Rady Zarządzającej do wyrażenia zgody.

– A jeśli obiecuję, że mogą zachować prawa do bogactw mineralnych? – spytał Calhoun.

– Wątpię – mruknął Bloomstoke.

– No dobrze – westchnął Calhoun. – Mam jeszcze jedną propozycję. Dostaję cztery tysiące funtów za każdego goryla. Jeśli pozwoli mi pan polować w swojej dżungli i udzieli mi pomocy, podzielę się z panem pół na pół.

– Ile goryli panu trzeba?

– Około dwudziestu.

– Ja zaś jestem winny Barrowowi, Phillipsowi i Smythe'owi trzydzieści osiem tysięcy funtów – zadumał się Bloomstoke. Następnie potrząsnął głową. – Nie! Po prostu nie mogę. Platon i Sokrates mogliby zrozumieć, ale Święty Akwinus byłby mnie ukrzyżował.

– A George pożarł na śniadanie – wtrąciłem.

– O czym wy u diabła mówicie? – spytał Calhoun.

11 – Lucyfer ...

– Pogadam z nimi o krótkoterminowej dzierżawie – oznajmił Bloomstoke, chwytając najbliższą gałąź i wciągając się na górę.

– Może zdołam ich przekonać, że socjalizm niekoniecznie musi obalać każdą zasadę kapitalizmu.

Skoczył w powietrze, chwycił najbliższą lianę i niebawem przemykał po wierzchołkach drzew na spotkanie ze swoją gromadą.

– Proszę mi coś powiedzieć, wielebny – odezwał się Calhoun. Podpierał baobab i zapalał fajkę.

– Jeśli będę potrafił – odparłem z życzliwością.

– Kiedy Amerykanie tracą rozum, biją swoje żony i wydają oszczędności całego życia na alkohol, co przynajmniej nie pozwala zgnuśnić ich kobietom i wpuszcza z powrotem trochę pieniędzy do gospodarki. Kiedy zaś Irlandczycy dostają bzika, uciekają z domu, wstępują do IRA i pomagają hamować przyrost naturalny na bardzo zatłoczonej wysepce. – Urwał. – Czemu więc Anglicy biegają nago w tropikach, ilekroć odbije im szajba?

Wyznałem, że nie mam zielonego pojęcia, ale moja praktyka potwierdzała, że tak właśnie jest. Wyjął małą metalową piersiówkę, dał mi się napić i zaczęliśmy rozmawiać o tym i o owym, przyjemnie zabijając czas. Nagle usłyszeliśmy straszny jazgot dochodzący z głębi lasu.

– Co to? – spytał Calhoun.

– Trudno powiedzieć – odparłem.

– Brzmi tak, jakby zgraja dzikusów wrzeszczała w ataku furii

– stwierdził, chowając flaszkę.

Chwilę później nad naszymi głowami usłyszeliśmy hałas i zobaczyliśmy, że Bloomstoke opuszcza się z jednej gałęzi na drugą, aby w końcu wylądować na ziemi obok nas.

– Prędeż! – zawołał. – Nie ma czasu do stracenia!

– O czym ty mówisz, bracie Bloomstoke? – zdziwiłem się.

– Musimy uciekać!

– Ale co się stało? – nalegałem.

– Uznały mnie za kryptoimperialistę i wyrzuciły z partii! Mnie, który dał im czternastoletni plan odnowy rolnictwa!

– Co on plecie, wielebny? – spytał Calhoun.

– Zdaje się, że jego wiza straciła ważność i grozi mu niebezpieczeństwo deportacji – odparłem, dotrzymując kroku lordowi Bloomstoke, gdy ten ruszył biegiem na wschód.

– Na pewno musimy uciekać? – wysapał, dołączając do mnie Calhoun.

– Ja – tak. A pan niech robi to, co uważa za najlepsze.

Po mniej więcej trzech godzinach dotarliśmy do obozu Calhouna. Goryle ustawiły się w ogromnym półkolu poza zasięgiem broni palnej i cały czas wydawały ku nam jakieś okrzyki, które Bloomstoke przetłumaczył na "kapitalistyczne świny", "imperialistyczni podżegacze" i "tchórzliwe psy". Od czasu do czasu któryś z nich krzyknął "brzydkie, nagie małpy, nie mają tyle rozumu w głowie, żeby przekreślić zgniłą kłodę i znaleźć garść tłustych, soczystych robaków", co Bloomstoke przyjmował z uśmiechem. Pocieszył nas, że nie wszystkim członkom plemienia udzielił się tak radykalny nastrój.

Nazajutrz rano było oczywiste, że goryle nie zamierzają podejść bliżej i że Bloomstoke nie pozwoli nikomu polować w swojej dżungli. W związku z tym Calhoun oświadczył, że mniej więcej za godzinę wyruszamy do Nairobi. Bloomstoke wydał jeden z tych swoich okrzyków i kilka minut później stary Goola ociężale wybiegł z buszu.

– Nie strzelać – rzucił Bloomstoke, kiedy Calhoun chwycił za strzelbę.

– On nas rozdepcze! – powiedział Łapacz.

– Czyż nie jestem Władcą Dżungli? – spytał Bloomstoke z butnym uśmiechem. Uniósł dłoń i Goola zatrzymał się wpół kroku.

– Robi wszystko, co mu pan każe? – spytał Calhoun. Bloomstoke pokiwał głową.

– Nie myślał pan o występach w cyrku? – pytał dalej Calhoun.

– Potrzebowałbym trzydziestu ośmiu tysięcy funtów – oznajmił Władca Dżungli.

– Nie ma sprawy! – zawołał Calhoun.

– Wliczając słonia.

– Zobaczymy, co da się zrobić – stwierdził Calhoun, drapiąc się po głowie.

Bloomstoke podszedł do gruboskórca.

– Goola, siad! – rozkazał.

Goola podniósł puszczańskiego lorda swoją trąbą i usadowił go sobie na karku.

– Popracujemy nad tym – westchnął Bloomstoke. – Opuść mnie na ziemię, Goola.

Goola trzy razy pogrzebał w ziemi przednią, prawą nogą, co widząc Calhoun parsknął śmiechem i odszedł.

– Mogę być linoskoczkiem! – krzyknął w ślad za nim Bloomstoke. – Umiem znakomicie fruwać z drzewa na drzewo.

– Pomyślę o tym – odparł Calhoun.

– Albo strzelcem wyborowym! – ciągnął Bloomstoke. – Genialnie strzelam z łuku. Niech cię diabli, Goola... postaw mnie na ziemi!

Prawie cały dzień spędzili na dobijaniu targu, ale okazało się, że Calhoun miał już gromadę linoskoczków, poza tym musiałby zbyt dużo zapłacić za holowanie sterty drzew i lian po okolicy i ustawianie ich pod namiotem. Zresztą ludzie nie zapłaciliby grubszej gotówki za oglądanie znakomitych łuczników, chyba że na widowiskach z Dzikiego Zachodu, a tego rodzaju imprezami Calhoun nie zajmował się.

– Powiem panu, co zrobię – powiedział na koniec. – Nauczysz pan słonia pięciu sztuczek, nim dotrzemy do Nairobi, a ja dam panu trzydzieści osiem tysięcy funtów za występy w moim cyrku przez dwa lata.

– A jak nie?

– Wtedy kupię bydlę z miejsca za dziesięć tysięcy, pan zaś może się nająć jako poganiacz za normalną stawkę.

– Kapitalistyczna świnia! – wymamrotał Bloomstoke, ale przybił targu.

No cóż, przez całe życie nie napatrzyłem się tyle na słonia, nie mogącego opanować tylu sztuczek naraz, jak w ciągu trwającego pięć miesięcy marszu z Konga do Kenii. Bloomstoke kazał mu wstawać, a ten robił fikołka. Bloomstoke kazał mu się położyć, a ten zaczynał gadać. Bloomstoke kazał mu mówić, a słoń brał się do rachowania nogą. Kiedy byliśmy tylko dwa dni drogi od Nairobi, stało się jasne, że Bloomstoke skończy przy gnoju w stajni. Gdy wszyscy udali się na spoczynek, podszedłem do niego.

– Robisz to wszystko nie tak, bracie Bloomstoke – powiedziałem, odprowadziwszy go na stronę, aby nikomu nie przeszkadzać.

– Co pan ma na myśli, doktorze Jones?

– Posłuchaj pan. Każdy rozumie, że jeśli stary Goola nie jest opóźniony w rozwoju, to przynajmniej jest niezdolny do nauki, prawda?

Przytaknął ruchem głowy.

– Ale jest to również dobroduszne stworzenie, które lubi sprawa wiać radość, nawet jeśli nie ma zielonego pojęcia, co się do niego mówi.

– Do czego pan zmierza?

– Niech pan mu wydaje rozkazy po francusku, małpiemu, czy w jakimś innym języku – zasugerowałem. – Bez względu na to, co Goola robi następnym razem, proszę go pochwalić i zachowywać się tak, jakby dokładnie wykonał pańskie polecenie.

– To nieetyczne – odparł surowym głosem.

– Osobiście sędzę, że bardziej etyczne niż nędza, ale jeśli pan uważa inaczej, to trudno, pańska sprawa. Może pan machnąć ręką na moją propozycję.

Nazajutrz rano Bloomstoke zawołał Calhouna, dał Gooli kilkanaście zwięzłych poleceń po małpiemu i zaraz potem podpisał kontrakt na trzydzieści osiem tysięcy funtów.

Jeśli chodzi o mnie, pożegnałem się z Bloomstoke'iem, Calhounem oraz ich menażerią i wciąż

obladowany drogimi kamieniami pojechałem budować moją bazylikę w dalekim Nairobi.

# Rozdział 11

## NAJLEPSZA BAZYLICZKA W NAIROBI

Jeśli przejdziecie się ulicami dzisiejszego Nairobi i popytacie dookoła, być może znajdziecie jeszcze trzech albo czterech wapniaków, którzy pamiętają bazylikę Świętego Łukasza i z przyjemnością wam o niej opowiedzą.

Myślę zatem, że sprawiedliwość wymaga, abyście poznali również moją wersję wydarzeń.

Wkroczyłem do miasta dwie godziny po rozstaniu z Blooms-toke'iem i Calhounem i z miejsca odwiedziłem najbliższą agencję handlu nieruchomościami; nie znaczy to bynajmniej, że w nie obfitowało. W istocie, prócz hoteli Stanley i Norfolk, Nairobi nigdzie w nic nie obfitowało.

Tak czy owak, oznajmiłem facetowi za biurkiem, że chcę kupić mały kawałek ziemi w pobliżu centrum miasta celem postawienia bazyliki. Pospieszył z wyjaśnieniem, że choć może mi naturalnie sprzedać działkę, odczuwa się uciążliwy brak tarcicy, bo niemal cała została zużyta na podkłady wschodnioafrykańskiej linii kolejowej i koszty budowy wzrosły niebotycznie – to znaczy byłyby niebotyczne, gdyby ktokolwiek mógł sobie pozwolić na ich zapłacenie.

– Mam worek pieniędzy – odparłem. – Z drugiej strony oczywiście Pan uczy nas oszczędności. Tak, to stwarza mały kłopot.

– Drogi doktorze Jones – oznajmił – jest inne wyjście.

– Jakie?

– Można kupić gotową budowlę – zaproponował. – Na pewno wyszłoby taniej niż stawianie nowej, a ponadto mógłby pan wejść w jej posiadanie i wprowadzić się natychmiast.

– Dobrze, podoba mi się twój sposób rozumowania, bracie.

Powiem ci, jak postąpię. Poszukasz mi największego gmachu w mieście, wystawionego na sprzedaż.

– Mhm, doktorze Jones – westchnął. – Znam każdy szczegół wszystkich nieruchomości z aktualnego katalogu naszej agencji i nie sędzę, aby największy budynek nadawał się dla pana.

– Taka ruina?

– Nie, ale...

– No to biorę – rzuciłem rozstrzygająco. – Przygotuj pan dokumenty do podpisu. Wracam, gdy tylko wymienię te klejnoty i drogie kamienie na żywą gotówkę.

I Bóg mi świadkiem, że były to jedyne słowa, jakie w powyższej sprawie zostały wypowiedziane.

To znaczy, skąd u diabła miałem wiedzieć, że największym budynkiem w mieście jest Klub i Tawerna pod Bykiem i Kogutem albo że Klub i Tawerna pod Bykiem i Kogutem okażą się zupełnie czymś innym niż się wydawały?

W istocie, pierwszych podejrzeń nabrałem w momencie, gdy wybrałem się na miejsce podpisawszy dokumenty i omal nie zostałem rozdeptany przez rozszalały tłum brytyjskich urzędników kolonialnych, którzy wpadali tam na chwilę, aby się odświeżyć w drodze do domu po całym dniu uciążliwego rządzenia krajem. Tuż za drzwiami stało kilka pań w sukniach z wysokim karczkiem, rozdając broszurki i śpiewając psalmy.

– Dzień dobry siostrom – oznajmiłem, podchodząc do nich.

– Nie będzie dobrego dnia, póki to grzeszne gniazdo deprawacji nie zostanie na zawsze zamknięte – odparła jedna. – Weźmie pan którąś z naszych książeczek?

– Nie, dziękuję siostrze. Nie czytam nic poza Pismem Świętym. Ale może zechcecie mi powiedzieć, dlaczego wyróżniłyście akurat ten uroczy budynek spośród wszystkich domów w Nairobi?

– Tu nie chodzi o budynek, łaskawy panie – odparła druga. – Chodzi o to, co się tu dzieje: grzech i jeszcze raz grzech!

Przy końcu zdania kobieta podniosła trochę głos ze zdenerwowania i w rezultacie dwaj mężczyźni, spacerujący po drugiej stronie deptaku, usłyszeli ją i skręcili nagle pod Byka i Koguta.

– Grzesznicy! – krzyknęła za nimi pierwsza niewiasta. – Nikczemni degeneraci.

Słuchajcie, siostry – podjąłem. – Skoro jestem duchownym, może najlepiej będzie, jak wejdę do środka i spróbuję napęłnić bojaźnią Bożą niektórych grzeszników. Proszę jednak, byście zostały przy drzwiach i informowały wszystkich przechodniów, z jakim strasznym gniazdem rozpusty mają tutaj do czynienia.

– Och, już my im powiemy, wielebny! – krzyknęły zgodnym chórem.

– Zwłaszcza mężczyznom – dodałem.

Poczucie misji sprawiło, że oczy kobiet rozpromieniły się, zaś one same przytaknęły mi głowami, a ja tymczasem wszedłem do środka. Bar wyglądał tak samo jak inne bary w mieście, z wiszącymi na ścianach głowami lwów, lampartów, antylop kudu i bawołów, z chmarą masajskich garnków służących za spluwaczki. Jako niesamowicie bystremu obserwatorowi wystarczył mi widok sześciu lub siedmiu pierwszych pań snujących się dookoła w niewymownych, by pojąć, że albo wysiadła wentylacja, albo Pod Kogutem i Bykiem sprzedawano coś więcej niż tylko napoje chłodzące.

Przespacerowałem się trochę po parterze, wdychając z rozkoszą woń perfum i kadzideł, która unosiła się w powietrzu, i podziwiając szczerze elegancką, aksamitną draperię, harmonizującą z resztą dekoracji wnętrza. Nagle zderzyłem się z jeszcze jedną dziewczyną w stroju odpowiednim na wyjątkowo słoneczną pogodę.

– Dobry wieczór, siostrze – zagałem.

– Tydzień dopiero się zaczął, a pan już wskoczył w to wizytowe, niedzielne ubranie? – spytała.

– Nie martw się o moje ciuchy – odparłem uprzejmie.

– Jeśli moje pana nie martwią, to pańskie na pewno nie wytrącą mnie z równowagi. Czym mogę służyć, padre... coś w pozycji misjonarskiej?

– Powiedz mi raczej, jak znaleźć kogoś, kto tu rządzi.

– Chodzi panu o mademoiselle Markoff – odparła, wskazując na pokój u szczytu klatki schodowej.

Podziękowałem ślicznotce, poszedłem na górę i zastukałem do drzwi. Nie było odpowiedzi, otworzyłem je zatem i stanąłem przed blondynką o figurze, za którą Knute Rockne oddałby całą czwórkę rumaków z drużyny futbolowej Notre Dame. Miała ramiona, uda, barki i kark zaskakująco podobne do tych, jakie widziałem u przyjaciół i towarzyszy partyjnych lorda Bloomstoke. Była ubrana, a raczej owinięta, w strój haremowy z błękitnego atlasu, który wyglądał dość śmiesznie, a byłby wyglądał jeszcze śmiesz-

niej, gdyby jego właścicielka nie sprawiała tak groźnego wrażenia. Leżała na boku na włochatym dywaniku, sączyła przez słomkę drinka z wysokiego kieliszka, a w wolnej ręce trzymała ogromne cygaro. Stały za nią dwie inne kobiety, również przyodziane w atlas i noszące pióropusze we włosach, wymachujące wielkimi choć delikatnymi wachlarzami ze strusich piór nad jej spoconym ciałem.

– O co chodzi? – zapytała bardzo niskim głosem.

– Chciałbym się przedstawić – odparłem. – Jestem przewielebny doktor Lucyfer Jones. Jak interesy w branży konsjerskiej?

– Jeszcze jeden reformator – odparła tonem znużenia, podnosząc wzrok znad kieliszka.

– Najuprzejmiej przepraszam, madame Markoff, ale przede wszystkim jestem właścicielem domu.

– Proszę mnie nazywać mademoiselle Markoff. Jestem zbyt młoda i ładna na madame, a może jest pan przeciwnego zdania?

– spytała złowrogo.

– Absolutnie się zgadzam, mademoiselle – rzuciłem szybko, cofając się o krok.

– To dobrze – zarechotała w C na pierwszego dodanej dolnej.

– A zatem, jest pan właścicielem jakiegoś domu?

Wyjąłem dokumenty i pokazałem jej.

– O, do diabła! – warknęła odrzucając mi papiery. – Kiedy mamy się wynosić?

– Mademoiselle Markoff, dotknęła mnie pani do żywego – odparłem. – Przepędzenie na ziąb tych wszystkich słodkich i niewinnych pańienek byłoby gwałtem na chrześcijańskim miłosierdziu, zwłaszcza biorąc pod uwagę, ilu naszych klientów czeka na dole w kolejce.

Jej brwi na chwilę uniosły się w górę, a później posłała mi wysoki i szeroki uśmiech, który rozpoczął się przy lewym uchu i skończył w połowie drogi do prawego.

– Doktorze Jones – westchnęła – wygląda na to, że został pan właścicielem burdelu.

– Nie sądzę, mademoiselle. To nie byłoby w porządku, ja

– osoba duchowna i w ogóle.

Zaciągnęła się mocno cygarem, wydmuchała dym przez nos i wessała jedną trzecią kieliszka przez słomkę.

– Ja tu czegoś nie rozumiem – stwierdziła.

12 – Lucyfer ...

– Uważam, że człowiek o mojej pozycji nie powinien być właścicielem burdelu. Oczywiście, według mnie, wynajęcie domu publicznego drugiej osobie to zupełnie inna para kaloszy.

– Och! – wykrzyknęła szczerząc zęby jeszcze bardziej i pokazując po obu stronach garnitur złotych koronek. – A jakie są pańskie żądania?

– Mhm, nie chcę uchodzić za jakiegoś chciwca – odparłem.

– Przede wszystkim jednak będzie mi potrzebny pokój na dole na moją bazylikę.

– Co jeszcze?

– Połowa.

– Niech to szlag! – warknęła. – Nie jest pan wcale lepszy od poprzednika! Słuchaj pan, doktorze Jones: to są kulturalne pańienki, pełniące niezbędną, o ile nie poniżającą, służbę społeczną.

– A ile trzeba, by czuły się mniej poniżone?

– Sześćdziesiąt procent powinno wystarczyć – oznajmiła made-moiselle Markoff.

– Pięćdziesiąt pięć.

– Zgoda!

Przybiliśmy targu mocnym uściskiem dłoni.

– Nawiasem mówiąc, ile pani wyciąga? – spytałem, usiłując wtłoczyć z powrotem trochę krwi do ręki.

– Połowę utargu dziewcząt – oznajmiła bez zmrużenia oka.

– Cóż, .Miłosierny Pan uczy nas umiarkowania we wszystkim, domyślam się więc, że dotyczy ono również tych biednych, wyzyskiwanych pańienek – zauważyłem.

– Spryciarz z pana – stwierdziła mademoiselle, pozwalając, by jeden z jej blond loków opadł kokietyjnie na paciorkowate, czerwone oko.

– No cóż, pięknie dziękuję – bąknąłem, robiąc drugi krok do tyłu.

– Doktorze Jones, proszę usiąść obok mnie i napić się trochę

– westchnęła, klepiąc dłonią dywanik obok siebie. – Czuję, że będziemy się rozumieli doskonale.

Już miałem jej odpowiedzieć, kiedy budynek rozbrzmiał echem dwóch wystrzałów. Zaraz po nich dały się słyszeć głośne wrzaski i odgłosy kroków biegających tam i z powrotem po korytarzu i schodach. W końcu do pokoju wpadł jak burza wysoki, brodaty mężczyzna w mundurze policyjnym.

– Mademoiselle Markoff! – ryknął. – On zrobił to znowu! Trzeba z tym skończyć!

– Za pozwoleniem, bracie – wtrąciłem. – O co chodzi?

– Coś pan za jeden, do diabła?

– Przewielebny doktor Lucyfer Jones – przedstawiłem się.

– Tak się składa, że jestem nowym właścicielem.

Facet spojrział na mademoiselle Markoff, ta zaś skinęła głową.

– Miło mi pana poznać, doktorze Jones – odparł, wyciągając rękę. – Jestem porucznik Nigel Todd z nairobskiej policji. Czy wie pan, co naprawdę znajduje się w instytucji, którą pan właśnie zakupił?

– Cały personel bez wyjątku robi, co może, aby nieść pociechę duchowi Człowieka, każdy i każda na swój indywidualny sposób

– oznajmiłem, ściskając jego dłoń.

– Niezupełnie każdy – stwierdził ponuro Todd.

– Co się stało? – spytałem. – Chyba te dwie damulki sprzed domu nie weszły do środka i nie rozniosły lokalu z broni palnej? Będę musiał im wyjaśnić, że Pismo Święte z czułą troską i najdrobniejszymi szczegółami rozpisuje się o licznych uszminkowanych kobietach.

– Chodzi o waszego wikidajkę – westchnął Todd.

– Co z nim? – spytałem.

– Ciągłe strzela do klientów.

– Ale chyba nie wcześniej, nim zapłacą? – spytałem natychmiast.

– Musi pan wiedzieć, doktorze Jones – ciągnął Todd – że coraz trudniej znieść takie zachowanie. Jestem nie mniej tolerancyjny niż inni, ale jemu po prostu nie wolno kręcić się po lokalu i zabijać ludzi, kiedy mu przyjdzie ochota. W końcu minęła już epoka pionierstwa. Coraz trudniej, żeby nie powiedzieć – drożej przychodzi wyciszanie tych niefortunnych zdarzeń.

– Drożej? – zdziwiłem się.

– Drożej – powtórzył, wkładając rękę do kieszeni i pobrząkując monetami niczym kelner w wytwornej restauracji albo boy hotelowy.

– Wydatkami zajmiemy się później – stwierdziłem. – Tymczasem, skoro jesteśmy wspólnie zainteresowani, aby mój jedyny dzierżawca nie wypadł z interesu, może utnę sobie krótką rozmowę ze wzmiankowanym wikidajką.

– Zaraz go tu przyślę – powiedział Todd.

Jedno pytanie – zwróciłem się do mademoiselle Markoff, kiedy porucznik wyszedł po wikidajkę. – Skoro ciągle strzela do ludzi, to dlaczego nie zwolniła go pani kilka tygodni temu?

– Zwolniłam – odparła. – Ale jemu się tutaj podoba. Pracuje za darmo.

– Czy to rosły mężczyzna? – spytałem, wąpiąc nagle w rozsądek proponowanego spotkania. – Gwałtowny temperament?



– Nie. Szczerze mówiąc, to całkiem niepozorny jegomość.

– To dobrze – ucieszyłem się, siadając na dywaniku obok niej i sięgając po cygaro. – A więc, rozwiążmy ten mały problem raz na zawsze.

Po chwili rozległo się pukanie.

– Wejść – powiedziała mademoiselle Markoff.

Otworzyły się drzwi i wszedł mały człowieczek o oliwkowej skórze i smutnych oczach. Nosił sztywny garnitur i ulizane do tyłu, czarne włosy.

– Gryzoń! – zawołałem. – Co pan tu u licha robi?

– Doktor Jones! – wykrzyknął tym swoim nosowym głosem.

– Mógłbym zadać to samo pytanie osobie duchownej. Minęło sporo czasu, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Pamiętam jednak, że okoliczno ści naszego rozstania nie sprzyjały kontynuacji mojej znajomości z panem.

– Do diabła, nie ma pan większego wyboru w tej sprawie

– stwierdziłem. – Jestem nowym właścicielem. Co to za historia z tym pańskim strzelaniem do klienta?

– To było w obronie własnej, zapewniam pana.

– Znowu? – zachnęła się mademoiselle.

– O co poszło? – zapytałem.

– Szedłem po schodach na górę i jakiś bardzo duży mężczyzna schodził na dół. Nie chciał ustąpić mi z drogi.

– Więc go pan zastrzelił? – spytałem.

– A co miałem robić? – Gryzoń wzruszył ramionami. – Był dużo wyższy ode mnie.

– To wszystko? – zdziwiłem się. – Cała historia? I pan to nazywa działaniem w obronie własnej?

– Oczywiście – westchnął Gryzoń. – Traktuję to jako samoobronę prewencyjną. Przecież nie byłbym w stanie się obronić, gdyby chciał zepchnąć mnie ze schodów.

– Gryzoń, nie może się pan tu kręcić i wyczyniać takich rzeczy!

– warknąłem. – Ściśle mówiąc, pan nawet nie figuruje na liście płac!

– Właśnie o tym chciałem z wami porozmawiać – odparł z przeproszającym półuśmiechem.

– Och? – zdziwiliśmy się zgodnym chórem z mademoiselle Markoff.

– Tak. Od siedmiu tygodni pracuję całkowicie za darmo. W tym czasie nie mniej niż pięć razy musiałem bronić swojego życia. Chyba po takich przejściach zasługuję na powrót na listę płac?

– Nie wiem doprawdy, jak mam do pana dotrzeć, Gryzoń

– westchnąłem – ale jeśli nie skończy pan z tym strzelaniem do ludzi, nie będziemy mieli tutaj żadnej listy płac!

Bez ostrzeżenia Gryzoń włożył rękę pod marynarkę, ja zaś dałem nura za mademoiselle. Nie słysząc huk, ostrożnie wysunąłem głowę znad jej obszernych bioder, aby zobaczyć co się dzieje.

Gryzoń skrupulatnie ocierał twarz białą, koronkową chusteczką do nosa.

– Niech to diabli, musi pan przestać wykonywać takie nagłe ruchy! – warknąłem, wstając z podłogi i otrzepując się z kurzu.

– Błagam o wybaczenie – odparł, zakrywając twarz chusteczką.

– Nie miałem zamiaru przestraszyć ani zaskoczyć pana. Zdaje się, że rozmawialiśmy o moim wynagrodzeniu?

Byłem na wpół zdecydowany pokłócić się z nim w tej sprawie, pomyślałem jednak, że faktycznie mógłby znowu sięgnąć pod marynarkę, a skoro nikt nie miał pojęcia, co drań tym razem

wyciągnie, najrozsądniej było umieścić go z powrotem na liście płac.

– Tylko pod jednym warunkiem – powiedziałem do niego.

– Tak? – zapytał potulnie.

– Zastrzeli pan kogoś, kto nie użyje pierwszego broni wobec pana

– i fora ze dwora. Zrozumiano?

– Zrozumiano – odparł w taki sposób, że natychmiast pomyślałem, iż trzeba było zadać jeszcze jedno pytanie, na przykład czy się zgadza, ale machnąłem na to ręką.

– Skąd pan go zna? – spytała mademoiselle Markoff, kiedy Gryzoń wyszedł z pokoju.

– Och, poznałem go jeszcze w Dar es-Salaam, parę lat temu. Chciał mnie namówić do sfinansowania wysoce nielegalnej operacji, ale będąc człowiekiem o nieugiętych zasadach moralnych zdołałem odeprzeć pokusę.

– Bardzo mądrze – wymruczała, ponownie zaciągając się głęboko cygarem. – Nie zechciałby pan wrócić do mnie na dywanik?

– Z wielką chęcią, mademoiselle Markoff – odparłem, trzymając kciuki za plecami – ale to nie wyglądałoby za dobrze. Przecież jestem duchownym.

– Kto się dowie? – wyszeptała, puszczając do mnie oko, co u słabego mężczyzny mogłoby wywołać nocne koszmary.

– No, po pierwsze te dwie pracownice, machające wachlarzami nad pani ciałem.

– Nie ma strachu – odparła. – Ta po lewej jest absolutnie godna zaufania, a ta druga – ślepa i głucha na ludzkie przywary.

– Dalej mam wątpliwości, to mój pierwszy wieczór w interesie, że się tak wyrażę. Prócz tego mam masę pracy.

– Na przykład?

– No, po pierwsze od jutra zwijamy szyldy Byka i Koguta. Lokal będzie działał pod nazwą bazyliki Świętego Łukasza. Dalej, muszę odszukać porucznika Nigela Todda i poczynić wszelkie przygotowania, jakie mogą być niezbędne do załagodzenia niefortunnego aktu obrony własnej, do którego Gryzoń został niewątpliwie zmuszony wbrew swojej słabej woli. Na koniec, przy frontowych drzwiach zostawiłem dwie panusie do odstraszenia niepożądanych gości i temu podobnych. Chcę się upewnić, czy wiedzą, że będą mile widziane, ilekroć zechcą tutaj zajrzeć. Sama więc pani widzi, że będę dziś zbyt zajęty, by mieć czas na jakiegokolwiek romantyczne ceregiele.

– To może jutro – powiedziała, oblizując wargi językiem, którym można by obedrzeć nosorożca ze skóry.

– Dlaczego nie? – odparłem, wychodząc z pokoju.

Nadal wynajdywałem odpowiedzi na "dlaczego nie", gdy złapałem porucznika Todda i wypłaciłem mu odszkodowanie niezbędne, aby zachował dla siebie wiadomość o całkowicie niefortunnej aferze z Gryzoniem. Następnie przedstawiłem się barmanowi, trupio blademu Ormianinowi o imieniu Irving, i kazałem mu z samego rana umówić się z malarzem szyldów.

Wynająłem pokój w hotelu Stanley, usiłowałem bez powodzenia kupić portret Nellie Willoughby, który wisiał u nich nad barem, a w końcu zapadłem w dobry, nocny sen. Wydawało się to marnowaniem pieniędzy, bo przecież byłem właścicielem dwudziestu pokoi z łózkami w mojej własnej bazylice, miałem jednak przeczucie, że będzie mi lepiej w hotelu, zanim nie dojdę do porozumienia z mademoiselle Markoff.

Nazajutrz po południu pokazałem się w lokalu i zobaczyłem, że szyldy zostały już wymienione. Kiedy wszedłem do baru podziękować Irvingowi za kawał dobrej roboty, mademoiselle już tam na mnie czekała. Miała na sobie czerwony szlafrok, który mógłby pomieścić syjamskie trojaczki, ale ją

opinał tak ściśle, że można było zobaczyć pieprzyk na jej lewym udzie.

– Dzień dobry, Lucyferze – szepnęła.

– Witam panią – odparłem.

– Nie zechciałby pan wpaść do mojego gabinetu na parę minut i przelecieć ze mną kilku pozycji? – zachichotała głosem, który w operach uznaje się za tenor bohaterski.

– Och, proszę mi wierzyć, że zrobiłbym to z wielką chęcią, ale jako duchowny i w ogóle powinienem raczej przystąpić do urządzania mojej bazyliki.

Niewiele mogła na to powiedzieć, więc zaproponowała mi tylko swoją pomoc, na co z kolei ja nie miałem wiele do powiedzenia. Tak więc podziękowałem i ruszyliśmy w głąb holu do dużego pomieszczenia, które dla mnie przeznaczyła.

Było brudne i prosiło się o nową farbę, miało zapadnięty sufit i stały w nim raptem dwa krzesła, ale jak na moje potrzeby, było idealne. Uważałem bowiem, że nim interes z kaznodziejstwem rozwinie się do tego stopnia, że będzie mi potrzebna lepsza kwatery, a może nawet więcej krzeseł, miną dobre trzy albo cztery lata.

Z drugiej strony, wydawało się jedynym miejscem, gdzie będę dobrze zabezpieczony przed awansami mademoiselle, postanowiłem więc z dużą energią wziąć się do jego odnawiania. Pracowaliśmy ręką w rękę, tynkując sufit, malując ściany, układając parkiet, stawiając ołtarz, montując kolorowe witraże w miejscu starych, brudnych okien, i budując ławki dla jakichś trzydziestu osób.

Zajął nam to z górą miesiąc. W tym czasie– Gryzoń nie zastrzelił ani jednej klienta i interes rozkwitał. Co drugą noc porucznik Todd wpadał po wypłatę i policja zostawiła nas w spokoju. Dwie damulki gorliwym wrzaskiem opisywały ze szczegółami życie w bazylice Świętego Łukasza i niebawem redaktor lokalnej gazety zaczął wpadać do nas w towarzystwie porucznika Todda po okolicznościowy prezent tego czy innego rodzaju, tak że niebawem również miejscowa prasa przestała się nami interesować.

W rzeczy samej, wszystko szło jak po maśle, prócz tego że skończyły mi się preteksty do unikania wizyty u mademoiselle dla przelecenia z nią kilku pozycji, wskutek czego musiałem poświęcić dodatkowy tydzień na zbudowanie sobie ambony. Mademoiselle niestety nalegała dalej, przystąpiłem więc do prawienia kazań dobre osiem albo dziewięć godzin dziennie, a celem przyciągnięcia szerszej publiczności, przeplatałem wykłady informacjami o rezultatach ostatniej gonitwy w Johannesburgu i ciekawszego meczu piłki nożnej w Kairze. Muszę przyznać, że nie prowadziliśmy aktywnej promocji na ulicy, choć sporo dziewcząt i niektórzy klienci odwiedzali nas czasami. Dowiadywali się ode mnie, jak strasznymi są grzesznikami, że sztuka zmysłów stanowi oparcie dla Szatana w świecie rozwiązłych kobiet i lubieżnych mężczyzn i byłoby najlepiej, gdyby od razu okazali skruchę, a wtedy wrócą do swych pokoi całkowicie oczyszczeni i pokrzepieni na duszy. Zaiste, poinformowawszy gości, że Pan to gość wyrozumiały, zacząłem im odpuszczać jutrzejsze grzechy na równi z wczorajszymi, odfajkowując w niebiańskiej kartotece niejako kilka rubryk awansem.

Miałem sporo kłopotu z wymyślaniem nowych tematów, zwłaszcza po trzydniowym wykładzie, w którym schlastałem mniej więcej siedemset małżonek Salomona razem z tym, co podobno z nimi wyczyniał. Ilekroć jednak próbowałem wymknąć się na szklaneczkę czegoś pokrzepiającego albo poszukać innego rodzaju odprężenia po napięciu nerwowym, napotykałem spojrzenie mademoiselle. Siedziała w pierwszym rzędzie i pożerała mnie wzrokiem z nabożnym uwielbieniem. Głowę daję, że nie opuściła ani jednego kazania przez cały okres działalności bazyliki Świętego Łukasza.

Byłem już tam bez mała siedem miesięcy i akurat szlifowałem projekt dwusetnego kazania,

kiedy do bazyliki wpadł jak burza roztrzęsiony porucznik Todd. Zaciągnął mnie na stronę i warknął:

- Jones, on to zrobił znowu!
- Kto co zrobił?
- Pańskiemu kumpłowi, Gryzoniowi, podobno znowu do łba strzeliło, że się tak wyrażę.
- Jak to się stało tym razem?
- Zdaje się, że to była obrona konieczna w czasie sporu, kto pierwszy stanie przed pisuarem w męskiej ubikacji.
- Jest poważnie ranny?
- Wątpię, czy w ogóle poczuł ostatnie pięć kul.
- No trudno, przynajmniej nie cierpiał niepotrzebnie – stwierdziłem. – Proponuję przynieść ciało tutaj, żebym mógł odmówić za niego krótką modlitwę pogrzebową.
- Pan chyba nie kojarzy – stwierdził Todd. – Muszę aresztować tego Gryzonia i przymknąć go na dłużej.
- Możemy się dogadać – westchnąłem, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie to, że za nim tęsknimy. Jeśli dalej będzie strzelał do klientów, wcześniej czy później stracimy wszystkich żyjących. Ale przykro by mi było patrzeć, jak idzie do więzienia. W końcu to mój pracownik, stary znajomy i w ogóle.
- Potrafię być rozsądnym człowiekiem – odparł porucznik Todd, pobrzękując drobniakami w kieszeni. – Co konkretnie ma pan na myśli?
- Cóż, to wstyd, by rząd musiał jeszcze karmić takiego typka i zapewniać mu dach nad głową. Powinno dać się draniowi szansę spłacenia długów wobec społeczeństwa.
- Co on potrafi?
- No i tu mamy drobny problem – przyznałem. – Jeśli się nie mylę, najlepiej wychodzi mu strzelanie do ludzi.
- Może umknęło to pańskiej uwadze, doktorze Jones, ale za to właśnie uzdolnienie wtrącamy ostatnio ludzi do więzień.
- A później ich wieszacie? – spytałem, kiedy Cichy Wspólnik trafił mnie między oczy genialnym objawieniem.
- Od czasu do czasu – powiedział Todd.
- Jakiś paragraf zabrania ich rozstrzeliwać?
- Nic o tym nie wiem – bąknął.
- To może zaproponujcie mu posadę waszego oficjalnego kata?
- zasugerowałem.
- Muszę przyznać, że byłby nadzwyczaj skuteczny – zadumał się Todd.
- I tani. Wystarczy mu tylko zarysować charakter nowej pracy i alternatywne rozwiązania.
- Skoro kręci się po mieście i strzela do ludzi, to chyba sensowniej będzie mieć go po swojej stronie. Ale sam nie wiem...

Urwał, jeszcze głośniejszym pobrzękując monetami w kieszeni. Wyjąłem gruby zwitek banknotów, który powinien rozwiać wątpliwości Todda – a przy tym zadławić sporych rozmiarów konia, odbyłem krótką rozmowę z Gryzoniem i pożegnałem go na drodze do pierwszej uczciwej pracy, jaką otrzymał od lat.

Przez następne dwa tygodnie nic ciekawego się nie działo, ja zaś powróciłem do codziennej rutyny. Nagle któregoś dnia spostrzegłem, że mademoiselle zrezygnowała z atłasowych koronek i nosiła obecnie konserwatywny kostium urzędowy. Dwa dni później włożyła na siebie moźolnie

uszytą czarną sukienkę ze sztywnym karczkiem, a z jej twarzy zniknął cały makijaż – okoliczność, która musiała jednym śmiertelnym ciosem doprowadzić do ruiny dwie lub trzy lokalne drogerie. A potem, kilka dni później, zaczęła tak głośno śpiewać psalmy, że dochodowi klienci zaczęli się uskarżać.

Cieszyło mnie, że aż tak wzięła sobie do serca moje kazania, ale dalej zachowywałem dystans, ilekroć wyszedłem za próg kaplicy. Pewnego razu jednak minąłem się z nią na korytarzu i po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, nawet się na mnie nie rzuciła.

Taki obrót spraw przemienił moje życie w istny raj. Natychmiast postanowiłem wykluczyć ze swoich seansów niektórych stałych bywalców. Chciałem ich zachęcić, by grzeszyli częściej niż normalnie, i zaoferowałem im dyspensę na wypadek, gdyby nabrali większej śmiałości.

Tak więc owej nocy, ukończywszy wieczorne kazanie – o ile mnie pamięć nie myli, odnosiło się do grzechu pożądania żony bliźniego swego w czasie, który można spędzić z grupą miłych, niezamężnych dziewcząt w bazylice Świętego Łukasza – zawędrowałem na trzecie piętro. Nie chciało mi się przyjmować pokuty od tych uszmin-kowanych grzeszniczek indywidualnie do bladego świtu i zdecydowałem się wzywać je do sypialni po trzy naraz.

Miałem im właśnie ukazać to, czego brakowało staremu Onanowi, kiedy raptem drzwi rozwarły się na oścież i wkroczył porucznik Nigel Todd.

– Nie umiesz zapukać ani się zapowiedzieć, co, bracie Todd?

– krzyknąłem, z wściekłością zarzuciwszy koc na siebie, gdy tymczasem dziewczęta rozpierzchły się po mysich norach.

– Doktorze Jones, nie mam wyboru – oświadczył. – Obawiam się, że muszę zamknąć pańskie przedsiębiorstwo.

– Co pan u diabła wygaduje? – warknąłem. – I dlaczego nie pobrząkuje pan bilonem jak zwykle, kiedy poruszamy trudny problem?

– Ponieważ tego problemu nie da się rozwiązać między nami

– odparł. – Mam nakaz sądowy na zwinięcie pańskiego interesu.

– Mówiąc to, rzucił mi go na łóżko do obejrzenia.

– Przecież mamy samych szczęśliwych, zadowolonych klientów

– zaprotestowałem. – Kto byłby aż tak podły i nikczemny, żeby skłonić sędziego do podpisania tego świstka?

– Biorę to na siebie – usłyszałem i ujrzałem na progu mademoi-selle Markoff.

– Pani? – zdziwiłem się. – Ależ dlaczego?

– Otworzyłeś mi oczy, Lucyferze – odparła z dziwnym rumieńcem na twarzy. – Już ponad sześć miesięcy słucham cię, jak głosisz Słowo, jak każdej nocy czytasz Pismo Święte, no i uświadomiłeś mi, jak błędne było moje postępowanie.

– A co z biednymi, niewinnymi dziewczętami, które nie dostrzegły jeszcze błędów w swoim postępowaniu? – spytałem. – Jak mają zarobić na utrzymanie, skoro nie pozwalacie im sprzedawać jedynej rzeczy, na której się znają?

– Otwieram garkuchnię na krańcach miasta – odparła ma-demoiselle. – Będę pomagając biednym, uciskanym grzesznicom i wyrzutkom społecznym po obu stronach lady, chwalić Boga!

– Ale co się stanie z moją bazyliką? – zawyłem.

– Lucyferze, Bóg obdarzył cię łaską powołania – odparła.

– Znajdziesz inną bazylikę, która nie będzie wiodła nieszczęsnych dziewcząt i lubieżnych mężczyzn do życia w grzechu.

– Przecież to raptem kilka godzin grzechu! – sprzeciwiłem się.

– To tylko różnica ilościowa, a nie jakościowa. Nie rozumiesz, Lucyferze? Ja po prostu robię to, co mi od dawna nakazujesz czynić.

– Nigdy nie kazałem pani zamykać mojego lokalu! – wycodziłem. – Poruczniku Todd, to jakaś straszna pomyłka. Proszę mi pozwolić porozmawiać z mademoiselle przez godzinkę na osobności, a wszystko wróci do normy.

– Niestety, doktorze Jones, to niemożliwie – westchnął Todd.

– Pańska nieruchomość została obciążona podatkiem w wysokości dziesięciu tysięcy funtów za to, że służyła jako dom publiczny. Musi pan wpłacić pięć tysięcy funtów kaucji, jeśli nie chce trafić do więzienia.

– Mademoiselle Markoff! – zawołałem błagalnie. – Proszę mu powiedzieć, że to wszystko pomyłka!

– To byłoby kłamstwo, Lucyferze – odparła. – Teraz, kiedy otworzyłeś mi oczy, nie mogę wypowiedzieć kłamstwa nawet w słusznej sprawie, chwalić Boga!

No dobrze, proszę mi chociaż wypłacić piętnaście tysięcy funtów z moich pieniędzy, abym mógł rozplatać ten węzeł prawny i powyjaśniać sprawy – powiedziałem do mademoiselle.

– Nie mogę – mruknęła. – Nie mam ani szylinga.

– Co pani wygaduje? – ryknąłem. – Skasowaliśmy pięćdziesiąt tysięcy funtów, odkąd tu jestem!

– Dziś po południu oddałam wszystko na cele dobroczynne, tuż przed wizytą w sądzie – odparła. – Bóg nie pochwaliłby mnie za to, że je zatrzymałam.

– A co ja mam robić?

– No cóż, zawsze chciałem mieć tawernę i hotel – odezwał się porucznik Todd. – Chętnie kupię ten lokal od pana za, powiedzmy, piętnaście tysięcy funtów.

– Kosztował mnie pięć razy tyle! – zawyłem.

– Ale nikt wtedy nie zabierał pana do kryminału – zauważył. – Radzę się zastanowić, doktorze Jones. Coś panu powiem: dorzucę do puli i przymknę oko przez dwadzieścia cztery godziny, jeśli woli pan kichnąć na sąd razem z pańską kaucją i opuścić kraj.

Targowałem się jakieś trzydzieści minut, ale drań miał mnie na widelcu i ostatecznie oddałem mu bazylikę Świętego Łukasza za piętnaście tysięcy funtów. Zostałem w ostatniej koszuli – która w tym momencie leżała zmięta na podłodze – z jednym egzemplarzem Biblii i niczym więcej.

– Nawiasem mówiąc – podjął Todd, zatrzymawszy się w drzwiach. – Jeśli tej czy innej dziewczynie nie spodoba się praca w garkuchni, mademoiselle Markoff, zechce im pani przekazać, że mój hotel zawsze może skorzystać z usług pokojówek i kelnerów.

Puścił do mnie oko i ruszył schodami na dół.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Lucyferze – powiedziała mademoiselle, kiedy zostaliśmy sami.

– To nie będzie takie proste – odburknąłem.

– Ale gdyby nie twój kaznodziejski dar przekonywania, nie doszłoby do tego wszystkiego. Sama nie wiem, ile bezsennych nocy pożałowałam twego ciała, teraz jednak, kiedy jestem w stanie łaski, widzę że nie zasługiwałeś na ogrom moich myśli.

– Wielkie dzięki – zazgrzytałem.

– Nie – ciągnęła. – To ja ci dziękuję za ukazanie mi Prawa i Słowa.

Założyłem ubranie, wetknąłem sobie Biblię pod pachę i godzinę później przekroczyłem południową granicę miasta. Żałując, że właśnie tym razem okazałem się tak dynamicznym, skutecznym głosicielem Słowa, jakim niewątpliwie jestem, złożyłem uroczyste ślubowanie, że po

założeniu nowej bazyliki nie będę poruszał w swych kazaniach niczego, poza pikantniejszymi urywkami z biblijnych psalmów.

## Rozdział 12

# CMENTARZYSKO SŁONI

Wkazało się, że znalezienie następnej parafii nie zajęło mi aż tak dużo czasu.

Przez dwa tygodnie oddalałem się od Brytyjskiego Wschodu, po czym wylądowałem w Portugalskiej Afryce Wschodniej. Było to w przeddzień zmiany nazwy kraju na Mozambik, po trosze dla uhonorowania stołecznego miasta, po trosze dlatego, że Portugalczycy czują równie głęboką niechęć jak większość rozsądnych ludzi do bagien, pustyń, dzikusów, moskitów, węży i tse-tse. Byli więc zajęci pakowaniem manatków oraz przeprowadzką do Portugalii, gdyż najgorszą rzeczą, o jaką musieli się tam martwić, były najazdy wikingów, z których ostatni nastąpił dziewięć wieków wcześniej, plus minus dziesięć lat.

Tak czy owak, pokonałem jakieś dwie trzecie drogi przez Portugalski Wschód i zamierzałem skrócić do południowej Afryki, aby sprawdzić, czy nie uda mi się pożyczyć trochę misyjnych pieniędzy od Emily Perrison. Zresztą Emily była już zapewne od dawna panią Dobbins. Dotarłem nad samą rzekę Zambezi, która może nie wyglądała na mapie tak groźnie jak Missisipi i Amazonka, ale była równie trudna do sforsowania, zwłaszcza że zamiast mostów miała jakiś milion krokodyli wyglądających na wyjątkowo wygłodzone i żarłoczne.

Stałem na brzegu zastanawiając się, co robić dalej, kiedy ogromny kajak wypełniony czarnymi wojownikami zatrzymał się obok mnie niczym nowojorska taksówka i jeden z tych wymalowanych dzikusów, szczerząc zęby, machnął na mnie ręką, abym wskoczył i zabrał się z nimi na wycieczkę.

– Uprzejmie dziękuję, bracia – odparłem, po czym dałem susa i klapnąłem na swoje miejsce.

– Przyznam, że to nad wyraz życzliwy gest z waszej strony. Bałem się, że będę musiał wziąć się do zapasów z krokodylami, aby zarobić na życie.

– Z przyjemnością pomogliśmy słudze Bożemu – oznajmił rosły Murzyn, który najszerszej szczerzył zęby. – Jest pan misjonarzem, nieprawdaż?

– Zabawne, żeś o tym wspomniał – odparłem. – Tak się składa, że jestem wielebny doktor Lucyfer Jones. Przybywam w te strony, aby nieść Słowo Boże lub w inny sposób dodawać blasku waszemu nudnemu, drętawemu życiu. Co jest na lunch?

– Zjemy po powrocie do wioski – bąknął. – A potem miło nam będzie dowiedzieć się czegoś o twoim bogu.

– Zaiste, nie spotkałem jeszcze tak życzliwych przystojniaków

– oświadczyłem, zapalając cygaro i częstując drugim mojego rozmówcę. – Jesteście Bantu czy Kikuju?

– Ani jedno, ani drugie. Jesteśmy Mangbetu.

– Nie mogę powiedzieć, żebym o was słyszał – zauważyłem.

– Skąd znasz tak dobrze angielski?

– Czasami mieszka u nas kilku archeologów. Na ogół nie siedzą zbyt długo, ale udało mi się załapać od nich jakieś takie pojęcie o angielskim i portugalskim.

– Nie obraż się, ale dla mnie nie różnicie się niczym od innych czarnych, bezbożnych pogan. Dlaczego akurat wy wpadliście im w oko, stając się przedmiotem gruntownych obserwacji i notatek?

– A bo ja wiem? – wzruszył ramionami. – Podobno chodziło o nasze zwyczaje żywieniowe.

– Tak? – zdziwiłem się. – Robicie coś, czego reszta plemion dookoła nie robi?

– My jemy ludzi.



– Ludzi? – powtórzyłem. – Istoty, posiadające dwie ręce, dwie nogi i tak dalej?

Kiwnął głową.

– Jakie jest wasze filozoficzne i smakowe nastawienie do białego mięsa? – spytałem z lekkim niepokojem.

– Doktorze Jones, pan jest naszym gościem – roześmiał się.

– Po co ta smutna mina? My zjadamy samych wrogów. To jest ceremonia religijny.

Patrząc pod takim kątem, zobaczyłem, gdzie można na tym zaoszczędzić kupę forsy, która inaczej poszłaby na grabarzy, oraz przedłużyć życie kilku Bogu ducha winnym kozom i rybom. Skoro zaś misjonarz *saute* nie należy do ich ulubionych potraw, to jestem tylko gościem i nie muszę niweczyć planów gospodarzy, przynajmniej jak długo mają pełne brzuchy.

Wyszło na jaw, że osiłek nazywa się Samjeba i nie ma nic przeciwko temu, abym mówił do niego Sam, zwłaszcza po moich wyjaśnieniach, że oryginalny Samuel był bratem ciotecznym Estery, a może służącym, szoferem, czy kimś takim. Spędziliśmy kawał czasu na wymienianiu osobliwych uścisków dłoni i wzajemnym częstowaniu się sprośnymi historyjkami. Przy okazji poznałem całą masę nowych słówek w kikuju i suahili, które jakoś rzadko cisną się na usta podczas zwykłej wymiany poglądów.

Dwie godziny przed zachodem słońca przyплыliśmy do wioski Mangbetu. Ogół kobiet był zajęty gotowaniem jakichś chudych żeberek, ale w świetle ostatniej rozmowy postanowiłem trzymać się owoców, jagód i innych specjałów, dających łatwo się rozpoznać.

Po jedzeniu wstałem i wygłosiłem krótkie kazanie z „Pieśni nad pieśniami” Salomona. Dostałem owację na stojąco plus kilka brytyjskich „Hip hip hurra!” na dokładkę, kiedy zacytowałem Pnp 1,5 idące tak: „Pójdźcie, córki jerozolimskie”. Szczerze mówiąc, musiałem poświęcić trochę czasu na tłumaczenie paru bardziej podatnym na sugestię wyrostkom, że Jerozolima to nie jakieś tam plemię białych kobiet w sąsiedniej dolinie, że leży jeszcze dalej niż Nairobi.

Nie udało mi się skłonić Sama i jego ludzi do porzuceń, a kanibalizmu, zdołałem jednak namówić ich do odmawiania krótkiej modlitwy dziękczynnej przed jedzeniem. Był to niemały sukces, tym bardziej że większość moich gospodarzy czciło boga, mającego kły słonia, piersi kobiety, pazury lwa i piekielną księgę kucharską.

Przebywałem wśród Mangbetu ponad sześć tygodni. W tym czasie straciłem jakieś dziesięć kilogramów wskutek wymuszonej diety wegetariańskiej. Nigdy nie mogłem być pewny pochodzenia kotletów, jakie w danym momencie gotowali. W końcu miałem już tego dosyć i zapytałem Sama, czy on i kilku jego mistrzów łuku i strzały zechcą wybrać się ze mną na małą wyprawę myśliwską po jakiegoś generuka, dibataga albo inny nieszkodliwy i czworonożny gatunek mięsa.

Sam wyraził zgodę i pewnego słonecznego ranka ruszyliśmy we cztery na poszukiwanie odrobiny czegoś, czym dałoby się napełnić nasze brzuchy. Gdy wyruszyliśmy, pogoda była wspaniała, ale około południa nadciągnęła burza z piorunami, toteż musieliśmy zejść ze szlaku i udać się w głąb dżungli pod parasol z listowia. W końcu zabłądziliśmy, gdyż znajomość lasu starego Sama nie dorównywała jego talentom kucharskim i resztę dnia oraz całą noc błąkaliśmy się w nieznanym terenie. Nazajutrz o świcie zobaczyliśmy polanę, a za nią jakąś dolinę więc, skierowaliśmy się ku niej. Po dwudziestu minutach znaleźliśmy się na skraju lasu.

Nad polaną unosiły się kłęby dymu albo mgły, jakby to było jakieś miejsce prehistoryczne lub coś takiego, a stos szkieletów był pierwszą rzeczą, którą zobaczyliśmy.

– Sam, co ci to przypomina? – spytałem, wskazując na kości.

– Martwe słonie – odparł.

– I to całe stado – przyznałem, podchodząc do nich, aby się przyjrzeć z bliska.

Niektóre zwierzęta nadal miały kły, te zaś przerastały rozmiarem wszystko, co ja i Herbie Miller próbowaliśmy taszczyć w Enklawie Lado. Inne nie miały śladów kła, ale przypisałem to faktowi, że były krowami i szczeniętami, czy jak się tam określa słonice i ich małe.

– Ciekawe, gdzie jesteśmy? – westchnąłem, zwracając się do Sama i jego kompanów.

– Sam chciałbym to wiedzieć – bąknął Sam. – Nie czułbym się aż tak zagubiony.

– To jest to zaginione i baśniowe Cmentarzysko Słoni, które opiewiają pieśni i legendy!  
– wykrzyknąłem.

– Marna robota grabarska – Sam wskazał górę szkieletów na ziemi.

– Nie, ty nic nie kapujesz – odparłem. – Tutaj słonie przychodzą umierać!

Sam jeszcze raz obrzucił polanę wzrokiem. Najwyraźniej zastanawiał się, po co zwierzęta miałyby facygować się i umierać w takim odległym miejscu, ale przestał wydziwiać po wytłumaczeniu przeze mnie, że może nie chcą trafić do kotła swoich wrogów.

– Jak myślisz? – zapytałem po chwili. – Odnalazłbyś drogę do tej polany, gdybyś musiał?

Pospieszył z wyjaśnieniami, że w drodze powrotnej do Mangbetu oznaczmy po prostu drzewa i po kłopocie, co było prawdą. Okazało się natomiast, że zadałem mu złe pytanie. Powinienem był spytać, czy w ogóle odnajdzie drogę do Mangbetu, ale w końcu po trzech czy czterech dniach mordegi wróciliśmy jakoś do wioski.

Pomyślałem, że najpierw muszę zarejestrować parcelę z nekro-

13 – Lucyfer ...

polią. W tym celu kazałem Samowi i kilku jego kompanom towarzyszyć sobie do Mozambiku. Wiedziałem, że nigdy nie odnajdę Mangbetu na własną rękę, nie mówiąc już o przyprowadzeniu kogokolwiek na cmentarzysko. Choć rząd wiedział o istnieniu Mangbetu, Sam kluczył cały czas z powodu nieporozumień z miejscową policją odnośnie pewnych niuansów prawa dietetyki.

Mozambik nie należał do najnowocześniejszych metropolii na kontynencie. Był jednak miastem portowym, co przynosiło taką masę pieniędzy, że rząd mógł sobie pozwolić na wzniesienie kilku solidnie wyglądających budynków z cegły i błota, z których zawiadywał sprawami kraju. To znaczy pilnował, aby statki wpływały i wypływały mniej więcej zgodnie z harmonogramem.

Jedną z miłych cech portowego miasta jest to, że pociąga za sobą istnienie portowych spelunek, natomiast jedna z miłych cech portowych spelunek polega na tym, że jeśli nawiążesz odpowiednie znajomości i postawisz wystarczająco dużo kolejek w barze, masz szansę dowiedzieć się poufnie nazwiska człowieka, na którego najbardziej możesz liczyć. W tym wypadku okazał się nim niejaki pułkownik Phillipe Carcosa, który zdobył swój imponująco wysoki stopień wojskowy dzięki prostemu fortelowi unikania wszelkich form walki w czasie, gdy jego rodacy oddawali życie w cudzych wojnach lub prywatnych pojedynkach honorowych.

Pułkownik Carcosa, jak słyszałem, umiał błyskawicznie ocenić wszelkie za i przeciw rozmaitych projektów handlowych. Prócz tego można było być pewnym, że zareaguje błyskawicznie, doszedłszy do przekonania, iż tego rodzaju akcja przyniesie pokaźne dochody z jego inwestycji.

Poprosiłem pułkownika o spotkanie i wyznaczono mi audiencję następnego dnia rano w jego biurze.

– Dzień dobry – powiedziałem, wchodząc do luksusowego gabinetu w mojej najlepszej niedzielnej sukience duchownej. – Jestem przewielebny doktor Lucyfer Jones.

– Bardzo mi miło, doktorze Jones – odparł, wstając od lśniącego, mahoniowego biurka i wymieniając ze mną uścisk dłoni. – Ma pan ochotę na kieliszek brandy?

– Ach, to trochę za wczesna godzina na brandy, jak dla duchownego i w ogóle – odparłem.  
– Musi mi wystarczyć podwójna whisky.

Uśmiechnął się szeroko i kazał ordynansowi przynieść nam po drinku.

– Co mogę dla pana uczynić, doktorze Jones? – zapytał.

– Nie aż tak piekielnie dużo, jak ja dla pana, pułkowniku

– oznajmiłem, zapalając cygaro i częstując go drugim, które przyjął.

– Nieczęsto podejmuję kleryka w mojej kancelarii. Czy ma to może związek z jakimś kościołem albo kaplicą?

– Ciepło – odparłem. – Odnosna nieruchomości ma nieszczęście być cmentarzem.

– Katolickim czy protestanckim?

– Cóż, to trudno powiedzieć – odparłem zgodnie z prawdą.

– Gdzie jest ten cmentarz i na czym polega problem?

– W tym momencie nie potrafię określić jego położenia, a problem w tym, że pan i ja nie jesteśmy jego właścicielami – odparłem.

– Na razie.

– Dlaczego pan i ja mielibyśmy ubiegać się o cmentarz? – spytał z nagłym ożywieniem.

– Ponieważ pan i ja nie widzimy powodu, dla którego nie mielibyśmy zostać milionerami.

– To prawda – bąknął, kiwając w zamyśleniu głową. – Bez względu na to, jak długo szukam w myślach, nie mogę znaleźć rozsądnego powodu. No dobrze, przyjacielu, może zechciałby mi pan wyjaśnić, dlaczego posiadanie tego konkretnie cmentarza istotnie zmieni naszą sytuację finansową?

– Jasne jak słońce – westchnąłem, pociągając kolejny łyk. – Pułkowniku Carcosa, odkryłem zaginione Cmentarzysko Słoni!

– Nawet nie wiedziałem, że go brakuje – odparł.

– Jest to miejsce, gdzie wszystkie słonie przychodzą umierać. Zawalone po brzegi szkieletami, większość posiada kość słoniową, i nie muszą chyba dodawać, że jak długo słonie będą odczuwały potrzebę śmierci, nie przestaną wędrować na miejsce wiecznego spoczynku, powiększając skarb, który na nas czeka.

Pułkownik Carcosa dał znak ordynansowi.

– Koniec z alkoholem dla doktora Jonesa. Odnoszę wrażenie, że ma słabą głowę.

– Ależ to prawda! – wykrzyknąłem. – Widziałem na własne oczy!

Przez całe życie wysłuchuję kretyńskich opowieści, ale takiej jeszcze nie słyszałem – westchnął. – Niestety, muszę pana prosić o opuszczenie biura.

– Chwileczkę! – zawołałem. – Jeśli zaprowadzę pana na miejsce i pozwolę panu to obejrzeć, czy zostaniemy współnikami?

– O czym pan mówi?

– Musimy kupić ten cmentarz, nim ktoś inny zgłosi pretensje do działki – powiedziałem. – Nie mam pieniędzy, ale wiem, gdzie one leżą; pan nie wie, gdzie, ale może wyłożyć pieniądze. Jeśli zdołam pana przekonać, zostaniemy współnikami?

– Jak daleko stąd leży ten cmentarz? – zapytał podejrzliwie.

– Około sześciu dni marszu. Rozłożył mapę na stole.

– Proszę zaznaczyć położenie.

– Nie potrafię – odparłem.

– No to jak mamy znaleźć pański mityczny cmentarz?

– Trzech Murzynów z plemienia Mangbetu czeka na mnie za miastem. Byli ze mną, kiedy go

odkryłem. Zaprowadzą nas na miejsce.

– Mangbetu? – zapytał, unosząc brwi.

– Tak. To bogobojne plemię, z wyjątkiem spraw diety.

– Wie pan, mógłbym pana aresztować za przyście do mnie z tym niedorzecznym projektem – oznajmił.

– To prawda, bracie Carcosa – przyznałem. – Lecz w takim razie po wyjściu na wolność będę musiał poszukać innego współnika, a doprawdy nie rozumiem, w jaki sposób któryś z nas mógłby odnieść z tego korzyść.

– Zgoda – westchnął. – Proszę przyjść tutaj jutro rano, będę gotów do drogi. Ale jeśli ten cmentarz nie istnieje, nie chciałbym być w pańskiej skórce, doktorze Jones. Za nic w świecie.

– Bracie Carcosa – odparłem, wstając i ściskając jego dłoń, – Ubiłeś interes.

Nazajutrz rano zabrałem go sprzed domu, a kilka kilometrów za granicami miasta przyłączyli się do nas Sam i jego chłopcy. Wiedziałem, że pułkownik nie pasjonuje się za bardzo plemieniem Mangbetu, ale ostrzegłem go, aby się z tym nie zdradził, gdyż żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie chciałby zostać uznany za wroga przez członków tego plemienia, zwłaszcza jeśli mają pod ręką trochę musztardy i cebuli. Wziął to pod uwagę i następne sześć dni przebiegło normalnie. To znaczy, nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, chociaż dalej miałem kłopoty z uznaniem, że obecność moskitów, pajaków, a także ich krewnych i znajomych to całkiem normalna sprawa.

Pułkownik Carcosa nosił w tornistrze dużą składaną mapę i co dwie godziny wyciągał ją, aby zapisać jakieś uwagi. Kiedy wreszcie dotarliśmy do wioski, kazał nam tam siedzieć jeden dzień dłużej, sam zaś sprawdzał różne punkty orientacyjne, aby się upewnić, że naniósł to miejsce na mapę. Później kilka dni spędziliśmy na poszukiwaniu Cmentarza, ale w końcu zdołaliśmy go odnaleźć mimo antytalentu Sama do poruszania się w buszu.

– Na Boga, doktorze Jones! – zawołał pułkownik. – Muszę przyznać, że do tej chwili nie wierzyłem w ani jedno pańskie słowo!

– To po co pan tu szedł? – spytałem ze zdziwieniem, kiedy schodziliśmy w dolinę.

– Zawsze mogłem wydać Mangbetu w ręce policji, by dostać nagrodę – odparł.

Na te słowa Sam zmarszczył czoło i zaczął spoglądać na pułkownika jak kucharz na wyborowy kawałek polędwicy, ale Carcosa tylko uśmiechnął się do niego i powiedział:

– Oczywiście, to nie będzie już konieczne, zwłaszcza że potrze bujemy teraz nieprzerwanego strumienia wysoko płatnych tragarzy.

Sam trochę się uspokoił, a po chwili jego mina świadczyła o tym, że być może ograniczy się do obcięcia pułkownikowi dwóch lub trzech palców u nóg, aby przyprawić nimi gulasz albo zupę.

Podeszliśmy do szkieletów, zaczęliśmy liczyć i wyszło nam siedem słońi.

– To tylko na powierzchni – zauważył pułkownik. – Trudno powiedzieć, ile pograżyło się w miękkiej, wilgotnej ziemi. Mogą ich być tysiące.

– To nie wszystko – wskazałem. – Chyba już samo stanie tutaj może być dla nas groźne. Zdaje się, że kilkadziesiąt słońi przedziera się w tym momencie do nas, aby złożyć kości.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym odszedł kilka kroków na bok. Pochwaliłem go skinieniem głowy i zapewniłem, że na nowym miejscu będzie o wiele bezpieczniejszy.

– No dobrze, doktorze Jones – odezwał się kilka minut później. – Widziałem dosyć. Wracajmy do Mozambiku i zarejestrujmy działkę, nim ktoś inny natknie się na nią.

Nie miałem nic przeciw temu, tym bardziej że kilkaset metrów dalej odbywała się konferencja logistyczno-strategiczna milionów jadowitych mrówek. Wróciliśmy do Mangbetu wolnym krokiem, gdyż co pół kilometra pułkownik zaznaczał różne miejsca na mapie. Odpoczywaliśmy jeden dzień, a

potem poszliśmy do Mozambiku w asyście Sama, który miał mi służyć za przewodnika w drodze powrotnej po rejestracji parceli.

Wziąłem pokój w miejscowej noclegowni, Sam zaś kręcił się w pobliskiej restauracji, zasięgając rady odnośnie sposobów zmiękczenia mięsa, pułkownik natomiast udał się do właściwego urzędu, aby nabyć parcelę, na której leżało Cmentarzysko. Kiedy spotkaliśmy się na obiedzie, był w świetnym humorze.

– Udało się panu coś załatwić? – spytałem, gdy tylko przyciągnął sobie krzesło.

– Ma się rozumieć.

– Bez problemów? Nikt niczego nie podejrzewa?

– Doktorze Jones, nie prowadzi pan interesów z amatorem – odparł z zadowoloną miną.

– Cmentarz leży pośrodku prywatnej parceli o powierzchni dwóch tysięcy akrów. Kupiłem całość po pięć szylingów brytyjskich za akr.

– Całość? Po co?

– Gdyby rozeszła się wiadomość, że kupiłem pięćdziesiąt akrów w głębi Portugalskiej Afryki Wschodniej, wzbudziłoby to niezdrową ciekawość. Ale dwieście tysięcy? Może to dziwne, lecz nikt nie rzuci się na złamanie karku, by oglądać każdy centymetr kwadratowy ziemi, chcąc poznać moje plany co do niego.

Wyraziłem opinię, że w takim razie było w tym trochę sensu, i przez resztę wieczoru piliśmy nawzajem za swoje zdrowie i sukces w świecie wielkiej finansjery.

Nazajutrz rano wyruszyłem z Samem na Cmentarz uzbrojony w piły i inny sprzęt potrzebny do oddzielenia rozmaitych ciosów od szkieletów. Zabawiliśmy u Mangbetu na czas niezbędny dla zwerbowania do pomocy kilku ludzi i pokrzepienia przez Sama jego połowicy, po czym wzięliśmy kurs na miejsce wiecznego spoczynku. Cztery szkielety miały kły; obcieliśmy je i zatargaliśmy na własnych plecach do Mozambiku.

Ciosy ważyły średnio po siedemdziesiąt kilogramów każdy.

– Wspaniale – oświadczył pułkownik Carcosa. – Obstałowa – łem trochę sprzętu do robót ziemnych. Będzie tu za cztery miesiące, a po tym czasie możemy zacząć wykopywać spod ziemi wszystkie szkielety, które utonęły w mule i błocie.

Nie miałem nic przeciwko temu i przygotowałem się do spędzenia najbliższych czterech miesięcy na próżnowaniu, odsypianiu i rozkoszowaniu się towarzystwem miejscowych pań. Po kilku dniach jednak pułkownika zaczęło świerzbic i wysłał mnie wraz z Samem po kły od nowych trupów.

Dwa tygodnie później wróciłem do Mozambiku z wiadomością, że żadnych nowych trupów nie ma.

– To bardzo dziwne – stwierdził pułkownik. – Ostatecznie minął prawie miesiąc, odkąd tam byłem. Należało się spodziewać, że kilka słoni padnie przez ten czas.

– Może to nie sezon na zdychanie? – odpowiedziałem.

– A może nie jest pan uczciwy wobec mnie? – odparł oskarżycielskim tonem.

– Bracie Carcosa – westchnąłem – mówię ci wyłącznie całą świętą prawdę. Skoro mi pan nie wierzy, to chodźmy tam od razu i sam się pan przekonaj.

Patrzył na mnie długo i namiętnie, jakby ważył w sobie decyzję.

– Chwilowo panu zaufam – oświadczył na koniec. – Ale jeśli się dowiem, że wykradacie kość słoniową z naszej posiadłości, doktorze Jones, to gorzko pan tego pożałuje.

Wysłuchiwanie gróźb od współnika potrafi wywołać w człowieku pragnienie, więc kiedy zamilkł, pokuśtykałem do najbliższego pubu, kupiłem butelkę piwa i ruszyłem z nią do stolika w rogu.

– Och, czyż to nie wielebny doktor Lucyfer Jones! – ryknął znajomy głos.

Odwrociłem się i zobaczyłem siedzącego przy barze Łapacza Clyde Calhouna.

– Zaiste, nie spodziewałem się zobaczyć pana tutaj – oznajmiłem, podchodząc i siadając na stołku obok niego. – Myślałem, że jedzie pan z cyrkiem do Bukaresztu, Rotterdamu i pozostałych błyszczących i egzotycznych stolic Europy.

– Dołączę do cyrku za parę dni – odparł Calhoun, nalewając sobie szklanekę whisky z żyta i częstując mnie drugą. – Jestem tu po to, aby wyekspediować resztę żywych zwierząt do rozmaitych ogrodów zoologicznych w Stanach.

– Mhm, miło zobaczyć życzliwą twarz – westchnąłem. – Jak leci lordowi Bloomstoke?

Świetnie – odparł Calhoun. – Musiałem go rzecz jasna podkreślić kilka razy w sprawie zorganizowania małą, ale poza tym sprawia się bardzo dobrze. A co u pana, wielebny? Postawił pan tę bazylikę?

Opowiedziałem mu smutną historię bazyliki Świętego Łukasza, po czym on poczęstował mnie smutną opowieścią o tym, jak niechcący zastrzelił konia burmistrza Billings w stanie Montana, licząc owego dnia, że czeka go wielka kariera na Czarnym Łądzie, a później ja mu opowiedziałem smutną historię utraty miłości panny Emily Perrison na rzecz Theodore'a Dobbinsa, byłego majora wojsk Jego Królewskiej Mości, po czym on mi opowiedział smutną historię swoich pierwszych czterech żon.

– Zaiste, przypadła nam w udziale nielicha porcja złego losu, prawda, Clyde? – wystękałem z poczuciem głębokiego żalu.

– Zaiste, nielicha.

– Nie chciałbym się wtrącać, panowie – przemówił barman – ale mogę służyć opowieścią o złym losie, która dorównuje wszystkiemu, coście przeżyli. Byłem kiedyś myśliwym, takim jak obecny tutaj pan Calhoun.

– I co się stało? – spytałem, zamawiając następne piwo i wzmacniając je dwiema szprycami żytniówki, chcąc po prostu wydobyć subtelne niuanse jego zapachu.

– Tak strasznie obłupiono mnie ze skóry, że musiałem przyjąć posadę barmana, by pozbyć się góry długów, które zaciągnąłem w dobrej wierze – zaczął barman. – Wydawało mi się, że facet zatrudnił mnie po to, abym udał się do jakiejś doliny w interiorze, niedaleko pewnego cmentarza ludożerców, jakieś pięć lub sześć dni marszu stąd. Obiecał mi tysiąc funtów za każdego słonia, którego uda mi się tam zwabić i zastrzelić. Spędziwszy kilka tygodni na opędzaniu się od moskitów, szerszeni, tse-tse, czarnych mamba i całej reszty, kiedy ukatrupiłem już stado słońi, wróciłem do miasta i wypisałem rachunek na forszę, którą miałem dostać. Ale ten sukinsyn wyniósł się i tyle go widziałem.

– Ile panu wisi? – spytałem z uczuciem, jakby mi się żołądek przekręcał na drugą stronę.

– Siedem tysięcy funtów! – wykrzyknął. – Byliśmy oczywiście tak daleko w głębi dżungli, że w żaden sposób nie mogłem sam przy pomocy jedyne go tragarza broni przeniesić całego zapasu kości słoniowej w cywilizowane strony.

– Powiedział panu, dlaczego kazał strzelać do tych słońi? – spytał Calhoun.

– Podobno kupił właśnie kilkaset tysięcy akrów po pensie za akr czy innej śmiesznej cenie i wydawało mu się, że nagromadzenie padłych słońi w tym miejscu podniesie wartość jego majątku. Powtarzałem mu, że kość słoniowa to nie kwiaty, że nie można po prostu zostawić jej na ziemi z nadzieją, że się zakorzeni i rozmnoży. Ale facet śmiał się tylko i powtarzał, że jest człowiekiem cierpliwym, że wcześniej czy później stos zabitych słońi wyrwie na kimś wrażenie. Sam już nie wiem, może sądził, że strzelanie do słońi w tej idiotycznej dolince zamieni ją w jakąś narodowo-historyczną świątynię czy coś w tym rodzaju.

– Czy nazwisko tego gościa nie brzmiało przypadkiem z niemiecka, co? – spytałem, czując miękkość w okolicach kolan.

– Jakbyś pan zgadł – przyznał barman.

– A konkretnie? – zapytałem.

– Von Horst.

– Niech to diabli! – jęknąłem. – Wiedziałem!

– I owszem. Erich von Horst – ciągnął barman. – Zapamiętam to nazwisko do samej śmierci.

– Może pan liczyć na towarzystwo – bąknąłem.

Wyjaśniłem Łapaczowi Clyde, że nagle sprawy wzywają mnie gdzie indziej i ruszyłem biegiem w kierunku ulubionej restauracji Sama. Powiedziałem mu, że musimy się poważnie zastanowić nad opuszczeniem kraju przy pierwszej nadarzającej się okazji, to znaczy natychmiast.

Stwierdził, że powinniśmy po raz ostatni wpaść do wioski Mangbetu, aby wziąć kilku wojowników do obrony przed lokatorami dżungli i kilka kobiet, aby nas wszystkich uszczęśliwiały. Odparłem, że doceniam jego troskę, ale w tym momencie trochę większą uwagę muszę poświęcić pewnemu lokatorowi rządu Portugalskiej Afryki Wschodniej. Sam oznajmił, że chciałby mi wyświadczyć przysługę, ale nie byłoby to fair wobec plemienia Mangbetu jako całej społeczności, gdyby opuścił kraj bez podzielenia się z nimi świeżo nabytą wiedzą kucharską.

Cóż, zrozumiałem, że nie zdołam mu tego wyperswadować i że lepiej wyruszyć do wioski natychmiast, niż stać przez całą noc na ulicy i strzępić język, toteż ruszyliśmy piorunem i mniej więcej sześć dni później znaleźliśmy się wśród Mangbetu.

Sam poprowadził trzygodzinne seminarium dyplomowe ze sztuki kulinarnej, zebrał ludzi, którzy jego zdaniem będą najbardziej dla nas przydatni, i wyruszyliśmy do Tanganiki. Jakies trzy kilometry od granicy zatrzymała nas grupa około dwudziestu uzbrojonych po zęby portugalskich żołnierzy.

Sam chciał walczyć z nimi aż do śmierci, ale wyjaśniłem biedakowi, że moim zdaniem Portugalczykom nie chodzi bynajmniej o Mangbetu. Na te słowa najbliższy żołnierz pokiwał głową, tak więc życzyłem Samowi i jego ludziom *bon appetit*, a kiedy zniknęli w buszu, skrępowano mi ręce za plecami i pomaszerowałem do Mozambiku, gdzie spędziłem dziewięć dni w więzieniu. Następnie trafiłem przed oblicze starszawego jegomościa o nazwisku Alfredo Montenegro. Tak się złożyło, że pełnił funkcję Przewodniczącego Trybunału.

– Ach, doktor Jones – powiedział. – Byłem ciekaw, jak też pan wygląda. Wreszcie mam przyjemność pana poznać.

– Mógłby pan ją mieć osiem i pół dnia wcześniej, jeśli o mnie chodzi – odparłem.

– Dał nam pan możliwość wesołego pościgu – zauważył z uśmiechem. – Chwilami rozpaczałem, że musimy w końcu pana złapać.

– Nawiasem mówiąc, skąd wiedzieliście, że będziemy tam, gdzie byliśmy? – spytałem.

– Doktorze Jones, większość wojsk porusza się przy akompaniamencie marszu, który gra im w kiszkach. Umówmy się, że armia ludożerców jest nieco łatwiejsza do wytropienia niż inne.

– Nieszczęśni poganie muszą odstąpić od religii – westchnąłem. – A Sam mi powiedział, że praktykują to tylko w formie rytuału.

– Jedzenie może być takim samym rytuałem, jak mnóstwo innych czynności – zauważył Montenegro. – Ale w Mozambiku człowiek jest absolutnie bezpieczny, więc po zawracać sobie głowę pytaniem, w jaki sposób dokądś trafił?

– Słuszna uwaga – orzekłem. – Ale czy nie zechciałby mi pan powiedzieć, dlaczego duchowny, która nikomu nie uczynił żadnej krzywdy, musiał gnić w więzieniu tyle dni?

Drogi doktorze Jones – zaczął sędzia. – Zapewne jesteśmy starą władzą kolonialną, ale daleko

nam do sklerozy. Kiedy odkryliśmy, że dwieście tysięcy akrów przeszło w inne ręce, zaczęliśmy infiltrować półświatek i trafiliśmy na pańskiego znajomego, pułkownika Carcosę. Cofając się po ścieżkach jego kariery, stwierdziliśmy, że mnóstwo czasu spędza w pańskim towarzystwie i zaczęliśmy rekonstruować wasze poczynania. Fragmenty łamigłówek zaczęły do siebie pasować, kiedy odbyliśmy pogawędkę z pańskim rodakiem, właścicielem cyrku. Sądził, że panu pomaga i obwinił pewnego mężczyznę o niemieckim nazwisku, który w tej sprawie nie przedstawia dla nas żadnej wartości.

– No dobrze, skoro wie pan o wszystkim – powiedziałem z uśmiechem – to musi pan również wiedzieć, że zostaliśmy wykantowani i nie ma niczego takiego jak cmentarzysko słoni. Więc jesteśmy czyści jak łza, prawda?

– Nie! – zagrzmał. – Doktorze Jones, spisek w celu defraudacji to identyczne przestępstwo kryminalne, jak sama defraudacja i podlega surowej karze, o czym przekonał się już pański przyjaciel, były oficer.

– To znaczy, że pan mnie zamknie za transakcję, na której straciłem ze swoim współnikiem milion szylingów?

– Wolelibyśmy tego nie robić – westchnął. – Ostatecznie jest pan obywatelem amerykańskim, a nie chcemy przyczyniać pańskiemu rządowi jakiegokolwiek problemu ani przykrości.

– No, to w takim razie proszę mnie zwolnić, puśćmy urazy w niepamięć, a ja zapomnę o całej szopce – powiedziałem wspaniałomyślnie.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste – odparł Monteneg-ro. – Pańska obecność jest niepożądana na terytorium Portugalskiej Afryki Wschodniej.

– Nie ma obawy – mruknąłem. – Skoczę tylko po swój egzemplarz Pisma Świętego oraz pewną liczbę osób z plemienia Mangbetu, które okazały się wierne w tej godzinie próby, i już nas nie ma.

– Niestety – oznajmił, kiwając bez pośpiechu głową.

– Dlaczego? Dookoła rozciąga się mnóstwo państw, które będą dumne z posiadania misjonarza, niosącego Słowo biednym, niewykształconym poganom.

– Doktorze Jones – wymówił powoli. – W czasie, kiedy był pan... ach... naszym gościem, zasięgnęliśmy pewnych informacji w sąsiednich państwach. Zapytaliśmy o ich reakcję na pana ewentualne wydalenie.

– No i co?

– Jest pan poszukiwany listem gończym w Południowej Afryce, Beczuanie i Transwalu za puszczanie w obieg fałszywych map. W Egipcie wystawiono nakaz aresztowania pana za handel niewolnikami i pewne niedozwolone praktyki z udziałem mumii. W Maroku ścigają pana za większą kradzież, konkretnie za rabunek diamentu zwanego Lwim Zębem.

– Ależ ja go nie ukradłem – wystękałem. – Do diabła, ja nawet nie miałem pojęcia, że go mam.

– Proszę mi nie przerywać. W Enklawie Lado i Ugai<tkie ścigają pana za kłusowanie na kość słoniową. W Niasie rozesłano za panem listy gończe za przywłaszczenie pewnych skarbów narodowych w postaci drogich kamieni. Społeczność Południowej Afryki wystawiła nakaz aresztowania pana za bezprawne zabijanie wielorybów.

– Ciąg nieporozumień, nic więcej – wtrąciłem.

– Niech pan mi pozwoli kontynuować. W Kenii ścigają pana za prowadzenie domu publicznego. Kongo wystawiło nakaz aresztowania pana za prawdopodobny współdziałanie w zniknięciu pana Burleya Rourke. Sudan chciałby zamienić z panem parę słów na temat handlu niewolnikami, podszywanie się pod brytyjskiego oficera i bohatera wojennego. Tanganika zaś szuka pana za konszachty ze znanymi przestępcami. Zapytam szczerze, doktorze Jones – skąd pan czerpie tyle sił,



aby przeżyć od rana do wieczora?

– To może Rodezja? – rzuciłem. – W życiu tam nie byłem.

– Rodezja zawarła traktat o ekstradycji z wszystkimi krajami, które przed chwilą wymieniłem.

– Więc co pan zamierza ze mną zrobić?

– Moim zdaniem, Afryka poradzi sobie bez pańskiej szczególnej formuły nawracania – wyrzekł powoli. – Toteż jeśli zgodzi się pan wyjechać stąd jutro rano, dopilnuję, aby odstawiono pana na statek, zanim któreś afrykańskie państwo formalnie poprosi o zatrzymanie pana.

– Rozumiem, że nie mam większego wyboru – westchnąłem. – Skoro muszę wyjechać, bracie Montenegro, to może wsadźcie mnie na statek już dzisiaj? Po co mam spędzić kolejną noc w celi?

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż pozbycie się pana z Mozambiku przed zachodem słońca. Niestety, jedynym statkiem pasażerskim, stojącym aktualnie w porcie jest *Dying Quail*, a z powodów, których mogę się tylko domyślać, załoga nie wpuści pana na pokład.

Tak więc ostatnią noc w Afryce spędziłem tak samo jak kilka pierwszych.

Kiedy rano zabierali mnie na statek, byłem w podłym nastroju. Trzy razy zdobyłem szybki majątek tylko po to, aby mnie obdarli ze wszystkiego jacyś grzeszni i bezbożni łajdacy. Pozwoliłem nawet, aby niesprawiedliwy los wyrwał mi z rąk ukochaną bazylikę.

– *Eli, Eli lama sabachthani* – wymamrotałem, ruszając w górę po trapie bez centa przy duszy, bez żadnego bagażu, prócz podnisz czonogo egzemplarza Biblii, która prawdę mówiąc, nie dawała takiej pociechy, jak w ciągu kilku ostatnich dni.

Przystanąłem w połowie drogi między brzegiem a statkiem i odwróciłem się, by po raz ostatni rzucić okiem na Czarny Łąd. Spotkałem tu wielu interesujących ludzi i zrobiłem dla nich więcej dobrego niż oni dla mnie. Gdyby nie ja, i tylko ja, Herbie Miller i Gryzoń dalej szukaliby pracy, a Holender, Ali ben Ishak, major Theodore Dobbins, Ishmael Bledsoe i Luthor Christian nie mieliby z kim wziąć ślubu. Rosepetal Schultz dalej sprzedawałaby swoje wątpliwe usługi w bocznych uliczkach Kairu, Piętaszek chodziłby w przepasce na biodrach i nocował w jakichś krzakach, lord Blooms-toke dalej ukrywałby się przed wierzycielami, Łapacz Clyde Calhoun zredukowałby światową populację goryli o połowę, a mademoiselle Markoff nie zaznałaby Chwały ani Prawdy.

W sumie doszedłem do wniosku, że nie zmarnowałem tych czterech lat. Odcisnąłem swoje piętno na całej masie bezwartościowych wcześniej żywotów, a w dodatku byłem wciąż młody i miałem przed sobą długie życie.

– Możesz sobie zatrzymać to cholerne zadupie, von Horst! – ryknąłem na wiatr. – Wyruszam na nowe, egzotyczne lądy, gdzie bogobojny chrześcijanin nadal może uczciwie zrobić na utrzymanie!

Wspiąłem się na koniec pomostu i już miałem udać się na poszukiwanie kabiny, kiedy mój wzrok padł na jedną z pasażerek, urocze zjawisko, jakby rudowłosą wersję Rosepetal Schultz, ludzkie medium, wspaniałą, nienasyconą istotę, i jeszcze raz zerwałem się do lotu, zwłaszcza na widok średnicy diamentów w jej naszyjniku. Przystanąłem, aby się przedstawić i zaproponować jakąś formę ukojenia, która by jej odpowiadała. Zachichotała i zgodziła się omówić sprawę bardziej szczegółowo po kolacji. Zanim rejs dobiegł końca, zostaliśmy oddanymi przyjaciółmi. Zaiste, nieraz stawaliśmy do zawodów o to, które z nas było bardziej oddane.

Wyszliśmy na ląd w dalekim i egzotycznym Oriencie, gdzie grzeszne i tajemnicze miasta Hongkong, Makao, Singapur i Szanghaj, przepełnione bez wyjątku bezbożnymi mężczyznami i kobietami, jaskiniami występku, buntowniczymi armiami i tak dalej, wprost czekały na młodego przystojnego luzaka, aby przybył do nich ze Słowem Pana na ustach i wykonał zadanie, któremu poświęciłem z poważnymi sukcesami kilka następnych lat mojego życia.

Ale to już jest oczywiście zupełnie inna historia.

# Table of Contents

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1 BIAŁA BOGINI. 5](#)

[Rozdział 2 PARTNERZY.. 20](#)

[Rozdział 3 WAMPIR.. 38](#)

[Rozdział 4 HANDEL NIEWOLNIKAMI. 52](#)

[Rozdział 5 MUMIA.. 67](#)

[Rozdział 6 EDYCJA POMNIKOWA.. 87](#)

[Rozdział 7 BUNT. 98](#)

[Rozdział 8 SPRAWA SERCOWA.. 112](#)

[Rozdział 9 ZAGINIONA RASA.. 127](#)

[Rozdział 10 WŁADCA DŻUNGLI. 142](#)

[Rozdział 11 NAJLEPSZA BAZYLICZKA W NAIROBI. 156](#)

[Rozdział 12 CMENTARZYSKO SŁONI. 172](#)